Nr. Książki | Autor
C I270 | Lefranc A.
z Mag

BIBLJOTEKA i MUZEUM Z.N.P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PRÓŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
II. Nie dotykaj mnie brudnemi rękami.
III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
X. Nie wyrywaj i nie niszcz obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Bibljoteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych próśb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

347

MAR 1 0 '52
MAR 2 1 '52
OCT 9 '52
MAR 1 6 '53
MAR 3 0 '53
C 1270

1270
1270

MARYA
Z MAGDALI.

C 1270

AUGUST LEFRANC.

MARYA Z MAGDALI

Z DRUGIEGO WYDANIA FRANCUSKIEGO
PRZEŁOŻYŁA Z UPOWAŻNIENIA AUTORA
ANNA JASIŃSKA SZOTTOWA.

V

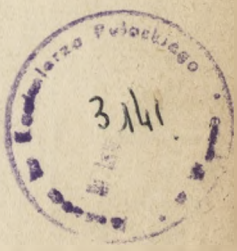

Warszawa,
Księgarnia „Kroniki Rodzinnej"
Plac Zamkowy (Podwale 4.)
1915.

Drukarnia Społeczna
Warszawa, Ul.-Świst 43.

Дозволено Военною Цензурою марта 1915 г.

I.

Quare misero data est lux? (S. Job. III, 20).
Przecz nędznemu dana jest światłość?

—„Szesnaście lat mija dziś właśnie, Marto, od chwili, gdy siostrzyczka nasza, Marya, bawiąca się spokojnie opodal domu, porwana została przez rozbójników.

Odtąd nie zaznałem już prawdziwego szczęścia na świecie: całe moje życie zeszło na daremnych poszukiwaniach zaginionej. W tych to smutnych podróżach zaraziłem się strasznym trądem, co toczy me ciało i wiedzie je ku śmierci po przez długotrwałe a niewypowiedziane cierpienia.

Oznajmiasz mi o twoich blizkich zaręczynach. Obyś ty przynajmniej mogła być szczęśliwą!... Zapomnij o starszym bracie, który skona w opuszczeniu... Zapomnij o zaginionej"...

W ostatnich słowach drgało podwójne uczucie rozpaczy i gorzkiego wyrzutu.

Łzy zaćmiły oczy brata i siostry.

Siedzieli w dość znacznej od siebie odległości, rozdzieleni gęstym gajem berberysów, o brunatnem listowiu.

Przed nimi purpurowe słońce zatapiało ogniste strzały w wąwozy gór Rogelskich. Dalej ku zachodowi, jak skłębiona gęstwa chmur znieruchomiałych, góry Moab ginęły w mglistem oddaleniu. Po przeciwnej stronie błyszczały wysokie wieże Jerozolimy.

Rodzaj szarawej płachty okrywał mężczyznę od stóp do głowy, nie dozwalając rozróżnić jego rysów, ani postaci.

Dziewczyna miała na sobie szaty kobiet żydowskich.

Długi welon otaczał jej głowę i opadał na ramiona, ginąc białą smugą w bladej zieleni szerokiej fałdzistej sukni.

— Jakże możesz myśleć, o, bracie mój!—rzekła,—że zapominam o tobie i o naszej biednej siostrze?

— Przebacz mi, Marto, — odpowiedział nieszczęsny, który zdawał się już naprawdę umarłym pod swym całunem; — zbyt okrutne i przewlekłe cierpienie czyni z nas egoistów. Mam na tej ziemi tylko ciebie, a gdy wyjdziesz zamąż, zdaje mi się, że mniej kochać mnie będziesz.

— Nie lękaj się tego, drogi Łazarzu! Sama co dnia przynosić ci będę pożywienie, jak dotąd. Zawsze mówić ze sobą będziemy potajemnie, choć prawo zabrania wszelkiej rozmowy między trędowatymi a resztą żyjących.

— Tak, jestem niesprawiedliwy, — ciągnął Łazarz, odgarniając płachtę, z pod której ukazała się twarz czerwona, zeszpecona, — jestem niesprawiedliwy względem ciebie; wiem, że mnie kochasz. Lecz dziś uważam siostrzyczkę naszą, Maryę, za bezpowrotnie straconą. Na-

zywam ją zawsze siostrzyczką; lecz jeśli żyje, ma już lat blizko dwadzieścia: rok tylko jest między wami różnicy... Jest ona pewno nieszczęśliwa, w niewoli, gdzieś na dalekiej obcej ziemi.

— Andrzej, mój narzeczony, przyrzekł mi czynić wszystko, by ją odnaleźć. Co roku wyprawiać będziemy wysłańców we wszystkie strony. Poświęcimy na poszukiwanie znaczną część majątku. Bóg niewątpliwie pobłogosławi usiłowaniom naszym.

W tej chwili zdawało im się, iż usłyszeli odgłos kroków na ścieżce, w której pobliżu spoczywali.

Łazarz, pod wpływem przyzwyczajenia, które u trędowatych staje się odruchem, by unikać wzroku ludzkiego, powstał. Pożegnawszy krótko siostrę, oddalił się spiesznie i zniknął wkrótce w jednej z licznych jaskiń, któremi wydrążone są zbocza góry Rogel.

Jako schronienie, trędowaci przekładali te jaskinie nad domy, budowane ręką ludzką, dla ich chłodu i czystych źródeł górskich, tryskających ze skalistych stoków. Chłód i częste obmywania przynosiły niejaką ulgę ich ciału, trawionemu gorączką.

Wieczorem dnia tego brat Marty, samotny w swej jaskini, oddawał się ponurym myślom.

Rozmyślał nad swym nieszczęśliwym losem i nad wielkiem zagadnieniem życia.

Był żydem; lecz wśród rozlicznych podróży, pod wpływem zetknięcia z innymi ludami, jego narodowe wierzenia nieznacznie uległy zmianom. Wierzył jeszcze wprawdzie w je-

dynego Boga hebrajczyków i uznawał wyższość swej religii nad mitologiami pogańskiemi; ale wszystkie ceremonie i drobiazgowe przepisy prawa mojżeszowego wydawać mu się poczęły dziecinnemi i pustemi, po zwiedzeniu licznych krajów, gdzie ich nie znano.

— Czyż możliwe, by Bóg wybrał jeden tylko lud, za swój lud umiłowany z pominięciem innych? Czemu Bóg pozwala na takie nieprawości, jak porwanie jego siostry?.. Jakże pogodzić z mądrością i dobrocią Bożą istnienie strasznych chorób, które, jak trąd, skuwają ze śmiercią istotę żywą i na zawsze ją od innych ludzi odrywają?

Łazarz pogrążony był w tych smutnych myślach. W podobnych chwilach boleśniej odczuwał swe cierpienia: każda cząstka ciała była mu źródłem męczarni. Uczucie bezsilnego gniewu przepełniało duszę jego i rwało się na usta bluźnierstwem.

Wyszedł z jaskini i siadł nieopodal wejścia. Przed nim dolina rozwarła swą głębię, czerniejącą ku środkowi. Na prawo przewlekały się tumany mgliste, z pośród których miejscami wyłaniały się białe plamy, niby małe wysepki. Na wschodzie Jerozolima zdawała się zamierać i ginąć wraz z ostatniemi blaskami dnia.

Ponad głową trędowatego gwiazdy biegły swym szlakiem w nieskończoność. Znał ich nazwy. Bywał u Egipcyan i Persów i od nich przejął trochę tajemnic gwiazdzistego stropu.

Arkturus zbliżał się do Korony Północnej jak król, co zmierza do swego tronu, lecz nigdy nie dosięgał celu. Czyż to nie symbol pragnień i daremnych tęsknot ludzkości?

Wzrok Łazarza zatrzymał się na przedłużeniu Wielkiej Niedźwiedzicy: Oko Skorpiona błyszczało utkwione w Węża, który zginał swe dziwaczne przeguby. Wyobraźnia zdolna była nadać tym wszystkim konstelacyom kształt i życie.

Niżej nad horyzontem Antares zdawał się salwą ognistą, daną kędyś na krańcach nieba przez zastępy boże dla oddalenia wrogich potęg tego świata.

Chmury, gromadzące się zwolna na północy, przysłaniały już Oriona i Plejady. Ale poprzez obłoki Łazarz szukał wzrokiem znanych sobie gwiazd, chwilowo niewidocznych.

— Czemuż to piękne niebo, — myślał,— jest obojętne na nasze bóle? Ludzkość jest tylko atomem, który cierpi i skarży się, a głos jej ginie w pomrokach wszechświata.

Bez wątpienia zło jest konieczne: jest to fatalność silniejsza, niż Bóg...

Rozum jego począł błąkać się w odmęcie. Nie mógł już nic zrozumieć w chaosie pojęć i rzeczy.

— Jeżeli Bóg jest wszechmogący, to czemu tyle zła na świecie? Jeżeli nie jest wszechmogący to nie istnieje wcale, a gwiazdy to złote gwoździe, co przytrzymują wieko trumny, w której bez nadziei zmartwychwstania spoczywa na wieczność wszechświat.

Szczekanie szakali przerywało niekiedy ciszę nocną.

Powiew, płynący od Betleem, budził przeciągłe drżenie wśród kolczastych krzaków, czepiających się rozpadlin skalnych.

Jęk słaby, lecz wymowniejszy, niż głos

drapieżnych zwierząt i niż skargi wietrzyka, doleciał uszu trędowatego. Jęk ten powtarzał się co czas pewien, a zdawał się wychodzić z pod ziemi.

Łazarz przypomniał sobie, że inni, podobnie jak on, cierpią w tej mrocznej Gehennie.

Wyraźniejsza myśl mu błysnęła: serce jego ścisnęło się, jakby wyrzutem sumienia. Czy nie Algela to jęczy, Algela, stara kobieta, której od dwu dni nie odwiedzał, a która konała od niepamiętnych czasów, nie mogąc umrzeć.

Algela była to stara nędzarka, która niegdyś dzierżawiła pole, należące do rodziny Łazarza. Od ośmiu lat, od chwili gdy została dotknięta trądem, mieszkała w jaskini górskiej, jak tylu innych nieszczęśliwych. Nie mając rodziny, leżała opuszczona, gdyż jej trąd był wstrętniejszy, niż innych. Jest tak wiele stopni w otchłani nieszczęścia o!...

Od kilku miesięcy przestała widzieć i słyszeć.

Łazarz udał się do swej jaskini po małą lampkę z palonej gliny i zeszedł odwiedzić nieszczęśliwą.

Otwarta czeluść, z ktorej wydobywały się słabe skargi, wśród ciemności przejęła go lękiem. Nim się w nią zapuścił, zapalił lampkę, uderzając krzemieniem o żelazo.

Szedł pewnym krokiem, gdyż znał wnętrze podziemia. W kącie straszna jakaś postać ludzka ciemną plamą znaczyła się na ziemi. Nie ruszała się wcale. Smrodliwe wydzieliny rozkładającego się ciała zebrały się poniżej, w zaklęśnięciu nierównego gruntu. Trzeba było odwiedzać ją często, by wiedzieć, gdzie znajduje się głowa trędowatej.

Woda źródlana spadała kroplami w pobliżu; ta woda trzymała ją przy życiu.

Łazarz ujrzał wkrótce, jak postać ta, która była niegdyś dziewczęciem, potem młodą kobietą, wyciąga odruchowo ramiona, niby macki owadu, by schwytać to, co jej podadzą.

Oddawna widać nie znajdowała już żadnego pożywienia, i ręce te, przesuwając się po ziemi szukały wciąż uporczywie.

Łazarz przyniósł chleb żytni. Połamał go na kawałki, które cisnął tak, by Algela mogła ich dosięgnąć. On nawet, choć sam trędowaty, lękał się dotknąć tej kobiety.

Radosne drżenie opanowało nieszczęśliwą, gdy znalazła pokarm. Łazarz wyszedł, by nie widzieć jak się nasyca.

Gwiazdy zalewały łagodnem światłem dalekie głębie firmamentu, skąd spływał spokój tajemnej nadziei.

Łazarzowi zdawało się, że jest mniej nieszczęśliwy. Mógł chodzić jeszcze. Miał siostrę, która przynosiła mu pożywienie i kochała go. Ciało jego zachowało jeszcze kształt ludzki. Posiadał oczy, które widziały.

Gdy porównał siebie z nieszczęśliwą Algelą, uczuł wyrzut sumienia, że bluźnił Bogu. Czyż jakakolwiek istota może nazwać siebie najnieszczęśliwszą?

II.

Intrantes invenerunt puerum. (Mat. II. 11.).
I wszedłszy w dom, znaleźli dzieciątko.

Trędowaci, którzy znajdowali schronienie w jaskiniach górskich, mało ze sobą obcowali.

Jednak niektórzy, niegdyś bogaci i ukształconego umysłu, uczuwając potrzebę rozprosze-

nia smutku i cierpień, odwiedzali niekiedy Łazarza, bądź dla rozmowy o rzeczach wzniosłych, bądź dla posłuchania dziejów odległych podróży, przedsiębranych przez brata Marty.

Razu jednego u wejścia do jaskini Łazarza zebrało się ich kilku.

Widać stąd było drogę od Jerozolimy do Jerycho, wijącą się wśród jarów między Betanią a Rogel. Często trędowaci patrzyli na tę drogę piasczystą, po której toczyły się leniwie wozy, karawany wielbłądów i ludzi pieszych, snujących się jak mrowie po białej wstędze.

W tej chwili jakaś bezładna gromadka zeszła z drogi, zmierzając ku górze Rogel.

W tłumie, w którym rozróżnić było można kobiety i dzieci,—jacyś ludzie w szalonym gniewie wykonywali gwałtowne ruchy, jak gdyby miotali kamienie.

Wkrótce po tej scenie jakiś człowiek począł zbliżać się do trędowatych, wlokąc się z trudem.

Odzież jego, jakkolwiek zakrwawiona i podarta, świadczyła, że nie był on żydem.

Ściśle przylegająca do ciała tunika sięgała mu po kolana, a spięta była z przodu szeregiem metalowych zapinek. Obuwie i nakrycie głowy postradał widocznie w stoczonej przed chwilą walce.

Widząc, że człowiek ten zmierza ku nim, trędowaci ostrzegli go według uświęconej prawem formuły: „Nieczyści! Nieczyści!“—by się oddalił. Lecz ów nie zważał na to i podchodził coraz bliżej.

On również dotknięty był trądem.

— Zmiłowania albo śmierci! — rzekł, padając na ziemię opodal Łazarza.

Ponad lewą skronią, z głębokiej rany, zadanej zapewne kamieniem, płynęła obficie krew. Owal twarzy, oliwkowa cera, prawie zupełny brak zarostu, przypominały typ indyjski.

Szymon, przyjaciel Łazarza, niegdyś uczony *rabbi*, rzekł tonem napuszonym:

— Bóg, w Prawie swem, upodobnił cudzoziemca do wdowy i sieroty, którym zarówno winniśmy pomoc i opiekę.

Łazarz już był pochylił się nad rannym. Obmyto jego rany. Ucho jego nosiło ślady piętnowania; był to więc niewolnik.

Szymon, widząc oznakę niewoli, uczynił gest pogardliwy. Uważał widocznie, że przez kilka słów, wypowiedzianych przed chwilą, wypełnił całkowicie obowiązek względem biedaka, gdyż oddalił się, unosząc fałdy swej szaty o szerokim szlaku.

Łazarz przy pomocy jednego z przyjaciół przeniósł niewolnika do sąsiedniej jaskini, opróżnionej wskutek niedawnej śmierci jakiegoś trędowatego.

Brat Marty, strawiwszy całe życie na poszukiwaniu swej drugiej siostry, czuł nieodpartą potrzebę rozpytywania o nią wszystkich nieznajomych, których przypadek postawił na jego drodze.

Po kilku dniach odpoczynku, niewolnik mógł opowiedzieć swemu dobroczyńcy, co następuje.

— Zwą mnie Holgesem. Jestem synem niewolnika z Ofiru. Pośród tego wielkiego miasta, całego z cegły, biel marmurów pałacu królewskiego zachwyca oczy cudzoziemca, jak lilia w ogrodzie róż.

W tym to pałacu spędziłem jedyne szczęśliwe chwile mego życia. Pan mój, król Mel-

chior, oddawał się badaniu gwiazd, usiłując za ich pośrednictwem przeniknąć tajemnice świata.

Nieraz długie godziny, a częstokroć i noce całe spędzał na szczycie najwyższej wieży swego pałacu, pochłonięty badaniem firmamentu. Spałem w pokoju pod dachem i od tarasu oddzielało mnie tylko dziesięć stopni wązkich kamiennych schodków. Ten dobry król uważał mnie za przyjaciela i pod jego kierunkiem ja również poznałem ruchy ciał niebieskich.

Jednej nocy pan mój zawołał mnie. Gdy wyszedłem na taras, niezwykły widok uderzył moje oczy.

Na zachodzie między widnokręgiem, a zenitem, jak gdyby rozerwało się sklepienie niebieskie.

— Kto wie, — przerwał Łazarz, — czy ponad naszem niebem niema innych firmamentów, których nie widzimy?

Holges ciągnął dalej:

— Podobnie jak słońce ukryte za górskim szczytem ciska snopy światła na chmury, tak strumień jasności płynął z nieznanych głębi, oświetlając kędyś daleko tajemniczą jakąś krainę.

Wkrótce ten snop świetlisty zwęził się, jak gdyby brzegi jego pochłonęła ciemność i pozostała tylko jasna smuga, łącząca ziemię z niebem.

Dwa krańce strasznej tej drogi znikły również stopniowo. Tylko środek pozostał widoczny, przecinając gwiazdozbiór Bliźniąt. Nakoniec została jedna wielka gwiazda. Myśleliśmy, że zniknie, jak całe zjawisko. Lecz ku nasze-

mu niewypowiedzianemu zdziwieniu nowy ten gość na niebie jaśniał przez noc całą.

Miast posuwać się ze wschodu na zachód, jak inne ciała niebieskie, gwiazda ta zachowała niezmiennie to samo położenie w stosunku do ziemi: w ten sposób o świcie, wyszedłszy z gwiazdozbioru Bliźniąt, wstąpiła w znak Panny.

Nocy następnej gwiazda tajemnicza znajdowała się w tym samym punkcie nieba. Zdawało się wszakże, że zmieniła swe położenie względem innych gwiazd, posunąwszy się ku wschodowi.

Pan mój miał dwu przyjaciół, dwu królów sąsiednich krain. Ci podobnie jak on, oddawali się badaniu nieba! Oni też widzieli ten sam cud.

W kilka dni potem, wszyscy trzej, zebrawszy się, postanowili udać się w kierunku cudownej gwiazdy, która zdawała się ich przyzywać. Byli to ludzie sprawiedliwi i usłyszeli w duszy głos bożego natchnienia.

— W Judei, — rzekł Łazarz, — wierzą, że Bóg objawia się tylko żydom. A jednak natchnął Balaama... Widziałem także zdumiewające rzeczy u Egipcyan.

— Wyruszyliśmy w drogę, mówił Holges, w liczbie dwunastu; każdy z trzech króli wziął ze sobą troje sług i kilka wielbłądów.

Szliśmy nocą. Gwiazda poprzedzała nas stale. Wszyscy mieliśmy wewnętrzne przekonanie, że spełniamy święte posłannictwo.

Jednego wieczora znajdowaliśmy się niedaleko stąd, w Jerycho, mieście drzew palmowych. Niebo było czyste: lecz ku wielkiemu naszemu zdziwieniu gwiazda znikła. Napróżno usiłowaliśmy ją odnaleźć w zwykłem miejscu, w pobliżu Plejad, ponad górami Judejskiemi.

Uczuliśmy się samotni, zdala od ojczyzny, bez przewodnika, bez opieki.

Dwaj królowie, przyjaciele mego pana, chcieli wrócić do królestw swoich. Ale Melchior miał wiarę w to, o czem zdawało się zwiastować tajemnicze zjawisko.

— Pójdziemy — mówił — do Jeruzalem. Zobaczymy wielkiego Heroda, i kapłanów jego i jego słynną świątynię. Wiem, że jeden z moich przodków, król Ofiru, posłał w darze mnóstwo złota jakiemuś królowi żydowskiemu. Jeśli przodkowie oddawali sobie wzajemne usługi, czemuż ich potomkowie mieliby być wrogami?

Bardzo dawna tradycya niesie, że wkrótce świat ma być odmieniony przez przyjście człowieka niezwykłego, który zapanuje nad całą ziemią. Być może, iż narodzenie tego człowieka zostało nam objawione. Idźmy dalej, a dowiemy się, co znaczą te wszystkie cuda.

Wiara mojego pana przemogła zniechęcenie jego przyjaciół.

W kilka godzin później byliśmy w pałacu Heroda, który przyjął nas dobrotliwie. Był nawet zbyt uprzejmy, by życzliwość jego mogła być szczera...

Widzę jeszcze tego starca pomarszczonego, łysego, z oczyma skorpiona, gotowego do zadania ciosu. Bogactwa jego pałacu olśniły nas. Filary sali, gdzieśmy się znajdowali, błyszczały niby woda w promieniach słońca. Było tak prawie pięknie, jak w świątyni Moria, którą zwiedziliśmy przed opuszczeniem Jerozolimy.

Nasi panowie wydawali się zadowolonymi.

Zresztą następnej nocy gwiazda, która nas wiodła, zjawiła się znowu na nieboskłonie.

Dotąd jeszcze widzę oczyma duszy Dzie-

ciątko w głębi górskiej jaskini, którą rozjaśniał jego uśmiech, i boską niewiastę, której spojrzenie samo czyniło cnotliwym.

Przypominam sobie, że przybyliśmy do Dzieciątka tego około drugiej godziny w nocy. Omdlewaliśmy ze znużenia. Kilka wielbłądów padło w drodze. Panowie nasi mówili, że trzeba nam najmniej ośmiu dni odpoczynku zanim zdołamy w dalszą wyruszyć drogę. Czas spędzony u stóp Dzieciątka nie musiał być dłuższy nad kwadrans. A jednak, gdy wyszliśmy z jaskini, był dzień. Nie odczuwaliśmy najlżejszego zmęczenia, nasze wielbłądy były wypoczęte i rzeźkie. Wielka radość wewnętrzna przepełniała nam duszę, jak gdybyśmy oglądali Boga...

Gdy czuję, że upadam pod brzemieniem niedoli, myślę o tej nocy tajemniczej, o Dzieciątku i o niewieście. Na serce moje pada wówczas jak gdyby kropelka radości, doznanej w owej chwili: to wystarcza, by mnie pokrzepić i wrócić mi odwagę.

Ruszyliśmy natychmiast w powrotną drogę do Ofiru, nie nawiedzając już Heroda.

— Zdaje mi się,— rzekł Łazarz,— że gdybym ujrzał zaginioną swą siostrę, ja również miałbym chwilę tej radości doskonałej, którą Bóg zsyła nam pewno raz tylko jedyny w życiu. Lecz to, co mi opowiadasz, nie jest mi całkowicie obce. Słyszałem o królach ze wschodu, którzy przybyli, szukając Mesyasza żydowskiego. Niestety! Jakie to wszystko dalekie!.. Niebo i ziemia milczą. Zapewne ludzie są tak źli, że nie zasługują na spojrzenie Boga...

III.

Ducta est im captivitatem. (Nahum. III. 10). W niewolę zawiedziona jest.

Nazajutrz Łazarz poszedł znowu do jaskini Holgesa. Obaj wyszli, by zasiąść w cieniu pistacyi, gdyż słońce paliło już mocno w olbrzymiej kotlinie morza Martwego.

Niewolnik władał dość biegle aramejskim, — językiem Łazarza, lecz w opowieść swoją wplatał często wyrazy, zapożyczone z perskiego. Mimo znajomości kilku języków cudzoziemskich Łazarz musiał niejednokrotnie żądać wyjaśnień.

— Następnym razem — mówił Holges — gdy byłem w Judei, miałem już innego, mniej dobrego pana.

Melchior zmarł w parę lat po podróży, o której ci opowiedziałem. Jego dwaj synowie walczyli o panowanie z orężem w ręku.

Jako stronnik starszego z synów, który według mnie był prawym następcą ojcowskiego tronu, zostałem w bitwie wzięty przez młodszego do niewoli. Nienawidził mnie on, gdyż znał me przywiązanie do jego brata; jednak przez pamięć dla króla Melchiora, który mnie kochał, nie śmiał mnie stracić, lecz sprzedać kazał na rynku Ktesifonu.

Mój nowy pan, imieniem Manhir, człowiek okrutny i nieugięty, był handlarzem niewolników. Przed wysłaniem niewolników na sprzedaż do odległych miast, spędzał ich do dwóch ogromnych budynków, które mu służyły za składy i więzienia nad brzegiem Tygru.

Nie odprzedał mnie jednak wraz z innymi,

lecz zatrzymał przy sobie. Z nim to właśnie po raz drugi przybyłem do Judei.

A było to w następujących okolicznościach.

Wyruszyliśmy z Ktesifonu z karawaną, złożoną z pięćdziesięciu niewolników, przez Damaszek i Tyr do Cypru.

Na morzu spotkała nas straszna burza, która odrzuciła nasz okręt w kierunku południowym. Wedle zwyczaju wszyscy niewolnicy, okuci w kajdany, znajdowali się pod pokładem. Okręt wpadł na rafę podwodną i wszyscy ci nieszczęśliwi, skuci razem, potonęli.

Wciąż jeszcze mam przed oczyma straszny obraz ich śmierci.

Łańcuchem, otaczającym prawą nogę w kostce, przymocowani byli do długiej sztaby żelaznej. Gdy statek tonął, poczęli szarpać się i zrywać, błagając o wolność. Załoga myślała jedynie o własnym ratunku. Manhir, który miał klucze od łańcuchów, lękał się, że oswobodzenie niewolników powiększy jeszcze zamęt. Pozostał głuchym na ich zaklęcia. Niektórzy za pomocą noży i toporów usiłowali odrąbać swe przykute nogi. Widok był przerażający, lecz ani jeden nie uszedł śmierci.

Dwaj dozorcy niewolników, ja i pan nasz, zdołaliśmy uratować się wpław, gdyż byliśmy zaledwie o sto stajań od brzegu.

W Joppie, mieście, u którego wybrzeży rozbił się nasz okręt, Manhir miał znajomego kupca, który pożyczył mu pieniędzy na kupno dwu wielbłądów, poczem wróciliśmy do Ktesifonu tą samą drogą, którą widzisz oto tam, i która wiedzie przez Jerycho do Jerozolimy. W owym czasie nie Herod już był panem Jerozolimy lecz namiestnik rzymski Koponius.

— Kiedy przebywaliście tę drogę? — zapytał Łazarz.

— Przeszło piętnaście lat temu: było to w pierwszych dniach miesiąca Adar. U was, Judejczyków, jeśli mnie pamięć nie myli, był to rok sabatu.

Łazarz wzburzony zerwał się i podbiegł do niewolnika.

— Ilu was było ludzi? Czy mieliście wielbłądy?

— Powtarzam ci: było nas czterech, po dwóch na każdym wielbłądzie.

Łazarz zawahał się, jak gdyby lękał się pytać dalej. Według wskazówek, które zdołał zebrać dzięki licznym i wytrwałym poszukiwaniom, mała karawana, która porwała jego siostrę, miała się składać z tej samej liczby ludzi i zwierząt.

Czy niewolnik będzie miał odwagę przyznać się do zbrodni, jeśli popełnił ją w porozumieniu ze swym panem?

Łazarz znał ludzi i wiedział, że gdy człowiek raz wejdzie na drogę kłamstwa, upierać się w niem będzie przez fałszywą ambicyę.

— Twierdzisz — powiedział, tonem, który starał się uczynić obojętnym,— że twój pan był człowiekiem niesprawiedliwym i okrutnym.

— Tak. Nie bał się nikogo, ani bogów ani ludzi. Ważył się na wszystko, gdy szło o przysporzenie bogactwa.

— W tym czasie — rzekł Łazarz — na drodze, którą przejeżdżaliście porwana została pięcioletnia dzieweczka.

— To pan mój ją porwał, — powiedział Holges.

Okrzyk zdumienia, w którym dźwięczały

radość i oburzenie zarazem, wyrwał się z piersi Łazarza.

— Ta dzieweczka była moją siostrą, rzekł.

Niewolnik zbladł.

— Gdzie ona jest teraz? zapytał Łazarz drżącym głosem.

— Prawdopodobnie w Grecyi, gdzie mój pan sprzedał ją trzy lata temu.

— W jakiem mieście?

— Nie towarzyszyłem Manhirowi w owej podróży, lecz wiem, że było to w Koryncie.

Pierwszą myślą Łazarza było udać się natychmiast do Grecyi; lecz po zastanowieniu doszedł do przekonania, że ze względu na chorobę tak uciążliwa podróż jest dlań niemożliwa. Musi zobaczyć się z Martą. Ktoś zaufany pojedzie natychmiast z pieniędzmi, by odnaleźć i wykupić Maryę.

— Pomożesz mi odszukać moją siostrę — rzekł Łazarz do niewolnika, a będziesz mógł prosić, o co zechcesz.

— Niestety! odparł Holges, czemuż nie jestem tak zdrów, jak przed miesiącem...

Nie mogąc narazie podzielić się z Martą otrzymanemi wiadomościami, Łazarz niestrudzenie wypytywał niewolnika, który opowiedział mu wszystko, co mu było wiadomem.

Mała Marya igrała z rówieśnicami w pobliżu Betanii. Niedaleko od dzieci zatrzymał się dla odpoczynku Manhir ze swymi towarzyszami. Handlarz niewolników, uderzony pięknością dziewczynki, przynęcił ją podarkami. Bawiąc się z nią dał jej do zjedzenia ciastko, do którego wsypał proszku usypiającego.

W kilka godzin później Marya znajdowała

się po drugiej stronie Jordanu na drodze do Ktesifonu

Zresztą Manhir kazał ją kształcić, jak kobietę wolną, by ją módz tem drożej sprzedać kupcom greckim i rzymskim. By snadniej ukryć pochodzenie Maryi, nadał jej perskie imię Voxany.

Młoda niewolnica posiadła wkrótce kilka języków i śpiewała pięknie przy akompaniamencie cytry lub liry; jej wykształcenie i rozum budziły zachwyt, zarówno jak jej przedziwna uroda. Sam Manhir był z niej dumny i zdawało się, jak gdyby żywił dla niej niejakie przywiązanie. Lecz jego żona, prawopodobnie pod wpływem zazdrości, okazywała pięknej niewolnicy niechęć, która wkrótce zamieniła się w prawdziwą nienawiść. W przystępie gniewu zadała jej raz nawet sztyletem silny cios, który przyprawił ją o niebezpieczeństwo życia.

Ulegając żonie, Manhir wyruszył pewnego dnia do Grecyi, zabierając ze sobą Voxanę i kilka innych niewolnic, które chciał sprzedać.

Gdy wrócił, nie było już z nim Maryi. Chodziły wieści, że sprzedał ją w Koryncie za olbrzymią sumę.

— Wydało mi się to zupełnie prawdopodobne dodał Holges u Manhira chciwość góruje nad wszelkiem innem uczuciem.

Wszystko, czego się Łazarz dowiedział, początkowo wlało otuchę w jego serce. Po tylu latach bezowocnych poszukiwań, otrzymał co do swej siostry jakąś pewną wskazówkę. Lecz straszna myśl dręczyć go wkrótce poczęła. Korynt był miastem słynnem z zepsucia i wyuzdanej rozpusty. Czyż życie jego biednej siostry nie jest teraz gorszem od śmierci?..

IV.

Gentes quae ignorant Deum...
(Tess. IV. 5).
Ludy, które nie znają Boga.

Był to ostatni dzień ostatniej dekady miesiąca Posejdona. Wonny poranek zstępował powoli z gór Gerania na rozkoszny Korynt.

Ozdobne frontony świątyń i pałaców o płaskich dachach, wystrzelały jak białe korony ponad mgłę różaną. Rozrzucone po tarasach posągi z marmuru w swych pozach hieratycznych wydawały się ludem kapłanów, mających czcić hymnem wschód królewskiego słońca.

Czułą pieszczotą lazurowych ramion, morze, wierny przyjaciel Hellady, otaczało od wschodu i zachodu czarowny półwysep, gdzie falowały pagórki, niby zielone girlandy, zwisające od stropu nieba z niezliczonych łańcuchów mgieł porannych.

Między Sycyonem, a przylądkiem Hereon obszerny port błyszczał w świetle jutrzenki od okrętów wszelkich barw i kształtów. Salamińska hemiola o okrągłych żaglach sąsiadowała z cypryjskim kerkurosem, którego czarniawy kadłub bez masztów, przypominał kształtem dzika, śpiącego na wodzie. Wysokie dzioby trójwiosłowców wznosiły się niby skaliste przylądki.

Żagle już wzdęte wprawiały mające odbić od brzegu statki w falisty ruch, podobny do kołysania się ptaków w locie; ponad tyłami okrętów złocone otwory patrzyły na wybrzeże, zdając się opuszczać z żalem bogate miasto, punkt przyciągania i szczyt wszelkiego szczęścia ludzkiego.

Naokoło agory kupcy wyładowywali swój towar: duże wilgotne ryby lgnęły do gładzonych kamieni obok koszów z łozy, pełnych fig i winogron przejrzystych, jak drogie kamienie.

Dalej ponad białemi ścianami Akrokoryatu, którego szczyty tworzyły dwie wyspy w błękitnej poświacie, dźwięczały trąbki wojskowe, zmuszając echa starej Grecyi do głoszenia chwały Rzymu.

Od godziny bogaty Pappos przewracał się na łożu; w głębi swego *cubiculum* słyszał jedynie szmer srebrnej klepsydry lub, gdy się poruszał, skrzyp rzemiennych pasów, które przytwierdzały łoże do czterech słupów z rzeźbionej kości słoniowej.

Myślał, że tego właśnie dnia dosięga wieku lat pięćdziesięciu. W umyśle jego wstawały dzieje całego życia. Z rodzinnej Galilei przyszedł, jako siedemnastoletni młodzieniec, do Koryntu, z wujem swym, by spróbować powodzenia w różnych rodzajach handlu. Prawie we wszystkich mu się powiodło. Lecz najszczęśliwszym jego dziełem, które go zbogaciło, było nabycie, za garść drachm, obszernej przestrzeni gruntu, gdzie wybudował swój dom.

W tej epoce Korynt powstawać zaledwie poczynał z gruzów, gdyż przed dwoma wiekami Mummius zburzył go był doszczętnie. Lecz odkąd Cezar okazał mu zainteresowanie, jakże szybko się rozwijał! W ciągu pięćdziesięciu lat stał się znowu jednem z najbogatszych miast Grecyi i świata.

Pappos przewidział przyszłe doniosłe znaczenie Koryntu, a los nagrodził jego przenikliwość. Corocznie w postaci czynszu dzierżawnego z jednej części swych dóbr, otrzymy-

wał sumę trzykrotnie przewyższającą kapitał, użyty pierwotnie na ich nabycie.

„Majątek mój, mawiał, dzielił losy miasta; jak ono, wzrastał z dniem każdym... Obecnie wszyscy mi zazdroszczą. A jednak nigdy nie zaznałem doskonałego szczęścia.

Mój ojciec, który zażywał wywczasu w cieniu swej winnicy, na małem pólku w Magdali, szczęśliwszy był odemnie. Miał żonę i pięcioro dzieci: ja jestem sam. Mam trzystu niewolników; wszyscy są mi posłuszni. Czy jest wśród nich choć jeden, coby mnie kochał?

Nierzadko odczuwam w sercu ból, duszność, które zwiastują mi blizki koniec".

Dźwięk fletu oznajmił Papposowi, że nadeszła godzina, o której zwykle wstawał z łoża. Wszedł młody niewolnik, unosząc ciężką purpurową zasłonę, dzielącą *impluvium* od komnaty, w której spoczywał. Świeża woń jaśminu i aloesu wraz z pierwszemi promieniami słońca przeniknęła aż do łoża.

Pappos wstał z posłania i zanim przeszedł do łaźni, gdzie nań czekała kąpiel, uniósł lekki woal, który okrywał wielkie zwierciadło z polerowanego srebra. Kosmyk włosów, który pozostał na łysej głowie, wydał mu się mniej obfity. Rzadkie, siwe włosy na skroniach okalały twarz z dniem każdym żółknącą i coraz bardziej pomarszczoną.

— Bogactwo daje wszystko, szepnął, z wyjątkiem młodości.

Po kąpieli przeszedł do *tepidarium*, by oddać się w ręce *tractatora*, który codziennie nacierał oliwą i masował mu ciało. Wtedy przypomniał sobie, że dnia tego właśnie odbywa się miesięczny targ niewolników.

Od tygodnia lądem i morzem napływali oni do miasta.

Nieopodal domu bogaty żyd posiadał stare ogrody, których mury odbudował z gruzów. Dzięki temu mógł wynajmować handlarzom niewolników obszerne, zamknięte pomieszczenia, do których spędzali oni istne stada ludzkie.

W Koryncie zwykłą rozrywką próżniaków było uczęszczanie na widowiska w nowym cyrku, przypatrywanie się przybijającym do brzegu okrętom lub wreszcie i nadewszystko sprzedaż niewolników.

Pappos po pierwszem śniadaniu, złożonem z dwu ciastek z miodem i z czary cypryjskiego wina, skierował swe kroki ku ogrodom, by się przekonać, czy jego rządcy wynajęli rzeczywiście całą, dającą się zużytkować przestrzeń.

Miał na sobie chlamidę, którą spinał nie ponad lewem ramieniem, jak Ateńczycy, lecz wzorem żydów — na piersiach, odrzucając jednakże obie jej poły, jakto czynili bogacze, by lepiej odsłonić wzorzysty haft, który pokrywał purpurową tunikę.

Kupujący przychodzili często przed licytacyą wybierać niewolników: to też uzbrojeni strażnicy pozwolili przejść Papposowi. Niektórzy nawet poznali go i pozdrowili.

Woń mdła, nieokreślona zatamowała mu oddech. Niewolnicy i zwierzęta juczne stłoczono razem. Sznury przeciągnięte między palami, wbitemi w ziemię, odgradzały grupy ludzi i bydląt, należących do różnych właścicieli. Miejsce drogo kosztowało, to też je oszczędzano.

Wszystkie rasy świata miały tam swoich przedstawicieli. Śniady madyanita o nizkiem

czole stał tuż obok białoskórego germanina, którego opończa przesiąkła potem w tym klimacie, zbyt dla niego gorącym. Szczupły kussyta o ruchliwych oczach, przyglądał się z podziwem bujnemu zarostowi, okalającemu pełniejszą i bardziej okrągłą twarz słowianina. Czarni półnadzy etyopowie dygotali z zimna, kucnąwszy na ziemi.

Persowie, odziani w swe *chirydoty* o szerokich rękawach, marzyli zapewne o wielkich pustyniach, które przebywali. Żegnaj za zawsze daleka ojczyzno, kraino róż! Żegnajcie długie pochody w gorącem słońcu! W jakimż to nieznanym, ciasnym domu sądzone im będzie pędzić życie w zamknięciu, jak ptakom w niewoli!..

W niektórych grupach jedzono nędzną zupę, przyniesioną w misach przez panów. Niewolnicy maczali w kleistej cieczy krótkie, grube kawałki drzewa, które oblizywali, inni pili wodę z wyszczerbionych dzbanów.

Widać było po nich wszystkich znużenie i rezygnacyę; czuli, że nie ujdą przeznaczeniu i że udziałem ich jest niedola, której niemasz końca.

Kobiety, mniej liczne niż mężczyźni, były pomieszczone osobno, wzdłuż murów pod namiotami, zdartemi w podróżach i spłowiałemi od słońca, albo też w starych szopach, rozsypujących się w gruzy od czasu zburzenia Koryntu. Dzieci płakały na ręku matek; starsze bawiły się opodal; przy poruszeniach biedactwa obnażały wychudłe członki, już poznaczone uderzeniami bata.

Pappos przechodził obojętnie środkiem drogi, pozostawionej między prostokątami, oznaczonymi za pomocą sznurów.

— Targi, myślał, są coraz bardziej ożywione. Korynt się rozwija: mój majątek bezustannie wzrasta... Trzeba w każdem z ogrodzeń pobudować szopy. Drożej je wynajmować będę.

Rozmyślanie to przerwał mu odgłos jakiejś kłótni. W głębi ogrodu coś się dziać musiało.

Niewolnicy, skuci łańcuchami, wspinali się na palcach; ci, co byli swobodni, wchodzili na skrzynie z towarami, lub też na uprzęże koni i osłów.

Dwaj niewolnicy bili się zapewne.

Pappos pobiegł, by przyjrzeć się widowisku.

Tłum z przerażeniem cofał się przed skłębioną jakąś masą czarno-czerwoną, która szamotała się, okręcała, zrywała się z ziemi, by upaść z powrotem, potoczyć się i powstać znowu. Głuche wycie i rzężenie dobywało się z dwojga piersi, wezbranych wściekłością.

Jeden z zapaśników, murzyn olbrzymi i ciężki, usiłował wyrwać się z żelaznego uścisku białego człowieka, szczuplego, mniejszego odeń, lecz sprężystego i zwinnego, jak tygrys.

Dwaj ludzie szarpali się pazgnogciami, gryźli się, dusili wzajemnie i bili, pomimo skoków i upadków nie wypuszczając się z objęć.

Resztka porozdzieranej odzieży, jaka jeszcze okrywała tych szaleńców, rozlatywała się w strzępy.

Krew płynęła obficie, znacząc czerwonemi smugami oba ciała: czarne i białe.

Nabrzmiałe i wykrzywione twarze zwierały się niekiedy, kąsając się, a oczy wychodziły z orbit.

Pan zapaśników nadbiegł z biczem, zakończonym ołowianymi kulkami.

Straszny rzemień świsnął w powietrzu, spadając na walczących. Z rozciętych tętnic krew tryskała za każdem uderzeniem, bryzgając na otaczających, którzy się cofali.

Zaciekłość dwu nieprzyjaciół zdawała się wzrastać wraz z bólem. Odruchowo każdy z nich ciałem przeciwnika usiłował zasłonić się przed ciosem.

Na koniec usłyszano trzask kości. Biały niewolnik, rzucony z siłą o słup, miał widać zgruchotane nogi, gdyż padł bezwładnie.

Jedno oko murzyna, wybite rzemieniem, zwisało okropnie.

Na znak, dany przez pana, kilku ludzi rzuciło się ku walczącym i cisnąc całym ciężarem ciała, zdołało ich wreszcie rozdzielić.

Ziemia i mury ogrodzenia były zroszone krwią.

Pappos rzekł z wymówką do właściciela obu niewolników:

„Każesz swoim kosztem pomalować mi mur: te plamy krwawe obniżyłyby czynsz dzierżawny".

Potem oddalił się w kierunku drugiego ogrodzenia.

Wszystkie były jednakowo zapełnione i wszystkie jeden okropny przedstawiały widok.

Zbliżała się godzina targu. Niewolnicy szykowali się już na sprzedaż pod okiem swych właścicieli. Stojąc przy kadziach z wodą, jedni szorowali się gąbkami, inni przyprowadzali do porządku włosy, obcinali paznogcie, czyścili zęby proszkami.

Niektórzy właściciele zamalowywali farbą ślady ran, zadanych tym nieszczęsnym przez bat lub tortury.

Pappos miał już wracać do domu, gdy nagle pod namiotem, z jednej strony odsłoniętym, kilka kobiet zwróciło jego uwagę. Zgromadzone około młodej jakiejś dziewczyny, przystrajały ją, niby królowę. Ona zaś miała głowę spuszczoną na kolana. Pappos widział tylko obfite fale włosów, wśród których igrały promienie słońca.

Człowiek w obcisłej tunice i perskim zawoju na głowie doglądał tych przygotowań.

Nagle młoda niewolnica podniosła głowę: oczy jej spoczęły na Papposie. Żyd doznał gwałtownego wstrząśnienia: nigdy nie widział podobnej urody.

Rysy dziewczyny zdawały się rozpływać w uśmiechu, pełnym nieokreślonego smętku.

Ciężkie sploty włosów barwy bursztynu oplątywały w nieładzie całą postać, uwydatniając jej powab.

Matowa białość czoła, jakby stworzonego do korony, barwiła się na twarzy nikłym cieniem różanym.

Oczy o tonie błękitnego aksamitu promieniały z pod ciemnych brwi światłem duszy, spragnionej kochania.

Obok zachwytu uczucie dumy owładnęło Papposem: w pięknej dziewczynie poznał żydówkę. Nie podobna było omylić się co do narodowości niewolnicy, tak bardzo typ rasy był w niej doskonały!

Ta córa Izraela, piękna, jak Rachel i Rebeka, niewolnicą! Bogaty żyd odczuł to, jako zniewagę, wyrządzoną swemu narodowi, co więcej, jako świętokradztwo wobec prawdziwego Boga.

Wówczas zabłysła mu myśl nabycia tej

ślicznej istoty. Może uda mu się wyrwać ją z poniżenia...

Inne zamiary, bardziej osobiste, zakiełkowały w jego duszy. Jest bogaty, samotny, nie ma rodziny. Czemu ta dziewczyna, najpiękniejsza z widzianych kiedykolwiek, nie miałaby mu umilić ostatka życia na ziemi, po wyzwoleniu zostając jego żoną?...

Zbliżył się do człowieka, który, jak sądził, był właścicielem niewolnicy.

— Czy ona do ciebie należy? wskazując ją, zapytał.

Handlarz skinął głową.

— Potrzebowałbym—rzekł Pappos głosem, który starał się uczynić obojętnym,— potrzebowałbym niewolnicy w tym wieku. Czy nie zechciałbyś mi sprzedać jej z wolnej ręki, przed licytacyą?

— Nie! odparł kupiec opryskliwie. Przywiózłem ją z bardzo daleka, odbywając kosztowną podróż dla sprzedania jej tutaj. To nie jest zwyczajna niewolnica. W Koryncie takie, jak ona, sprzedają się drożej, niż gdziekolwiek indziej. Chcę popróbować licytacyi publicznej.

Pappos, dotknięty opryskliwym tonem handlarza, miał już odejść, ale piękna niewoinica nagle spojrzała na niego, a w jej wzroku wyczytał coś, jakby zainteresowanie.

— Na jakim targu—zapytał, zwracając się do właściciela,—kazałeś się zapisać?

— U bramy Sycyońskiej, w południe.

— Będę tam, pomyślał Pappos.

Rzuciwszy ukradkiem ostatnie spojrzenie młodej dziewczynie, oddalił się, zdziwiony, że okazał tyle cierpliwości w stosunku do człowieka tak pospolitego, jak ów handlarz barbarzyński.

Liczba niewolników była tak wielka, że edylowie korynccy urządzili trzy licytacye publiczne, mające odbyć się równocześnie w jednym dniu.

Jeden targ odbyć się miał u źródła Pirenu, drugi na Kranjonie, trzeci—na placu przy bramie Sycyońskiej.

Wróciwszy do domu, Pappos, dręczony niepokojem, wyszedł wkrótce znowu, aby przejść się po ogrodzie.

Olbrzymie wieńce, rzeźbione w białym marmurze, zawieszone na kolumienkach ze złoconego bronzu wiły się między zielenią. Wierny prawu Mojżeszowemu, możny żyd nie umieścił w swoim ogrodzie ani w pałacu posągów greckich, które obficie zdobiły bogate miasto.

Spoglądał, przechodząc mimo, na agatową wskazówkę słonecznego zegara, co na ciężkiej podstawie znaczyła czas, w głębi ogrodu, w pobliżu basenu, gdzie szemrała fontanna.

Uśmiech zadowolenia rozjaśnił mu twarz, gdy w myśli obliczył pieniądze, któremi mógł rozporządzać. Za parę godzin będzie miał u siebie piękną niewolnicę.

Mimo to wszakże dręczyła go niepewność. Takie, jak ona, wedle wyrażenia handlarza, osiągają czasem przy sprzedaży ceny niesłychane. Wystarczał kaprys jakiegoś bogacza. Otóż w Rzymie istniały majątki, równe dochodom niejednego królestwa. Czyż nie opowiadano, że niejaka Dircea została sprzedana na targu w Aleksandryi za talent złota?...

— Talent złota! Więcej, niż pięćset min! Co za szaleństwo! Zwykła niewolnica—talent złota! Pappos wzruszył ramionami na znak politowania.

Potem stanął mu przed oczyma obraz dziewczyny.

„Pewno kobiety już ją ustroiły, myślał. Jakże będzie olśniona, gdy ujrzy bogactwo mego domu i wspaniałość moich ogrodów!..

Jacy współzawodnicy mogą się o nią ubiegać? Kwestor Hevellus? Powiadają, że jest bardzo bogaty i dziwaczny w swych zachciankach.

Znane skąpstwo greka Phenidesa nie pozwoli mu wydać większej sumy na kupno niewolnicy... Obawiam się dostawcy świątyni Wenery. Ubiegł mnie on już raz w nabyciu za dwa talenty srebra niewolnicy, która mi się podobała. Lecz zdaje mi się, że go niema w Koryncie.

Zapomniałem nadto o bogatych kupcach rzymskich, którzy przybyli tu przed paru dniami...

Muszę się upewnić dokładnie, jaką sumę mam obecnie do rozporządzenia".

Bogaty Pappos żwawym krokiem zawrócił do pałacu.

V.

Contumelia et turpitudo (Ekkl. XXVI. 11)
Zelżywość i szkaradność.

Włócznia o złoconem ostrzu, zatknięta w ziemię, jak maszt okrętowy, znaczyła na placu Sycyońskim miejsce mającej się odbyć licytacyi. Katasta, rodzaj niewielkiego wzniesienia dwu stóp wysokości ustawiona była w pobliżu włóczni, a dwaj skrybowie po obu jej stronach zasiedli na stołkach ze zwojami papirusu w ręku.

Gdy *praeco* przysądził niewolnika, który

wówczas zstępował z katasty, a skrybowie wydawali nabywcy odpowiednie świadectwo z poręczeniem.

Sprzedaż trwała już kilka godzin. Skrybowie ocierali pot z czoła połami swych chlamid, zapisywali pospiesznie i automatycznym ruchem zgarniali do drewnianej skarbony drachmę, płaconą przez każdego nabywcę wzamian za świstek papirusu.

Głos *praeco* chrypł. W tłumie dokoła katasty słychać było tylko o drachmach, minach i obolach.

Na prawo żołnierze z obnażonemi mieczami krążyli dokoła stołów, gdzie uskuteczniano wypłaty. Na lewo niewolnicy, siedzący na ziemi, pod okiem swych panów tworzyli mniejsze i większe grupy. Nieszczęśliwi wzrokiem osłupiałym i obojętnym nieledwie, spoglądali na towarzyszów swych lub towarzyszki,— z których każde zjawiało się przez chwilę na wzniesieniu, by zejść pośpiesznie na hasło: „*venditum*".

Handlarze, sprzedający *posca* i chłodzące napoje, wślizgując się wszędzie z małemi przenośnemi beczułkami i kubkami z drzewa oliwnego, powiększali jeszcze gwar i zamieszanie.

Z oczyma zaczerwienionemi od kurzu, z suchemi wargami niektórzy niewolnicy ścigali chciwem spojrzeniem te napoje, nie dla nich przeznaczone.

Każdy wstępujący na katastę miał na szyi tabliczkę z wypisanem na niej imieniem, wiekiem i pochodzeniem. Wady, mogące unieważnić sprzedaż, winny były również być oznaczone na tej tabliczce: w tym wypadku niewolnik miał głowę okrytą czemś w rodzaju

pileus'a z grubego wojłoku. Wówczas sprzedawano go taniej i bez poręczenia.

Niektórzy mieli nogi bielone kredą na znak, że nigdy jeszcze nie służyli.

Wady fizyczne, mniej lub bardziej śmieszne niektórych niewolników, budziły wybuchy wesołości wśród tłumu, wprawianego w lepsze jeszcze usposobienie dowcipami *praeco*.

Wstrętna czarna etyopka, której nikt nie chciał, została jednak sprzedana za trzy drachmy.

— Zda się na Cyterę!*)—zawołał *praeco*, spychając ją z katasty.

Burza oklasków i śmiechu była odpowiedzią.

Powoli jednak ożywienie słabło pod wpływem znużenia i obezwładniającego upału. Tylko najwyższe sumy, wywoływane podczas licytacyi, budziły jeszcze zainteresowanie.

Jakiś olbrzym, syryjczyk dwudziestotrzyletni, został sprzedany za trzy tysiące drachm zarządzającemu kopalni.

Bogaty Hevellus zapłacił dwa talenty srebra za gramatyka, greka. Gdy niewolnik, kupiony za taką wysoką cenę zstępował z katasty po nieodwołalnem *venditum*, towarzysze niewoli spoglądali nań z szacunkiem, jakgdyby z innej ulepiony był gliny, niż oni.

Nagle Pappos zadrżał. Na wzniesieniu stała młoda żydówka.

Okrzyk podziwu wyrwał się z kilku piersi. Miała ona na sobie *subuculę* z fioletowego lnu. Zapinka ze sztucznym dyamentem przytrzymywała jej szeroki pas. Włosy, jak aure-

*) Cytera—wyspa, poświęcona w starożytnej Grecyi Afrodycie, bogini miłości (*p. tł.*)

ola otaczały jej bladą twarzyczkę o rysach zlekka ściągniętych pod wpływem wzruszenia.

Tłum przestał się śmiać. Wszystkie serca, w których pozostała choćby iskierka wstydu i godności, odczuły coś w rodzaju bezsilnego protestu przeciwko wystawianiu na sprzedaż istoty tak doskonale pięknej.

Rzuciwszy przelotne spojrzenie na tych, co byli najbliżej katasty, dziewczyna spuściła głowę i stała bez ruchu.

— Voxana! zawołał *praeco*, który wymieniał zawsze imię sprzedawanego niewolnika.—Ile?

— Dwadzieścia min! wyrzekł głos jakiś. Wszyscy usiłowali dojrzeć tego, kto dawał tak wysoką cenę.

Był to Pappos, którego wysoką postać, cokolwiek pochyloną pod ciężarem lat pięćdziesięciu, można było dostrzedz w pobliżu wzniesienia.

— To żydówka, rzekł jakiś młody *Trossulus,* elegant, stały bywalec wszelkich licytacyi i widowisk cyrkowych. Jak wszyscy, podobni doń młodzieńcy, przechwalał się, że z typu rasy rozpozna pochodzenie każdego niewolnika, tak samo, jak pochodzenie konia.

— Dwadzieścia jedna mina! zarechotał jakiś mały staruszek, gładząc prawą ręką brodę z zadowoleniem znawcy. Był to Barcydes, główny dostawca domów rozpusty.

— Trzydzieści min! rzekł Pappos, chcąc odrazu zniechęcić swych współzawodników.

— Trzydzieści i jedna mina! zaskrzeczał nizki starzec.

Niewolnica, którą sprzedawano, pochylała się coraz bardziej, jakgdyby pod ciężarem niepokonanego wstydu.

Praeco nie śmiał jej nakazać, aby się wyprostwała.

Manhir, jej pan, zląkł się, ażeby przez zgiętą postawę nie obniżyła się cena sprzedażna.

Krzyknął jej głośno kilka słów w nieznanym języku.

Niewolniczym odruchem posłuszeństwa podniosła głowę.

Wielkie łzy spływały po jej twarzy; podniosła ręce, by je otrzeć.

W tej samej chwili młodzieniec jakiś, odziany w długą togę z białego jedwabiu, człowiek nieznany tłumowi, zawołał głosem stanowczym, nawykłym do rozkazywania:

— Talent srebra!

Niewątpliwie był to patrycyusz, świeżo przybyły z Rzymu do Koryntu.

Pappos pomyślał, że sprawa jego jest stracona.

Równocześnie wydało mu się, że oczy Voxany zwróciły się ku niemu z niemem błaganiem.

— Dwa talenty srebrne!—rzekł.

Wszelki szmer w tłumie ustał.

Grecy, żydzi i wogóle wszyscy ci, co nie lubili Rzymian, trzymali stronę Papposa.

Skrybowie, żołnierze, kupcy rzymscy zdawali się zachęcać młodego patrycyusza.

Sam *praeco* pragnął, by niewolnicę kupił Rzymianin: można to było poznać z drgającego zadowoleniem głosu, jakim powtarzał sumę, wymienioną przez swego bogatego rodaka.

Wreszcie powtórzył niechętnie: „Dziewięć talentów srebra". Była to cena, postawiona przez Papposa.

Rzymianin zamilkł. Wzruszył ramionami pogardliwie. Zdawało się, że licytacya skończona.

Praeco powtórzył trzykrotnie: „Dziewięć talentów srebra“ i nakoniec usłyszano prawne, nieodwołalne *venditum.*

Lecz w tejże samej chwili rzymianin zawołał:

— Talent złota!

Praeco podobnie, jak wszyscy, zawahał się.

— Powiedziałem talent złota przed wymówieniem *venditum*, — dodał Rzymianin tonem wyniosłym.

Sprzeczne głosy ozwały się w tłumie.

Wołano: — Po *venditum!* — Nie, przed! — Niewolnica należy do rzymianina! — Do żyda! Trzeba jeszcze raz zacząć licytacyę! — Wszystko jest nieważne! — Wszystko ważne!

Nawoływania krzyżowały się. Wybuchały spory.

Skrybowie, gotowi do pisania, patrzyli wyczekująco na wysłańca pretora, który przewodniczył sprzedaży: jego rzeczą rozstrzygać wszelkie spory.

Urzędnik rzymski, siedzący w pobliżu włóczni pod zasłoną, którą trzymało nad jego głową dwu niewolników, milczał.

Wreszcie *praeco*, zwracając się ku niemu, zapytał:

— Czy mam raz jeszcze rozpocząć sprzedaż?

Wysłaniec powstał i rzekł:

— Cena, ofiarowana przez mego przyjaciela Duilitusa, postawiona została w tej same chwili, gdy *praeco* wymawiał wyraz *venditum*

— Tak! tak! ozwały się ze wszystkich stron głosy stronników Duilitusa, w przypuszczeniu, że on zwycięży.

— Ze słów wymówionych, ciągnął urzędnik jedno, słowo *praeco*, przedstawiało Prawo; drugie—było słowem zwykłego obywatela. Ponieważ przed Prawem wszystko ustąpić winno— niewolnica Voxana należy do Papposa.

VI.

Liberatur a serwitute corporis(Rom.VIII. 21). Wyswobodzone z niewolstwa skażenia.

W dwa lata po sprzedaży Voxany, w zajeździe pod uwieńczonym Ibisem, w pobliżu korynckiego portu zebrała się ciżba wielka tragarzy o zgrubiałych rękach, marynarzy napół pijanych chwilowo bez zajęcia, niewolników, co przyszli potajemnie wydać kilka oboli, wykradzionych panom.

Jedni grali w kości, drudzy w *dwanaście znaków*, nową grę, przyniesioną z Rzymu; inni wreszcie zamglonemi oczyma spoglądali na prace Herkulesa, nieudolnie odtworzone na ścianach.

W tym tłumie Apilo i jego żona krążyli' skwapliwie obsługując gości. Obydwoje czerpali napój mniej lub więcej czystymi kubkami z konwi o szerokich otworach; stawiali na stołach wino lub nalewkę zbożową i natychmiast wyciągali ręce po zapłatę w postaci srebrnej monety.

.Woń smoły, korzeni i mięs pieczonych mieszała się z oparami kwaśnego wina.

Mówiono tu wszystkiemi językami, przyswajając jednemu wymysły, zaczerpnięte z dru-

giego. W kącie, jakby dla powiększenia gwaru i zamieszania, marynarze cypryjscy śpiewali na całe gardło i wybijali rytm, klaszcząc w dłonie.

Nagle gwar przycichł. Oczy wszystkich zwróciły się ku drzwiom wejściowym. Ukazał się w nich jakiś cudzoziemiec. Miał na sobie obszerny płaszcz, niby togę, niby chlamidę, wschodni turban otaczał mu głowę.

Zaledwie usiadł, gdy Apilos przybiegł doń skwapliwie. Cudziemiec kazał sobie podać czarę wina. Wyjmując z sakiewki srebrny pieniądz, rzekł do gospodarza:

— Słyszałem, że byłeś niewolnikiem Papposa i że po śmierci twego pana żona jego, Voxana, obdarzyła cię wolnością.

Byłbym bardzo rad, gdybyś mógł mi udzielić nieco wiadomości o twym dawnym panu, a nadewszystko o twojej pani.

— Szlachetny cudzoziemcze, rzekł Apilo, wielki to dla mnie zaszczyt, że mogę ci się przysłużyć.

Niezwłocznie też, z gadatliwością, właściwą ludziom swego rzemiosła, opowiadać począł.

— Mój pan, Pappos, był bardzo bogaty. Przed dwoma laty poślubił Voxanę, niewolnicę, którą był kupił za ogromną sumę na targu w Koryncie. Była to niewiasta niezwykłej piękności. Poślubiwszy ją, zmienił jej imię Voxany na Magdalenę, zapewne dlatego, że sam pochodził z Magdali w Galilei. Zresztą, skoro Voxana stała się wolną, nic dziwnego, że nie zachowała imienia, które jej przywodziło na pamięć dawną niedolę.

Żona Apilosa, której uwagi nic nie uszło, posłyszała, że mówiono o jej pani.

Rozmowa ta zainteresowała ją widać, gdyż

wkrótce zajęła miejsce swego męża i zaczęła sama opowiadać cudzoziemcowi tysiączne szczegóły o charakterze i życiu Magdaleny.

— Miała ona wszystkie zalety, mówiła, ale i wszystkie wady zarazem.

Czasami zdradzała wstrętne skąpstwo. Raz naprzykład wybiła mię za to, że wyczyściłam lampę, w której było jeszcze kilka kropel niedopalonej oliwy.

Lecz co to za kobieta była! Na Erosa! Co za kobieta! Nieraz żałuję prawie mego dawnego stanu... Jej zawdzięczamy wolność. Po śmierci męża, przed opuszczeniem Koryntu wyzwoliła prawie wszystkich swych niewolników.

Caupo zbliżył się znowu, by wmieszać się do rozmowy, lecz żona posłała go czemprędzej do kuchni po jedzenie dla szlachetnego gościa, który był niewątpliwie głodny.

Ciągnęła dalej:

- Pappos tak bardzo miłował swoją żonę, że zaspokajał wszystkie jej zachcianki. My, niewolnicy, musieliśmy słuchać jej ślepo; była bowiem straszną w gniewie, a dobrą i słodką, gdy była z nas zadowolona. Mimo wszystko przywiązani byliśmy do niej szczerze i bardzo płakaliśmy po jej wyjeździe.

— Czemu pytał Andrzej, gdyż był to narzeczony Marty, przybyły z Betanii celem odszukania dziecka, porwanego niegdyś przez Manhira — czemu Magdalena opuściła to miasto?

— Nie jest rzeczą niewolników — odparła gadatliwa gospodyni — dociekać przyczyn, które skłaniają ich panów do postępowania w ten lub inny sposób. Być może, iż wykonała ona je-

dynie zamiar, powzięty wspólnie z mężem. Zresztą tutaj zbyt była znaną jej przeszłość. Co do mnie, skłonna jestem przypuszczać, że odjechała, aby w większej jeszcze mierze być panią swej woli.

Choć i tak czyniła wszystko, co chciała. Na Erosa! Wiem wiele rzeczy; przedemną bowiem nie miała tajemnic. Powiem tylko tyle, że po śmierci męża żyła, jak kobieta, której piękność nieskończenie przewyższa jej cnotę.

Widząc, że na te słowa spochmurniało oblicze cudzoziemca, żona Apilosa mówiła dalej:

— Nie była to niewiasta, jak inne. Nietylko urodą przewyższała najznakomitsze kobiety korynckie, ale—rzecz zadziwiająca u byłej niewolnicy — odznaczała się wysokiem wykształceniem. Jej pan wychował ją inaczej, niż prostą dziewczynę. Miała godność rzymskiej patrycyuszki, mówiła po grecku, jak atenka i przyjmowała w swoim domu najuczeńszych kapłanów i filozofów.

Lubowała się w ich towarzystwie. Przypominam sobie długie rozmowy, które wiodła w swych ogrodach z uczonymi. Nic nie rozumiałam z ich sporów, lecz wydawało mi się zawsze, iż więcej słuszności zawierało się w jednem słowie mojej pani, niż w dowodzeniach tych wszystkich mędrców.

Olśniewała ich, nazywali ją dziesiątą muzą.

Było w niej jednak coś niezrozumiałego. Chociaż miała wszystkiego poddostatkiem: bogactw, uciech, zaszczytów, częstokroć bywała smutna. Nieraz nawet, gdy zdawało jej się, że nikt tego nie spostrzega, widziałam, jak płakała.

Razu jednego uczony Alpheios opowiedział

jej historyę Psychy; długi czas potem była zasmucona. Gdy zapytałam ją o przyczynę, rzekła: „Psyche — to ja. Tak, ja jestem Psyche!“ Przez chwilę sądziłam, że postradała rozum.

Widząc moje zdziwienie, Magdalena objaśniła mi, że wyraz Psyche znaczy dusza i że bajka o Psyche zawiera jej własne dzieje, a zarazem pewno dzieje wielu dusz.

— My, żydzi, rzekł Andrzej, mało znamy wasze greckie bajki.

— Psyche, ciągnęła żona Apilosa, była to młoda dziewczyna, która wyróżniała się z pośród innych istot śmiertelnych taką pięknością, że rozmiłował się w niej sam bóg miłości. Miłował ją, lecz nie dał jej poznać, kim był. Nieubłagane losy sprzeciwiały się temu.

Psyche, grzesznem uczuciem ciekawości wiedziona, wykradła bogu miłości straszną tajemnicę, której władzy znać nie była powinna.

Za ten błąd została przeklęta i skazana na życie nieszczęśliwe i tułacze. Wśród prób, które odbyć musiała, najcięższą była ta, iż trawiła ją nieustanna żądza miłości, a jednak nikt śmiertelny nie mógł wzbudzić w niej prawdziwego uczucia.

Dopiero po długich mękach, gdy zaspokoiła zemstę bogów, powołali ją oni ku ozdobie niebios i obdarzyli nieśmiertelnością.

Mówiono, że Magdalena jest tak piękna, jak Psyche.

— Kiedy opuściła Korynt? zapytał Andrzej.

— Zaledwie przed czterema miesiącami.

— Jestżeś pewną, że odjechała do Galilei?

— Odprowadzałam ją na okręt, płynący do Sydonu, skąd miała się udać do Magdali.

Przed wyjazdem uścisnęła mnie gorąco i żałuję, że nie zabrała mnie ze sobą, jak Euksemy, która podobnie, jak ja, była jedną z jej niewolnic. Powiedziała mi: „Ponieważ miłujesz Apilosa, będziesz z nim szczęśliwszą".

Żona gospodarza zajazdu wierzchem dłoni otarła łzę i rzekła:

— Ale, szlachetny cudzoziemcze, ponieważ zajmują cię losy mojej drogiej pani, pozostań dłużej; będę ci o niej mówiła, ile tylko zapragniesz.

Apilos przyniósł pieczony udziec sarni z soczewicą. Żona odebrała mu z rąk misę, by posłużyć szlachetnemu gościowi.

VII.

Venit praedicans in deserto Judaeae.
(Math. III. 1).
Przyszedł, każąc na puszczy Judzkiej.

Niezwykły człowiek zjawił się w Judei. W kraju cudów — on sam był cudem.

Mówiono, że nie jadł, ani pił. Żywił się zapewne jakąś manną niewidzialną.

Jak widmo, zjawiał się nagle na kraju pustyni, by zniknąć znowu w jej głębiach i mówić z duchami.

Skóra dzikiego zwierzęcia opasywała mu biodra. Włos jego rozwiewał się na wietrze, jak długie liście drzew palmowych.

Czy to Eliasz powrócił? Eliasz, Thesbita, prorok, który nie był umarł, chociaż żył jeszcze za panowania bezbożnego Achaba!

Długo myślano, że jest niemy. Teraz prze-

mówił, lecz mowa jego przerażała bardziej jeszcze, niż milczenie.

W głosie jego słychać było ryk lwa. Na jego skinienie pierzchali rozbójnicy, umykały dzikie zwierzęta.

Gdy jednak przemawiał do słabych, maluczkich, wzrok jego stawał się łagodny; obecność jego nie płoszyła pasterzy, grających na fletniach w dolinach Thekoa, a błękitnie gołębie, wijące gniazda w skałach Galaad, nie odlatywały, gdy nadchodził.

Zwiastował on światu rzeczy wielkie, rzeczy, które miały wstrząsnąć nim do głębi. Być może, zbliżał się koniec czasów...

Opowiadano, że dnia jednego wstąpił na górę Nebo, a Mojżesz wstał z grobu i mówił z nim.

Obecnie mieszkał w szałasie z gałęzi nad Jordanem, rzeką świętą, co rozstąpiła się przed hebrajczykami.

Zanurzał w wodzie tych, co przychodzili go słuchać, a wszyscy wracali uświęceni.

Esseńczycy z Engaddi, co w oddaleniu od świata mówią z aniołami, przybyli wieczorem, otuleni w swe białe opończe. Słuchali go i odeszli w zadumie do swych tajemniczych samotni.

Wysłańcy Sanhendrynu pytali go, czyliby mniemał się być Mesyaszem. Lecz Mesyaszem nie był.

— Kimże więc jesteś? nalegali.

— Jam jest, odparł, głos wołającego na puszczy. Wkrótce przyjdzie Zbawiciel.

Kto więc ma być tym Zbawicielem, które-

go przyjście zwiastuje? Może Mesyasz prawdziwy...

Herod Antypas zatrwożył się temi przepowiedniami o Zbawicielu i o przewrocie. Kazał uprzedzić Jana, że swą zuchwałą mowę życiem przypłacić może.

Odtąd Prorok przemawiał z większą, niż dotychczas, gwałtownością i większe, niż przedtem, tłumy gromadziły się dokoła niego.

Jak uderzenia bicza, słowa jego smagały bogaczów i możnych, a oni mimo to przychodzili go słuchać.

Sumienia zbrodnicze, które przenikał swym wzrokiem i wstrząsał słowami pełnemi gniewu, drżały i kurczyły się, jak rana za dotknięciem żelaza rozpalonego w ogniu.

Poruszał on starą ziemię Judzką i Samaryę, i Idumeję, i krainy po drugiej stronie.

Gdy w synagogach lektor wymawiał słowo *prorok*, wszyscy myśleli o Janie, o Chrzcicielu. Wieśniacy, zasiadający przed drzwiami swych domostw wieczorem, powtarzali słowa jego. Nawet trędowaci po jaskiniach swych rozmawiali o dziwnym człowieku. Mówili między sobą: „Jeżeli to Eliasz powraca, to może będziemy uzdrowieni?“

— Pójdźmy go zobaczyć, rzekł raz Łazarz do Szymona, swego przyjaciela i towarzysza cierpień w górach Rogel.

— Jakże zbliżyć się doń? odparł Szymon. Ci, co go otaczają, odpędzą nas dla naszej choroby.

— Może zdaleka uda nam się zobaczyć go i usłyszeć, rzekł Łazarz.

Obaj tedy zeszli w dolinę Adomin przed świtem.

Gdy minęli Jerycho i znaleźli się w okolicy, gdzie piaszczyste pagórki przybierają dziwaczne kształty warowni, spotkali gromadki pielgrzymów, którzy zmierzali ku Bethabarze. Szli za nimi, kryjąc trędowate oblicza w fałdach płaszczy, jakgdyby pragnęli osłonić się przed chłodem poranka.

Na obydwu brzegach rzeki czekały tłumy Szymon i Łazarz pozostali w pewnem oddaleniu, wśród trzcin.

Olbrzym pół-nagi ukazał się wkrótce na skale nadbrzeżnej. Na tym ogromnym piedestale wydawał się jeszcze wyższym. Wychudłe członki czyniły go podobnym do szkieletu, wstającego z grobu.

— Czyńcie pokutę, wołał, w popiele i w prochu; gniew Boży wezbrał, jak przepełniona czara.

„Czyńcie pokutę, gdyż zaleje on ludy, jak powódź zalewa wybrzeża, i obali lepianki i miasta, otoczone murami.

„Nadciąga on, jak rydwan zwycięski, jak chmura, gromami brzemienna.

„Pyszna Jeruzalem zczeźnie w płomieniach, niby źdźbło słomy, co płonie w letni wieczór.

„Tylko pokuta was zbawi, jak zbawiła Niniwę.

„Dla maluczkich Królestwo Boże wznijdzię, jak jutrzenka. Rychło już Bóg uczyni żniwo dusz“.

Prorok mówił, a wszystkie serca drżały na jego słowa, jak liście za podmuchem burzy.

Byli tam rolnicy o odzieży zapylonej od pracy w polu; kupcy, przybyli z karawanami, wsparci na grzbietach swych osłów i wielbłą-

dów; nie brakło również dumnych rabbi'ch w szerokich lnianych tunikach: ci słuchali niewzruszeni, niby sędziowie.

Maluczcy pochylali czoła, słysząc straszne słowa.

Nagle od strony drogi z Macherontu, z eskortą żołnierzy na czele, ukazało się grono rozbawionych kobiet, które śpiewały.

Jan zamilkł. Coraz wyraźniej dolatywały wyrazy i dźwięki, które padały w skupioną ciszę, zawisłą nad tłumem. Odgłos miarowych kroków znaczył rytm swawolnej piosenki.

Kochać i śpiewać! Śmierć nam zazdrości.
Tylko ci szczęśni, co mogą rwać
Na świata drodze wdzięczny kwiat życia,
Dopóki młodość wieńczy ich skroń.

Welony i włosy tych kobiet rozwiewały się z porannym wiatrem. Drogie kamienie lśniły na ich płaszczach, błyszczały u pasów, jak krople rosy na kwiatach w promiach zorzy. Wzniesionemi ponad głowy, obnażonemi rękoma wykonywały pełne powabu ruchy, na znak radości.

Pieśń płynęła:

Kochać i śpiewać! Wilgotne róże
Pieszczotom wiatru niosą swój skarb.
Kochać i śpiewać! Wiew naszych chlamid
Skrzydeł dodaje miłosnym snom.

Tłum zakołysał się, zaszemrał. Z ust na usta przelatywały imiona tych kobiet. To Salome, córka królowej Herodyady, niedawno przybyła z Rzymu; to Magdalena z Koryntu; to Photyna, kurtyzana z Sichem i inne kobiety bez czci.

Jan zwrócił na grono nierządnic oczy, które płonęły pod łukami brwi, jak pochodnie w głębi górskiej groty.

One zaś śpiewały dalej, nie troszcząc się o tłum.

Letnia poświata wyzłaca kłosy:
Mniej one piękne, niż sploty me;
A gdy nadchodzą wiosny rozkosze,
Mocniejsza rozkosz w oczach mych lśni.

Groźny prorok podniósł głos:

— Niewiasty przeklęte! Usta wasze niosą tchnienie grobu. Szatany w głębi Scheolu radosnem wyciem wtórzą waszym pieśniom.

„Przeklęta bądź, o, Salome, córo wiarołomnej Herodyady! Żyjesz w występku, jak pączek róży w błocie. Trzyma cię Herod przy ognisku swem, jak szakal, ostrząc zęby na kęs padliny.

„Przeklęta bądź, jak matka twoja, przedwcześnie sterana rozpustą, zgarbiona nie pod ciężarem lat, lecz pod brzemieniem zbrodni i hańby!

„Przeklęta bądź wraz z twoją świtą nierządnic: przeklęta bądź wraz z cuchnącymi olejkami i szatami bezwstydnemi!

„Olejki splyną, jak tłuszcz, na rozżarzonych węglach Scheolu.

„Włosy twe zmienią się w żmije i kąsać cię będą.

„Twoje barwione paznogcie wydłużą się w szpony, któremi z wściekłością szarpać będziesz swe ciało.

„W najgłębszej otchłani piekieł naramienniki twe i naszyjniki staną ci się ogniwami kajdan, co skują cię na wieki!..“

Kobiety umilkły: oddalały się śpiesznie ku Tyberyadzie wślad za żołnierzami, którzy szli naprzód, nie zwalniając kroku.

Oddalały się śpiesznie, szczęśliwe, że znalazły w blizkości zarośla trzcinowe, które okryły je przed gradem obelg, co posypały się wślad za niemi.

Krzyki rozlegały się w tłumie.

Najbliżej stojący spluwali z pogardą, gdy przechodziły mimo te występne kobiety; ich wykwintne sandałki brukały się i ślizgały w lepkiem błocie nadbrzeżnem.

Psy rolników i kupców, wałęsające się opodal, ujadały na widok ich szat paradnych, o barwach zbyt jaskrawych.

W popłochu niektóre z nich zabłąkały się w gąszczach azerolij i tamarynd. Głos ich drżał, gdy wołały, pragnąc połączyć się z innemi.

Łazarz, trędowaty, ukryty za gęstym krzewem, znalazł się twarzą w twarz z tą, którą zwano Magdaleną.

Dowiedział się od Andrzeja, że ta kurtyzana, przyjaciółka Salome, jest jego siostrą Maryą, porwaną dzieckiem.

Odrzucił zasłonę, która okrywała twarz jego, stoczoną trądem.

Magdalena wydała okrzyk przerażenia.

— Patrz, powiedział do niej, patrz, Maryo, oto obraz twojej duszy.

— Ja nie jestem Marya, wyjąkała kurtyzana.

— Nie, rzekł Łazarz, tyś już nie Marya; ty jesteś Voxana, niewolnica Manhira, Magdalena, wdowa po Pąpposie, ty jesteś istota, niegodna swego pochodzenia i przeklęta od Boga.

VII.

Progenies viperarum (Math. III. 7).
Rodzaj jaszczurczy.

W miarę, jak uspokajały się różnorodne uczucia: zdumienia, obawy i wstydu, szarpiące duszę Salome, począł wzbierać w niej gniew.

Szła z oczyma, utkwionemi w ziemię, targając w rozdrażnieniu zwoje swego pasa.

Jej towarzyszki nie śmiały przerwać milczenia.

Gdy się droga zwężała między skałami a krzewami kaparowców, żołnierze przechodzili pojedyńczo, rozciągniętym szeregiem; kobiety, które szły za nimi, zwalniały wówczas kroku, by ustąpić pierwszeństwa córce Herodyady.

Salome obmyślała zapewne plany strasznej zemsty.

Jej największem zaufaniem i przyjaźnią cieszyła się w tym czasie Magdalena. Na dworze Heroda nikt się nie domyślał, że wdowa po Papposie była niewolnicą; wiedziano jedynie, że jest bogata i że pochodzi z Koryntu, miasta wszelkiego wykwintu i wszelkich uciech. Zresztą, dzięki swemu wykształceniu, urodzie, egzotycznemu i dziwnemu urokowi mowy i obejścia zdobyła szybko w otoczeniu króla stanowisko wybitne, którego jej powszechnie zazdroszczono.

Nad samym Jordanem, którego brzegiem szedł pochód, Salome zatrzymała się wreszcie w cieniu gaju lentyszków: czuła się znużoną. Żołnierze zatrzymali się również i stanęli z szacunkiem w pewnej odległości od młodej księżniczki.

Zaczekamy tu, rzekła, sadowiąc się w cie-

niu, na lektyki, które Herod wysłał po nas z Tyberyady.

— Co za dzikie zwierzę! dodała, myśląc o proroku.

— Bezczelny!... Prostak!.. odezwało się kilka głosów.

— Moja kochana Mago, rzekła Salome, zwracając się do przyjaciółki, człowiek, który w Rzymie lub w Koryncie uchodziłby za barbarzyńcę, zdatnego do noszenia ciężarów lub do gladyatorskich zapasów, tutaj wzbudza podziw wśród ciemnego tłumu. Mam jednak nadzieję, że jego oszczerstwa i obelgi ustaną wkrótce.

— Dziwny to lud, ci żydzi! odparła Magdalena. Żyją wśród tajemnic, pełnych okropności i zdaje im się, że w głębiach zagniewanego nieba widzą wciąż wrogiego szczęściu ludzkiemu Boga.

Na znak, dany przez Salome, żołnierze przynieśli kosz z zapasami. Gdy kobiety gasiły pragnienie miodem i sokiem cytrynowym, grupa podróżnych ukazała się na drodze, wiodącej z Tyberyady.

Jechali ci podróżni na osłach o wspaniałej uprzęży.

Na czele, dumnie wyprostowany na siodle, zbliżał się człowiek, którego Salome poznała natychmiast.

Na głowie miał on trzy obręcze złote w kształcie mitry.

Dwa rzędy drogich różnobarwnych kamieni zdobiły aż do dołu przód jego białego płaszcza o szerokich fioletowych frędzlach.

Umocowany na złotym łańcuszku zwój pergaminu zwisał mu na piersi.

Twarz, nieruchoma jak maska, miała barwę żółtą, zwłaszcza przy skroniach. Rzadki zarost rysował się półksiężycem pod brodą. Usta pogardliwe, zaciśnięte tchnęły pychą; oczy pod łukami brwi tworzyły jamy okrągłe i czarne, jak gniazda węży.

Lewą ręką w rękawiczce trzymał wodze swego wierzchowca; prawa — drobna i bielona olejkami spoczywała na łęku siodła. Włosy, zlane pachnidłami, w kręconych pasmach spadały mu na ramiona.

„Oto Kajfasz! rzekła Salome. Spotkanie z przyjacielem jest zawsze szczęśliwe.

Arcykapłan poznał córkę królowej. Dwaj słudzy pomogli mu zsiąść. Wysoka postać zgięła się we dwoje przed Salome. W tym ruchu długie włosy opadły mu dokoła głowy, zasłaniając twarz.

Salome dała znak, by usiadł przy niej na trawie. Słudzy przynieśli śpiesznie poduszki, lecz córka Herodyady oddaliła ich ruchem dłoni.

„Jakież to przychylne losy zrządziły, spytała kapłana, że spotykam cię tutaj?“

Gdy zaś Kajfasz zawahał się z odpowiedzią:

— Domyślam się, rzekła drwiąco, że i ty szedłeś do proroka.

— Moim obowiązkiem, odparł Kajfasz zmieszany, wiedzieć o wszystkiem, co dotyczy naszej religii.

— W porę przybywasz, ciągnęła Salome; przed chwilą właśnie słyszałam Jana i mogę ci o nim udzielić najświeższych wieści. Jest to człowiek niebezpieczny, buntownik, oszczerca, pyszny hypokryta, który uważa, że ma pra-

wo o wszystkiem wyrokować. Oddawna należało kazać mu zamilknąć.

— Herod, mój ojczym, ciągnęła, nie pozwalając Kajfaszowi przyjść do słowa, powierzył ci najwyższy urząd, jaki piastować może kapłan Izraela. Przyznaj, drogi Kajfaszu, że dotąd czas kapłaństwa twego nie odznaczał się gorliwością w obronie tronu. Słyszałam, że Jan w swych zuchwałych przepowiedniach zwiastuje przyjście jakiegoś nowego proroka. Niezadługo będzie więcej tych oszustów, niż szakali w zaroślach, które nas otaczają.

Udaję się właśnie, rzekł z godnością Kajfasz, by samemu wydać sąd o nauce Jana.

— Winieneś był to już dawno uczynić, odrzekła córka Herodyady. Dość już namiotał obelg na moją rodzinę. Twój teść, Annasz, byłby z pewnością gorliwszym.

Kajfasz odczuł całą złość i groźbę, zawartą w tej wymówce. Annasz był istotnie złożony z urzędu przez Heroda; zięć mógł również popaść w niełaskę.

— Rzeczywiście, rzekł arcykapłan głosem pełnym uniżoności: ociągałem się jedynie przez wzgląd na ciemnotę i łatwowierność ludu. Odtąd rodzina królewska będzie ze mnie bardziej zadowolona.

— Spodziewamy się, odparła Salome. Zresztą przypuszczam, że król, mój ojczym, postanowił już uwięzić Jana. Przyszła mi ochota usłyszeć tego szaleńca, zanim stanie się nieszkodliwym: nie sprawiło mi to bynajmniej przyjemności. Fałszywy prorok będzie mniej niebezpieczny, każąc w murach więziennych, niż na swobodzie, gdy tumani lud.

— Mogę także kazać Sanhedrynowi wykląć i skazać Jana, wtrącił Kajfasz. nieśmiało.

Gniew Salome uspokoił się nieco. Pewność zemsty złagodziła rany, zadane jej dumie.

Nie życzyła sobie wszakże, by Kajfasz słyszał obelgi, któremi Jan niechybnie obrzucać będzie ją i Herodyadę.

Rzekła więc do arcykapłana tonem spokojniejszym, lecz niedopuszczającym żadnego oporu:

— Idźmy ku Tyberyadzie. Widzę już niewolników, których na nasze spotkanie wysłał mój ojciec.

W tej samej chwili ukazał się istotnie na drodze orszak niewolników. W wązkiej dolinie, którą płynęła rzeka, kosztowne materye, pokrywające lektyki, powiewały jak chorągwie, znacząc barwnemi plamami zielone tło ostrzyc i trzcin wodnych.

IX.

Saltavit filia Herodiadis, et placuit Herodi. (Marc. VI. 22).
Córka Herodyady tańcowała i spodobała się Herodowi.

Północ już była, a jednak zdawało się, że dzień już wszedł w pałacu Heroda, tak wiele światła rozlewały rozliczne pochodnie, przesycone cennymi olejkami.

Złocone ściany komnat drżały, wstrząsane odgłosem śpiewu i tańców.

Na dworze ucztowała służba.

Mury o zaokrąglonych zębach, oświetlone po brzegach, odcinały się, jak grzbiety górskie, na tle zachodzącego słońca.

Wzdłuż kolumnady płonęło w kadzielni-

cach tak wiele storaksu i galbanum, że wietrzyk przepajał się wonią, jak na urodzajnych stokach Karmelu w czasie wiosny.

Król święcił rocznicę swych urodzin.

Perły sypały się z *peplum* tanecznic na marmurową posadzkę, po której prześlizgiwały się ich sandałki.

Płynęły lekko, spowite w zwoje gazy; malownicze grupy spotykały się i mijały, niby motyle w miesiącu Elul na wyzłoconej słońcem równinie Sephela.

Powiew ich szat i obłocznych szali podsycał żar w kadzielnicach.

Antypas i Herodyada, jego żona, spoczywali pod zwiewnym baldachimem z piór strusich. Z głowami pochylonemi pod ciężarem złotych koron, patrzyli na tanecznice.

„Jeżeli Magdalena przewyższa je wszystkie lekkością i wdziękiem, mówiła Herodyada, to dlatego, iż uczyła się w Koryncie tańców Cytery".

„Ja wolę tańce rzymskie, twierdził Herod, który nie spuszczał wzroku z Salome, swojej pasierbicy. Mają więcej godności. Tancerki greckie zbyt gwałtownie poruszają nogami i rękoma. Rzymianka znaczy rytm swych ruchów spokojniej i majestatyczniej".

„Żydówki, ciągnęła Herodyada, są zbyt sztywne w swej *abolli;* wyglądają tak, jakgdyby lękały się, że, tańcząc, wzbudzają gniew swego Boga, który lubuje się tylko w surowości i ofiarach".

Pochyliwszy się ku Antypasowi, Herodyada spytała głosem pieszczotliwym:

„Kiedyż uwolnisz nas od Jana i jego obelg? Zamknięty w lochu wobec pilnującej go straży

nie przestaje obrzucać nas błotem. Jeden tylko jest sposób uzyskania spokoju".

— Jaki? rzekł Herod tonem obojętnym i znudzonym.

— Sam wiesz.

— Prorok mści się nawet po śmierci, powiedział.

— To urojone obawy. Umarli nie mówią i nie wracają nigdy.

— Kto wie? odparł Herod po chwili. Jan nie jest podobny do innych ludzi. Nie czynią mu krzywdy żmije i skorpiony, które wrzuciliśmy do jego lochu.

— Czarnoksiężnicy umieją zaklinać węże. Kapłani egipscy czynią codziennie rzeczy stokroć bardziej zdumiewające".

W tej samej chwili wszystkie kobiety pod wpływem zmęczenia, lub też raczej na znak, dany przez Herodyadę, przestały tańczyć i spoczęły na łożach.

Salome tylko tańczyła wciąż, kołysząc się rytmem wolniejszym i jakby omdlewającym.

To pochylała się jak kłos za podmuchem wieczornego wietrzyka, to płynęła, przeginając się niby łabędź na falach jeziora. Ramiona jej wznosiły się, zataczały kręgi i opadały harmonijnie, jak ręce kosiarek, co kędyś w powietrzu rozrzucają długie garście wonnego siana.

Za chwilę ramiona jej zawirowały szybko, jak promienie koła; kamienie w naramiennikach tanecznicy zamigotały, jak ogon pawia, rozpostarty w słońcu.

Potem zaczęła odtwarzać hieratyczne linie posągów greckich, które widziała była w Rzymie, w świątyni Wenery. Przechylała się wy-

twornie, a splecione ramiona naśladowały pałąki amfory i wraz prostowała się wyniośle, jak dumna bogini, co czeka na należną sobie cześć i hołdy.

Wkrótce zataczać poczęła dziwaczne kręgi: cała postać unosiła się w powietrzu, a śmigłe nogi zdawały się znaczyć jedynie zmienny rytm coraz wdzięczniejszych póz i poruszeń. Uleciała w górę w obłoku gazy i opadła na ziemię tak lekko, jak ptak na pochyłą gałązkę.

Tańczyła wciąż. Na jej piersi migotały i trzaskały perłowe naszyjniki, jak snopy iskier w podsycanem ognisku. Blask klejnotów stapiał się z przelotnymi błyskami jej oczu.

Włosy opływały ją całą falistymi splotami, niby woda, spadająca z przechylonej czary w świetle gorejącej pochodni.

Wreszcie zdało się, jak gdyby zapomniała o wszystkiem, co ją otacza, ścigając jakąś świetlaną zjawę senną: stanęła bez ruchu, uniesiona zachwytem... Potem znowu zwolna, rytmicznie kołysać się poczęła, wyciągając ramiona i poruszając dłońmi, jak gdyby przyzywała tajemnym znakiem kogoś niewidzialnego.

Bez znużenia, bez widocznego wysiłku, ruchy jej nieznacznie stawały się coraz szybsze; wirowała coraz zawrotniej, aż wreszcie stała się kształtem mglistym, owianym białością i blaskiem: uśmiech jej tylko biegł uporczywie ku Herodowi...

Król dyszał ciężko. Z oczyma utkwionemi w tanecznicę, był jak ptak, obezwładniony szumem jastrzębich skrzydeł. I on także ścigał sen-marzenie, iż zerwie się z ziemi i z tą cudną zjawą zatonie w raju rozkoszy...

Nagle Salome zachwiała się. Obnażone

ramiona zatrzepotały w powietrzu, jakby szukając oparcia i tancerka padła bezwładnie na posadzkę, lecz w pozie tak wyszukanej, że trudno było zgadnąć, był li to przypadek—czy też może wymysł jej czarodziejskiej sztuki.

Herod w jednej chwili znalazł się przy niej. Ukląkł, wziął ją w ramiona: uniósł ją lekko z ziemi.

— Moja córko! Moja córko!—wołał nieprzytomnie.

Całował jej czoło i włosy, powtarzając bezładnie: „Połowę królestwa, królestwo całe temu, kto przywróci mi córkę!“

Herodyada śledziła tę scenę bez widocznego wzruszenia.

Przybiegli niewolnicy, niosąc naczynia z pachnącą wodą, gąbki, potrawy, wzięte w pośpiechu ze stołów.

Magdalena zwilżała zlekka czoło swej przyjaciółki, kładąc jej jednocześnie rękę na sercu, by śledzić jego uderzenia. Głowa jej dotykała prawie głowy Heroda.

Nakoniec Salome otworzyła oczy. Herodyada pochyliła się nad nią czule i szeptała jej coś do ucha, zazdrosnym gestem odsuwając wszystkich.

Wzrok Salome, której zwolna wracały rumieńce, utkwiony był uporczywie w czarę pękatą i zaokrągloną, stojącą na złotej misie, trzymanej przez niewolnicę, wysoką moabitkę.

Naczynie to przypominało kształtem głowę ludzką.

Herod z zachwytem wpatrywał się w Salome, która odzyskiwała zmysły.

Pochylił się znowu nad nią: „Proś, o co chcesz, mówił. Choćbyś zażądała połowy kró-

lestwa mego, — dam ci. Ale nie umieraj: tyś jest moje życie".

Salome zwróciła na króla spojrzenie jeszcze zmącone.

Matka jej, Herodyada, wciąż mówiła coś do niej pocichu z tkliwością.

„Wiesz, rzekła wreszcie Salome do Heroda nieśmiało, wiesz, czego chcę".

— Nie, odparł Herod; lecz proś, a przysięgam, że o cokolwiek prosić będziesz,—otrzymasz.

Salome wahała się jeszcze.

— Proś, powtórzył Herod: przysięgam na wszystkie bogi, niczego ci nie odmówię.

Salome zwolna przeniosła wzrok na czarę, trzymaną przez niewolnicę i rzekła tonem tak słodkim, jak gdyby nie pojmowała znaczenia słów, które wymawia:

„Proszę, byś na tej misie dał mi głowę Jana Chrzciciela".

Milczenie zapanowało takie, że słychać było nieuchwytne trzeszczenie pochodni, zatkniętych u kapitelów w miedzianych obręczach.

Twarz Heroda sposępniała.

Magdalena położyła na ziemi gąbkę, zwilżoną wonnościami: nie śmiejąc zrozumieć, patrzyła na pierś Salome, wstrząsaną lekkiem drżeniem.

Z podwórza dolatywał zgiełk i zmieszane głosy ucztujących żołnierzy, którzy nic nie wiedzieli o scenie, rozgrywającej się w pałacu.

Herod dał znak straży, która opuściła natychmiast komnatę.

Przeniesiono Salome na purpurowy *heres*, z którego przed chwilą wstała Herodyada.

Głuchy łoskot rozległ się wkrótce w podziemiach królewskiego pałacu. Kędyś z od-

dali dobiegał odgłos ciężkich, miarowych kroków zbliżającego się oddziału żołnierzy.

Rozsunęła się zasłona, usiana wzorzystymi hieroglifami.

Na czele straży ukazał się czarny olbrzym z ogromnym mieczem, którego ostrze wystrzelało ponad jego głowę. W prawem ręku na wysokości piersi trzymał bezkształtną jakąś masę.

Człowiek ten stanął przed Herodem i Salome.

W tej samej chwili światło padło na przedmiot, który trzymał w ręku.

Była to głowa ludzka.

Na złotą misę, na której spoczywała, spływały długie włosy i strumienie krwi.

Rozwarte usta zdawały się zwiastować rzeczy straszne, których znaczenie pojmuje człowiek po śmierci.

Oczy w migotliwym blasku pochodni zdawały się widzieć jeszcze.

Magdalena, zdrętwiała z przerażenia, usunęła się niedość szybko: rubinowa kropla krwi padła na jej chlamidę z błękitnego jedwabiu. Kobieta drgnęła, jak gdyby ta krew przeniknęła nawskroś jej duszę.

X.

Perturbata conscientia (Sap. XVII. 10).
Sumieniem zatrwożona.

W swojej willi w Sefron, w pobliżu Magdali, nudziła się wdowa po Papposie.

Na dworze Heroda ukazywała się rzadko: od czasu ostatniej sceny w Macheroncie czuła do Salome niepokonaną odrazę.

Błądziła smutna w długiej alei platanowej lub też siadywała na pagórku między dwiema palmami; widać stąd było taflę jeziora błękitnego jak niebo; w tem lazurowem przestworzu mknęły chyżo białe ptaki i żagle małych łodzi rybackich.

Wody Kinereth'u przypominały Magdalenie wielką rzekę, która w Ktesifonie płynęła wzdłuż ogrodów Manhira. W jej wyobraźni przesuwały się wspomnienia strasznych scen niewoli. Zdało jej się, że przez okno izdebki, w której zamykano ją często, widzi jeszcze rude osły na placu, zalanym słońcem, słyszy krzyki wielbłądników o obliczach, spalonych na wietrze pustyni: odziani są w luźne tuniki, spadające na obnażone nogi. Przy niej stoi dzban z wodą, opodal na ławie leży wełna, którą prząść ma przez dzień cały...

Potem przyszła jej na pamięć podróż z Ktesifonu do Koryntu, podróż, która była pierwszym etapem wielkich zmian, mających zajść w jej życiu. Zdało jej się, że siedzi na grzbiecie wielbłąda i czuje nieznośne kołysanie, które przyprawia ją o zawrót głowy. Widzi niezmierzony obszar piasków, na których wyrastają gdzieniegdzie kępki spalonej trawy.

Pod wieczór karawana zajeżdżała zwykle na podwórze jakiegoś zajazdu, pełnego odoru stajni: spano w szopach snem ciężkim, przerywanym hałasem odjazdu i przyjazdu podróżnych.

Jakie to wszystko dalekie!..

Przed oczyma jej stanął Korynt: przechadzki z Papposem nad zatoką albo na Geranii, po ścieżkach obrzeżonych akantem. Gdyby nie miłość, którą wzbudziła w Papposie, by-

łaby dotąd niewolnicą. Rzymianin, który tak uporczywie walczył o nią na targu korynckim, byłby ją powiózł na Zachód, do Rzymu może.. Od czego zależy los człowieka!..

Byłaby bardzo pragnęła ujrzeć ten Rzym, o którym słyszała tyle. Lecz mówiono, że los niewolników jest tam straszny.

Tu—żydzi nią pogardzają, choć nie znają jej przeszłości. Nie mogą jej darować przebywania na dworze Heroda i życia swobodnego, zdanego na wolę kaprysu, w pogoni za rozkoszą.

Chciała zżyć się z nimi, nawiedzać ich synagogi,—wypędzono ją. Zresztą to, co wiedziała o prawie Mojżeszowem, budziło w niej niechęć. Była to religia zbyt surowa, rzucająca jakiś tragiczny cień na życie ludzkie, i bez tego tak smutne!

Teraz, gdy wszystko zdawało się uśmiechać do niej, powinna czuć się szczęśliwą, — czemuż ciężej jej żyć, niż w czasie niewoli? Zaszła w niej jakaś niepojęta zmiana. Duszę jej cichą i pokorną opanował niepokój, chaos sprzecznych uczuć i pożądań. Stała się pastwą lęku, żalu, wyrzutów sumienia, przedtem nieznanych.

Jednego popołudnia, gdy siedziała na ulubionym pagórku pod dwiema palmami, wezbrało w niej uczucie większego jeszcze opuszczenia i niedoli.

— „Dawniej, myślała, lękałam się jedynie nadmiaru pracy i chłosty, wymierzanej niewolnikom.

„Wyobrażałam sobie, że bez tych utrapień byłabym szczęśliwa: było to złudzenie.

„Małżeństwo z Papposem wyzwoliło mnie

z niedoli, a jednak sercu memu nie dało prawdziwej radości.

„Nowe pragnienia zrodziły się w mojej duszy; dręczyły mnie one coraz boleśniej w miarę jak życie moje stawało się napozór piękniejsze, bardziej godne zazdrości.

„Szczęście jest widać jak to słońce, co świeci nad ziemią. Gdy jest daleko, o świcie lub u zachodu, rozjaśnia tysiącem barw czarownych wzgórza i obłoki: to nasze nadzieje. Lecz gdy się zbliży, gdy stanie u zenitu, pali niszczy wszystko. Podobnie i duszę naszą trawi i wysusza ogień namiętności.

„W pogoni za rozkoszą biegłam drogą, wiodącą ku przepaści. Mrok dokoła mnie zgęstniał, a wszystkie uciechy pozostawiły w sercu żal, odrazę i pogardę.

„Zazdrosnem okiem patrzę na kobietę z ludu: spokojna, szczęśliwa, po całodziennej pracy zasiada na progu swego domostwa i karmi małe dzieciątko.

„Zazdroszczę ptakowi, co buja w błękitnem przestworzu: nie posiada on duszy i nie doznaje wyrzutów sumienia. Nie zna zła, ani grzechu.

„Trędowaty, który zastąpił mi drogę nad Jordanem, rzekł do mnie: „Oto obraz twojej duszy“. I ukazał mi twarz, pokrytą ranami“.

W tej chwili przyszedł jej na myśl posąg Psyche na Kranionie, budzący zachwyt w Koryncie. Kochanka Erosa przedstawiona tam była w postaci leżącej, na łożu kwiatów, ze złotą palmą w ręku, z oczyma wzniesionemi do nieba.

— „Koryntyanie mawiali, żem piękniejsza od Psyche, myślała. Lecz czyż mógłby mnie po-

kochać bóg miłości, mnie, co mam duszę bardziej zeszpeconą grzechem, niż oblicze człowieka, toczonego trądem!"

Nagle powstała. Przed oczyma jej stanęła zjawa straszniejsza jeszcze, niż obraz trędowatego. Ujrzała głowę Chrzciciela, Jana: oblicze blade, sine, strumienie krwi, spływającej z włosów.. Czerwona plama krwawiła się dotąd na szacie przyjaciółki Salome.

Zatrwożona, smutna, skierowała się ku domowi; przechodząc przez zarośla laurów i lentyszków, dotykała ręką ich gałązek, by rozbudzić w sobie poczucie rzeczywistości i odegnać straszne przywidzenia.

Czyż nigdy nie pozbędzie się tych wspomnień? Krwawa plama na chlamidzie nie ustąpiła pod żadnymi płynami nie znikła nawet na zaklęcia wróżbitów, których za drogie pieniądze sprowadziła z Mytileny. Kilkakrotnie chciała już spalić złowrogą szatę: powstrzymywała ją od tego jakaś zabobonna trwoga. Miała uczucie, że los okrutny każe jej zachować i czcić tę krew pod groźbą strasznych nieszczęść: prorok mściłby się na niej, gdyby spaliła ten znak tajemniczy.

Chwiejnym krokiem weszła na próg swego domu. Trzy służebnice przędły cienką wełnę z Seforis. Ten widok przypomniał jej dawną niewolę. Wyszła na taras, osłonięty purpurowem *velarium* przed palącymi promieniami słońca.

W powietrzu orzeł zataczał bez końca szerokie kręgi. Nagle zatrzymał się, zawisł w błękicie, bijąc skrzydłami, z szyją wyciągniętą ku ziemi. Potem spadł jak strzała, zapewne, by porwać upatrzoną zdobycz.

„Jestem jak biedne ptaszę, myślała Magdalena. Ono, być może, ujdzie szponów orłowych: ale ja, choćbym uniknęła wszystkich niebezpieczeństw, przed sobą nie znajdę ucieczki. „Któż uzdrowi cierpienie mojej duszy?...“

Mówiono o drugim jakimś proroku, imieniem Jezus. Był on dziwniejszy jeszcze od Jana, choć łagodniejszy w słowach swych, słodszy, łaskawszy dla ludzi.

Myślała, by udać się do niego; lecz i on pewno ją przeklnie, a los jej stanie się gorszym jeszcze, niż obecnie.

Nie mogąc znieść samotności, przywołała na taras swoją wierną Euxemę, jedną z niewolnic, przywiezionych z Koryntu.

Euxema była prawdziwie przywiązana do Magdaleny Służyła jej radą i pociechą. Starsza od niej, łączyła niejakie wykształcenie z wielką znajomością życia i doświadczeniem.

Ale zaledwie zbliżyła się do swej pani, ta kazała jej odejść.

Magdalena lękała się samotności; a wszelkie towarzystwo było jej cięższe jeszcze do zniesienia, niż samotność.

XI.

Cum feris erit habitatio tua (Dan. VI. 22).
I z zwierzem będzie mieszkanie twoje.

W kilka dni później niewolnica Salome przyniosła Magdalenie list z zawiadomieniem, że nazajutrz Piłat, prokurator rzymski w Judei, przybędzie na dwór Heroda. Salome zapraszała swoją przyjaciółkę na ucztę, która wyprawiona będzie na cześć rzymskiego dostojnika.

Wdowa po Papposie przyjęła zaproszenie nie tyle przez wzgląd na Salome, którą lubić przestała, ile dla przerwania nużącej jednostajności życia.

W pałacu królewskim w Tyberyadzie Salome powitała ją z przesadną uprzejmością i obie przyłączyły się do orszaku, dążącego na spotkanie Piłata.

Herod pragnął roztoczyć na przyjęcie gościa przepych dworów Wschodu.

Niewolnicy usiali ścieżki kwiatami; na drzewach wisiały białe tabliczki z czerwono wypisanem życzeniem: *„Pontius Pilatus vivat!“* i literami *S. P. Q. R;* storaks i kadzidło płonęły w kadzielnicach, ustawionych wzdłuż drogi wśród krzewów.

Na czele orszaku, na białym koniu, okrytym purpurowym czaprakiem, jechał Herod; złote liście wieńczyły jego głowę, osłoniętą trzymanym przez niewolników parasolem o długich frędzlach.

Piłat przybywał pieszo, odziany w skromną podróżną togę; całą jego świtę stanowiło dwunastu legionistów w pełnej zbroi. Pot perlił się na łysej czaszce gościa.

Herod zląkł się, by jego przepych nie uraził rzymianina, zsiadł więc z konia.

Piłat otarł czoło połą zakurzonej togi i podał rękę królowi, jak podwładnemu. Herod ujął ją z pokłonem, układnie i nie dosiadając konia, wraz z prokuratorem wracał pieszo do Tyberyady.

Przed pałacem ustawiona była straż królewska. W nowych tunikach, z zielonymi pasami dokoła bioder, żołnierze wyglądali, jak świeżo pomalowane słupy.

Na obszernym dziedzińcu niewolnicy, przeważnie murzyni, stali dokoła ozdobionego kwiatami stołu z chłodzącymi napojami.

Piłat dotknął wargami złotej czary z musującem winem i poprosił, by zaprowadzono go do łaźni.

— Co za prostak! pomyślał Herod.

— Stary już, rzekła Salome.

Herodyada, która przywdziała była wspaniałą szatę, wyszywaną drogimi kamieniami, dygotała z gniewu: prokurator nie spojrzał na nią.

Kazano zamilknąć rogom i fletom.

Dokoła stołów zasiedli legioniści. Piłata.

Rzucili się żarłocznie na wykwitne ciasta i mięsiwo, przygotowane dla ich wodza.

Wracając do pałacu, Herod i jego żona rozmiawiali ze sobą pocichu o grubiaństwie rzymianna i z niepokjem myśleli, jak przejjdzie ten dzień, który tyle kosztował zachodn.

Salome wraz z Magdaleną weszła na płaski dach pałacu, w oczekiwaniu na wielką ucztę, naznaczoną na szóstą godzinę.

Zaproszony na nią był Kajfasz i znakomitsi członkowie Sanhedrynu.

Herod zawezwał także, nowego proroka Jezusa. Zapewne uczyni jakiś cud w obecności Piłata. Zadziwiłoby to prokuratora, który udawał znudzonego i przesyconego wszystkiem.

Magdalena siadła obok Salome na marmurowej ławie przy balustradzie z bronzu, otaczającej taras.

Po jeziorze przebiegały wraz z wietrzykiem blaski słoneczne; tysiączne chorągiewki, zdobiące królewską galerę, powiewały, jak gdyby chciały zerwać się i ulecieć. Że złoconym

dziobem i tyłem, wygiętym ku górze, okręt podobny był do półksiężyca, rzuconego na fale. Zielone brzegi jeziora, usiane białemi i różowemi willami, z oddali, w świetle wyglądały jak szmaragdowy aksamit.

Obie kobiety marzyły w milczeniu.

Grupy podróżnych w paradnych szatach zmierzały już ku Tyberyadzie.

Stadyum nad jeziorem roiło się od robotników, którzy gracowali ziemię i wznosili obszerne estrady z desek.

Salome klasnęła w dłonie: na tarasie zjawiła się niewolnica.

Była to wysoka dziewczyna o błyszczących oczach. Szeroka opaska z czerwonego jedwabiu podtrzymywała bujne czarne włosy, z błękitnawym metalicznym połyskiem, jak skrzydła kruka. Suknia bez rękawów ukazywała ciemne ramiona; nogi obnażone po kolana, zdawały się zbyt szczupłe do wysokiego wzrostu niewolnicy.

„Jest ona córką jakiegoś arabskiego króla, objaśniała Salome. Nasi żołnierze schwytali ją wraz z jednym z jej braci. Wzięłam ją sobie do posług; jest jednak bardzo niezręczna, a poskromienie jej dumy wiele przyczynia mi trudu.

— Ildibarto, rzekła, zwracając się do dziewczyny, przynieś nam dwa zwierciadła.

— Godzina uczty nadchodzi, ciągnęła, niewiele nam czasu zostaje na ostateczne przygotowania.

Młoda arabka powróciła wkrótce z dwoma srebrnemi blachami, oprawnemi w drzewo oliwne. Przetarłszy metal koźlą skórą, podała zwierciadła swojej pani, która ofiarowała jedno z nich Magdalenie.

Na porfirowym okrągłym stoliku leżało kilka wiązek pędzelków między dwoma rożkami z różem.

Salome oparła zwierciadło na czole niewolnicy, która miała je trzymać na odpowiedniej wysokości.

Spojrzawszy w nie, wydała okrzyk gniewu. Na metalowej tafli dostrzegła nieznaczną rysę.

Gwałtownym ruchem schwyciła leżącą na stoliku długą szpilkę i przebiła nią lewe ramię Ildibarty.

Niewolnica stłumiła jęk bólu.

Parę kropel krwi trysnęło na szatę Salome, co doprowadziło ją do szału.

„Dzika bestyo! krzyknęła, ciskając jej zwierciadło w twarz, każę ci wyrwać te wstrętne pazury!

Na krzyk Salome przybiegła inna niewolniaca. „Zabierz Ildibartę, rzekła do niej królewna, powiesz, by jej wyrwano paznogcie u prawej ręki".

Potem zwracając się do Magdaleny, która niczem nie zdradziła oburzenia, jakie w niej wywołało to zajście: „Muszę zmienić suknię, —rzekła.—Nie wiem, czy zdołam ujarzmić tę córę barbarzyńców".

XII.

Leatabuntur (Psalm CII, 5).
Rozradują się.

W pałacu swym, pośrodku atrium, Herod wielkim nakładem pieniędzy kazał zasadzić trzy wysokie palmy, wykopane z nad brzegów Jordanu. Od ich pni aż do podwójnego szeregu arkad, które rzeźbionymi łukami otaczały dzie-

dziniec, biegło kilka mocnych lin. Przez zarzucone na nie zasłony o żywych barwach sączyło się łagodne różnokolorowe światło na zastawione do biesiady stoły.

Stoły te tworzyły podkowę. Wewnątrz, dokoła palm, pozostawiono obszerną przestrzeń dla usługujących niewolników.

Herod zajął miejsce honorowe, naprzeciw wejścia do pałacu. Piłat zasiadł obok niego, po prawej stronie, na tem samem *triclinium*. Dla Kajfasza i znakomitszych żydów przeznaczony był drugi stół na prawo. Przy trzecim na lewo, siadły kobiety. Dzięki temu porządkowi w myśl obyczajów żydowskich kobiety oddzielone zostały od mężczyzn; kapłani zaś, odosobnieni od pogan, nie narażeni byli na styczność z nimi i na popełnienie grzechu.

Magdalena znalazła się przy Salome. Herodyada, której postać ginęła pod stosem klejnotów, spoczywała w postawie pół leżącej na pokrytem makatami *acubinum*, naśladującem tron królewski.

Naprzeciwko Herodyady, lecz przedzielony od niej obszerną przestrzenią między dwoma stołami, siedział Kajfasz o wyniosłem czole, ozdobionem wysoką tyarą ze złotą obręczą.

Młodzi, biało odziani, niewolnicy chłodzili biesiadników wachlarzami z piór strusich. Co pewien czas dorzucali po garści kadzidła do kadzielnic i skrapiali ucztujących galbanum i piżmem.

Dokoła koszów z bzem i cyklamenami ustawione były muszle perłowe, pełne korzennych przysmaków. Ciasta na bursztynowych misach naśladowały barwą i kształtem domy, twierdze i góry, pokryte śniegiem. Naczynia

ze szkła fenickiego napełnione były pierzastymi liśćmi kminu i brunatnymi krążkami rzerzuchy wodnej.

Naprzód podano udźce koźle w sosie z miodu, móżdżków ptasich i cytryny.

Biesiadnicy wycierali ręce o żytnie podpłomyki, które służba zmieniała często, rzucając użyte psom.

Piłat jadł niewiele. Badawczym wzrokiem śledził grupę kapłanów. Gdyby miały wybuchnąć nowe rozruchy, stamtąd groziłoby niebezpieczeństwo.

Herod był według prokuratora zbyt wielkim tchórzem, by miał się ważyć na cokolwiek; siedział on ze spuszczonem czołem, jak lis, co unika światła dziennego. Chcąc przypodobać się Piłatowi, miał głowę odkrytą, jak rzymianie.

Dostojnicy dworu Heroda i urzędnicy rzymscy, zaproszeni na cześć Piłata i siedzący przy środkowym stole, posługiwali się na przemiany językiem greckim i łacińskim; lecz naprawo, przy stole, gdzie siedzieli żydzi, których barwne turbany wiły się pstrym szlakiem, mówiono umyślnie tylko po aramejsku. Żydzi nie jedli wielu skomplikowanych potraw, obawiając się, że do ich przyrządzenia użyto pokarmów nieczystych. Często podnosili czary na wysokość czoła i odwracali się pijąc, co budziło wesołość wśród rzymian.

Powoli powietrze przesycało się wonią mięs i pachnideł: języki się rozwiązały.

Dokoła Piłata mówiono o śmierci Sejana. Cemprius, który świeżo wylądował w Joppie, opowiadał, jak motłoch rzymski wlókł na Genonie dawnego ulubieńca, niegdyś pana świata.

— Tyberyusz, mówił, dowiedział się o wszystkiem z listu Antonii.

Kobiety rozmawiały o ostatnich cudach Jezusa. Nowy cudotwórca miał wkrótce przybyć na biesiadę, na którą go zaproszono: cieszyły się zawczasu nadzieją ujrzenia dziwów.

Przy stole, gdzie siedział Kajfasz, Faryzeusze wszczęli znowu odwieczny spór z Saduceuszami.

„Nie, wołał Falcyasz z obliczem rozpłomienionem od wina, naczynie gliniane jest nieczyste wewnątrz, tylko wewnątrz: Józef ben Jochannam mylnie przypisuje nieczystość całemu naczyniu. Nie przeczę, że jest wielkim doktorem, ale dowodzenie jego jest słabe. Ma zato zupełną słuszność, gdy twierdzi, że woda, spływająca z naczynia nieczystego do czystego, dopóki znajduje się w powietrzu — dopóty jest jeszcze czysta".

Dalej nieco bogaty Szymon z Magdali sprzeczał się z Alcyaszem z Kafarnaum.

„Sabbat, mówił Szymon, rozpoczyna się w przeddzień dopiero wraz z ukazaniem się trzeciej gwiazdy".

Lecz Alcyasz twierdził uparcie, że przy drugiej i z przesadnym zapałem cytował Zadoka, rozkoszując się jednocześnie smakowitym kremem z mleka oślicy i tartego sera.

Saduceusze zajadali żarłocznie ciastka liliowe i lotusowe, sprowadzone z Egiptu. Faryzeusze gardzili tymi przysmakami, pochodzącymi z kraju Faraonów, dawnych prześladowców ich narodu.

Ku końcowi uczty misy i kosze, zajmujące środek atrium, zniknęły, uprzątnięte przez niewolników.

Ze śpiewem na ustach w pląsach wbiegły młode tancerki. Niektórzy Faryzeusze, zgor-

szeni tą pogańską zabawą, powstali i odeszli. Kajfasz pozostał, by nie obrazić Heroda.

Potem przy akompaniamencie cytry Magdalena odśpiewała odę Safony:

Amor, król bogów i ludzi,
Odmienił czasu bieg...

Ujmujący wdzięk jej ruchów i greckiego stroju zachwycił rzymian.

Piłat przechylił się ku Herodowi, by zapytać, kto jest ta kobieta.

Wówczas Salome uznała, że nadeszła dla niej odpowiednia chwila. Wybiegła na środek dziedzińca, otulona w lekką tkaninę z Kos; dokoła jej obnażonych ramion i nóg dzwoniły maleńkie złote dzwoneczki. Włosy miała skarbowane i zwinięte w węzeł: na tyle głowy srebrne szpilki o perłowych łebkach rozstrzelały się w wachlarz, jak ogon zrywającej się do lotu synogarlicy.

Salome czuła, że w świetle dziennem nieskromność jej szat stała się rażąca. Piłat patrzył obojętnie, a nawet pogardliwie.

Dla zwrócenia na siebie uwagi dostojnego gościa Salome zaczęła śpiewać. Głos jej z natury nieco słumiony utracił zupełnie dźwięczność w powietrzu gorącem i ciężkiem, przesyconem wonią pachnideł. Tłuszcz, którym namaściła była włosy spłynął jej do twarzy; róż barwiący paznogcie, czerwonemi smugami ściekał wraz z potem na dłonie, któremi tancerka wykonywała powolne, pełne przesady ruchy.

Prokurator począł okazywać zniecierpliwienie. Pilno mu było wstać, by rzymskim zwyczajem chodząc oddawać się trawieniu.

Nakoniec Herod dał znak Salome, która szeleszcząc jedwabiami padła napół omdlała w ramiona niewolnic, wśród zmieszanego gwaru nieszczerych zachwytów i oklasków.

Ale córka Herodyady miała pełną świadomość swego niepowodzenia. Wydało jej się, że na ustach Magdaleny dostrzegła przelotny ironiczny uśmiech.

Od niejakiego czasu straciła sympatyę dla wdowy po Papposie; w owej chwili zapałała do niej nienawiścią. Postanowiła nie zdradzić się z tem, by przy nadarzonej sposobności wywrzeć na dawnej przyjaciółce tem okrutniejszą zemstę.

Na stadyum igrzyska rozpoczęły się od gonitw, które znudziły Piłata, nawykłego do krwawych widowisk cyrkowych. Nie zajęły go również zapasy siłaczy i popisy sztukmistrzów; wolałby był zobaczyć walkę gladyatorów. Herod wyjaśnił mu, że pojęcia, panujące w narodzie żydowskim, nie pozwalają na urządzanie podobnych widowisk. „Jednak, dodał, na twoją cześć prawdziwa bitwa zakończy igrzyska".

Z czterdziestu niewolników różnych narodowości utworzono dwa oddziały. Dwudziestu jeźdźców, zaopatrzonych w strzały i pancerze, jak Partowie, miało walczyć z dwudziestu ludźmi piechoty, zbrojnych w miecze i tarcze. Pozostali przy życiu zapaśnicy zwycięskiego oddziału mieli być udarowani wolnością.

Piechota ustawiona kręgiem pośrodku stadyum czekała na atak jeźdźców. Ci wypuścili konie galopem, lecz na dwa kroki od nieprzyjaciela nagłym zwrotem skręcili w bok i pomknęli w stronę jeziora. W ucieczce miotali

przez lewe ramię strzały, naśladując w tem barbarzyńców, których mieli wyobrażać.

Wówczas piechota rozwinęła się w szereg i następując na Partów zamknęła im odwrót. Jeźdźcy jednak rozdzielili się na dwie grupy, które przemknęły w klusie pomiędzy *podium* a dwoma skrzydłami nieprzyjacielskiego szeregu. Kilku pieszych padło pod strzałami.

Ale ich towarzysze w mgnieniu oka zmienili front i rozbici na dwa półkola biegli, by otoczyć Partów, lub osaczyć ich u stopni *podium* Dla utorowania sobie drogi jeźdźcy musieli przebić się przez nieprzyjacielskie szeregi.

Piesi poszczerbili miecze, które odskakiwały od pancerzy; wówczas poczęli ciąć nogi końskie.

Kilka zwierząt padło.

Zapanował zgiełk i zamieszanie. Jeźdźcy krążyli bezładnie. Liczba ich znacznie się zmniejszyła.

Ludzie i konie tarzali się w pyle i w kałużach krwi.

Strzały padały zewsząd. Kilka przeleciało nad głowami widzów: dały się słyszeć okrzyki przerażenia. Rzymianie śledzili przebieg walki obojętnie; lecz żydzi rzucili się do ucieczki. W popłochu ludzie spychali się ze stopni wzniesienia.

Herod, zdjęty lękiem, kazał zaprzestać bitwy.

Piłat rzekł z pogardą. „Twój naród jest jeszcze zbyt barbarzyński, by smakować w podobnych widowiskach. Widok prawdziwej bitwy przystoi tylko ludowi rzymskiemu".

Gdy noc rozpaliła gwiazdy ponad jeziorem Kinereth, królewska galera pomknęła po fali,

kołysana rytmicznym ruchem sześćdziesięciu wioseł. Pochodnie smolne i pakuły, przesycone wonnemi olejkami, płonęły na wysokich żelaznych masztach, wbitych w pokład statku.

Herod, siedzący na poduszkach przy dziobie galery, mówił do Piłata:

„Nie rozumiem, czemu Jezus nie stawił się na moje zaproszenie. Po raz trzeci ślę już do niego posłów: zawsze odmawia.

— Być może, odrzekł Piłat, iż lęka się losu innego proroka, który, jak słyszałem, był jego krewnym.

— Padłem ofiarą podejścia, tłomaczył się Herod, upokorzony tem szyderstwem.

— Naraziłeś się na niezadowolenie Rzymu, który zachowuje dla siebie *jus gladii*, rzekł prokurator.

Król wyjąkał coś na swoje usprawiedliwienie i obaj zamilkli.

Na tyle okrętu kobiety śpiewały.

W przerwach, gdy zapanowało chwilowe milczenie, wzbijał się w niebo głuchy pomruk, niby skarga. Był to głos wiosłujących niewolników, którzy miarowo powtarzanym monotonnym jękiem znaczyli rytm wytężonej pracy.

Po obu bokach statku dwa szeregi wioseł jak dwie olbrzymie płetwy uderzały fale. Na śnieżnej bieli pian pochodnie rozpalały blaski pożaru. Śladem galery mknęły łodzie rybackie, krążąc jak ćmy wodne dokoła pochodni.

Przy wielkim malowanym maszcie, służącym raczej do ozdoby niż do użytku, Herodyada, Kajfasz i faryzeusze wiedli ożywioną rozmowę.

Oni również mówili o Jezusie.

Magdalena, czując, że jej obecność krępuje Salome, siadła przy królowej.

„Nie jest on tak niebezpieczny, jak Jan, mówiła Herodyada; nie jest szaleńcem jak tamten. Powiadają, że jest łagodny i wstrzemięźliwy w słowach. Mimo to nie mam do niego zaufania: zdaje mi się, że obaj musieli być w zmowie; kilku uczniów Jana już poszło za Jezusem".

„Ale ty, dodała królowa zwracając się do arcykapłana, co myślisz o nim?"

— „Jego uporczywe unikanie tych, na których Bóg włożył obowiązek zachowywania i tłomaczenia Prawa, rzekł Kajfasz, nie wróży nic dobrego o jego zamiarach".

— Czy słyszałeś go? spytała Herodyada.

— Nie, odparł Kajfasz; nie jest rzeczą władzy religijnej czynienie pierwszego kroku do tych mniemanych proroków; oni to winni przyjść do nas.

— Ja go słyszałem, rzekł Falcyasz. Mówi z talentem, szkoda tylko, że ten dar wymowy oddaje na usługi niedorzecznych idei.

Widząc, że obecni patrzą nań ze zdziwieniem, Falcyasz uznał za stosowne udzielić bliższych wyjaśnień.

„Tak, ciągnął, twierdzi naprzykład, że najszczęśliwsi są ci, którzy cierpią, że ubodzy są bogatymi, i mnóstwo innych dziwacznych rzeczy".

„Pozatem lubuje się w towarzystwie żebraków i motłochu",

— To niedorzeczne, rzekł Kajfasz z pogardą.

— A jednak, wtrącił faryzeusz Nikodem, mówiono mi,—sam bowiem nie chodziłem go słuchać,—mówiono mi, że porywa tłumy, a nawet...

— Każdy oszust, przerwał Kajfasz, potrafi otumanić lud.

— Ci, co poszli za nim, nie odstępują go nigdy, zaprzeczył Nikodem nieśmiało.

— Niektórzy utrzymują, rzekł Zacheusz, rzymski dzierżawca celny, że jest on waszym Mesyaszem.

Faryzeusze nie mogli zapanować nad sobą: mimo obecności Herodyady wybuchęli głośnymi protestami. Królowa zresztą zachowaniem swem zdawała się ich do tego zachęcać.

Nareszcie Kajfasz opuścił połę swej szaty, którą zasłonił był usta dla stłumienia śmiechu.

„Gdy Mesyasz przyjdzie, rzekł sentencyonalnie, arcykapłan pierwszy wiedzieć o tem będzie".

— Mesyasz będzie potężnym królem, rzekła Herodyada; ma on cały świat podbić. Jeśli, jak utrzymują, ma się zjawić w tych czasach, to czemuż nie miałby zostać mężem mojej córki? Mój drugi małżonek nie ma potomków.

Kajfasz rzucił przelotne spojrzenie na Piłata. Lękał się, by te słowa nie obraziły prokuratora.

„Tak, rzekł, zniżając głos, Mesyasz będzie potężnym królem, a przyjście jego poprzedzą niesłychane cuda".

— „Pragnęłabym ujrzeć te cuda", rzekła Magdalena.

Wdowa po Papposie wzniosła oczy ku niebu. W świetle pochodni, twarz jej, ujęta w ciemne fałdy zawoju z Sydońskiego aksamitu, nabrała dziwnie słodkiego, idealnego wyrazu.

Kajfasz nie spuszczał z niej wzroku. Był ujarzmiony nieuchwytnym czarem jej urody.

„Wy, kobiety, rzekł z uśmiechem, głosem, któremu usiłował nadać jaknajmilsze brzmienie, lubicie wszystko, co niezwykłe".

— Tak, odparła z prostotą Magdalena, gdyż cuda pochodzą pewno od jakiegoś dobrego bóstwa.

— Wierzysz więc w kilku bogów? spytał Kajfasz.

— Ludzie posiadają tyle różnorodnych wiar, że nie wiem, która z nich najlepsza, odrzekła wdowa po Papposie.

Statek powoli zbliżał się do jakiejś ciemnej bezkształtnej masy, która zdaleka czerniła się na falach. Co pewien czas dochodził stamtąd głuchy łoskot, niby plusk ciała, spadającego w wodę.

Za każdym takim odgłosem, wysokie bałwany toczyły się z szumem i rozbijały o boki galery, która pochylała się gwałtownie naprzód.

Kobiety, otaczające Salome, poczęły znowu śpiewać. Dźwięk cytr i harf splatał się z harmonijnem brzmieniem czystych głosów.

Statek zbliżył się do tajemniczej masy, z której pochodziły owe dziwne odgłosy; była to wielka tratwa. Ludzie, stojący na niej, wrzucali do wody jakieś ciężkie ciała, przypominające kształtem trupy ludzkie.

„Nasz *spoliator* jest doprawdy niesłychanie leniwy, rzekła Herodyada: zamiast wykopać dół dla pochowania niewolników, zabitych na stadyum, uważa za dogodniejsze pozbyć się ich prędzej i każe topić ciała w jeziorze“.

XIII.

In veritate tua humilitasti me.
(Psalm CXVIII, 75)
W prawdzie twojej uniżyłeś mnie.

Około szóstej godziny nocy goście Heroda wysiedli z galery i powrócili do pałacu wśród

podwójnego szpaleru niewolników, którzy oświecali im drogę pochodniami.

Dla wszystkich zostały przygotowane komnaty i łoża do spoczynku; służba wskazywała każdemu przeznaczone dlań miejsce.

Magdaleną nikt się nie zajął. Została sama pod arkadami; ostry wiatr przejmował ją chłodem: drżała z zimna w swej lekkiej szacie.

Domyśliła się, że przyczyną tego zapomnienia musiał być rozkaz, wydany niewolnikom; zrozumiała, iż była to zemsta Salome, dla której nie istniały nawet święte prawa najzwyklejszej gościnności.

Z dziedzińca dolatywał do niej śmiech żołnierzy.

Stała tak długo, nie wiedząc, co począć.

Światła kolejno gasły.

Wreszcie zaskrzypiały zawiasy ciężkich drzwi bronzowych, wiodących do pałacu. Magdalena wślizgnęła się szybko za kolumnadę i przemknęła jak cień, zanim zawarto podwoje.

„Ptak wyfruwa z klatki!“ rzekł jeden z odźwiernych, pchając z wysiłkiem skrzypiące zawory.

Magdalena usłyszała za sobą trzask zamykanej bramy i zgrzyt sztab żelaznych: znalazła się sama wśród ciemności.

Od domu dzieliło ją przeszło osiemdziesiąt stadyów niezupełnie bezpiecznej drogi. Do wschodu słońca było jeszcze najmniej cztery godziny.

Czas jakiś szła pustą ulicą między dwoma szeregami milczących domów; lecz w oddali słychać było pijane głosy ucztującego po zajazdach na cześć Heroda pospólstwa.

Wkrótce zmyliła drogę.

Przeszła przez most, na którym hałaśliwie rozlegał się odgłos jej kroków. Przepływający pod mostem strumyk kołysał z cichym szmerem odbijające się w nim gwiazdy.

Po obu brzegach strumyka ciemniały zarośla.

Magdalenie przyszła myśl ukrycia się w ich gąszczu do nadejścia świtu.

Zapuściła się w zarośla, rozsuwając rękoma gałęzie. Wybrawszy najbardziej osłonięte miejsce, zwinęła się na ziemi w kłębek, by w ten sposób zabezpieczyć się od zimna. Na myśl, że znajduje się sama w ciemności, ogarnął ją lęk.

W wyobraźni widziała oblicza faryzeuszy, złośliwy uśmiech Salome, światła pochodni, trupy niewolników, rzucane w nurty jeziora. Wyczerpana różnorodnemi wrażeniami dnia ubiegłego, powoli traciła świadomość i wreszcie zasnęła.

Gdy się ocknęła był dzień. Do uszu jej dobiegły głosy ludzkie i plusk wody.

Poprzez gałęzie laurów, które ją osłaniały, poznała kilku rabinów. Między nimi znajdował się Kajfasz. Szli niewątpliwie z pałacu Heroda, by według obyczaju dopełnić porannych ablucyj.

Wchodzili do strumyka i nachylali się; potem, pokropiwszy ciało wodą, wznosili ręce do nieba, rozstawiając palce.

„Niech przeklęci będą poganie, mówił Kajfasz, który zanurzył się cały w wodzie. Oby ta woda oczyściła mnie z grzechu obcowania z nimi!"

— „Obmywam się, mówił Szymon, ociekający wodą, iżem jadł i rozmawiał z nieobrzezanymi!"

Potem pochylił się znowu i podniósł, mówiąc: „Obmywam się, iżem skaził wzrok swój widokiem nierządnic“.

Zanurzył się po raz trzeci i rzekł: „Obmywam się, iżem jadł zapewne pokarmy nieczyste!“

„Przekleństwo nierządnicy, z którą mówiem, wołał Kajfasz; spojrzenie jej gorsze, niż wzrok skorpiona i bazyliszka!“

Magdalena zrozumiała, że ona właśnie jest ową nierządnicą, gdyż arcykapłan przemówił był do niej na galerze słów parę.

„Przekleństwo uciskającym lud Boży, mówił Falcyasz; przekleństwo Piłatowi, wysłańcowi Rzymu, Herodowi, królowi Idumejskiemu, wszystkiemu, co nie jest Izraelem! Lud Boży jest jedynie czysty, jedynie święty“.

— Co za obłudnicy! myślała Magdalena. Wśród tych, co mnie przeklinają, wielu tarzało się w pyle u drzwi domu mego. Gardzą mną i spluwają, gdy przechodzę koło nich w miejscu publicznem, a potajemnie odwiedzają mnie. Oni to są żmije i bazyliszki: tacy ludzie gorsi są od jadowitych gadzin.

Faryzeusze przywdziali swe długie szaty o hyacyntowej frendzli; z przesadną powagą oddalali się drobnymi krokami, ze spuszczonym w ziemię wzrokiem, szepcząc modlitwy.

Gdy byli już daleko, Magdalena opuściła swą kryjówkę. Przypomniała sobie, że służba miała wyjść rano na jej spotkanie; poszła więc drogą wiodącą do Magdali.

W porannem słońcu ponad jeziorem Kinereth krążyły mewy. Małe obłoczki o perłowym odcieniu, jak gdyby oderwane od ziemi, unosiły się hyżo w błękitnym bezmiarze.

Drogą szli już do roboty ludzie, jedząc

chleb z żółtemi solonemi oliwkami; pestki ciskali w zarośla. Pół-nagie dzieci bawiły się na małych podwórkach; zaspanemi oczyma śledziły ciekawie strojnie odzianą kobietę. Ich matki, stojące na progu domów, ściągały ją spojrzeniem, pełnem pogardy.

Na skraju lasu wdowa po Papposie spotkała trędowatego, który odpoczywał, jak gdyby znużony daleką drogą. Dolną część twarzy i ręce miał owinięte płótnem; chciał widać w ten sposób osłonić swoje rany.

Magdalena pod wpływem osamotnienia i otaczającej ją pogardy uczuła chęć przyjścia z pomocą nieszczęśliwemu: zapragnęła, by choć jedna dusza ludzka ją błogosławiła. Wyjęła z zanadrza woreczek z przepojonego wonnościami jedwabiu, w którego zwojach dzwoniły złote monety.

Przechodząc cisnęła tę królewską jałmużnę do stóp trędowatego. Ten zerwał się gwałtownie: stał bez ruchu z utkwionemi w nią oczyma, jak gdyby chciał przeniknąć duszę jej do głębi.

„Nieszczęśliwszą jesteś ode mnie, Maryo!“ rzekł z goryczą.

Magdalena zadrżała: poznała w trędowatym człowieka, który na brzegu Jordanu nazwał ją tem samem imieniem. Czemu ten nieznajomy ją prześladuje?

Zapanowało milczenie.

„Jeśli wiesz, ktom jest, przemówiła wreszcie, powiedz. Nie znam mego pochodzenia: nikt mi go nie odkrył“.

— Zbyt daleka jesteś od tego, czem byłaś, bym mógł ci powiedzieć, kim jesteś. Jeśli pragniesz się tego dowiedzieć, musisz stać się

znowu niewiastą, której nikt nie będzie się wstydził. Weź swą jałmużnę: dasz ją biedniejszemu ode mnie. Lecz pamiętaj, że masz rodzinę, co kocha cię, mimo twej hańby. Obyś, o Maryo z Magdali, nie zasłużyła już nigdy na złorzeczenia!"

Trędowaty odszedł, nie oglądając się poza siebie. Wdowa po Papposie goniła wzrokiem biały płaszcz, którego poły zarzucił był na głowę, dopóki nie zniknął na zakręcie drogi.

XIV.

In tenebris et in curis multis (Ekkl. V. 10).
W dzień utrapienia i pomsty.

Od tygodnia w komnacie, z której okien roztaczał się z jednej strony widok na jezioro, z drugiej zaś na krągłe, pokryte lasem wzgórza Magdali, stara Euxema czuwała nad swą panią, jak matka nad dzieckiem.

We wnęce okna, najbardziej zabezpieczonego od słońca, w glinianej amforze o wysokiej szyjce stał orzeźwiający napój. Na stoliku z różowego marmuru, obok kilku srebrnych kubków, leżała napół otwarta księga z papirusu. Zwinięte maty stały oparte o ławę. Kilka czerwonych róż więdło w czarze wśród gałązek białego jaśminu.

Magdalena drzemała na sofie, krytej lakierowaną skórą, którą w czasie upału przekładała nad łoża z miękkich materyj.

Od jeziora zawiewał wietrzyk, poruszając zlekka rozwieszone na błękitnych ścianach komnaty suknie i szale. Między dwiema srebrn-

mi kulami klepsydry z cichym szmerem przelewała się woda.

„Tak, kochana pani, mówiła Euxema, lekarz grek utrzymuje, że przyczyna twej choroby tkwi w duszy raczej, niż w ciele".

Magdalena, z ręką założoną pod głowę, zdawała się śledzić falowanie szala, który spływał wzdłuż ściany aż do jej stóp.

„Śmierć uwalnia od wszystkiego, rzekła zwolna, nawet od duszy".

Euxema pochyliła się nad nią tkliwie.

„Nawet dusza odrodzić się może, pani droga. Cudotwórca Jezus uzdrowił wczoraj młodzieńca, opętanego przez złe duchy: rzucał się on do wody i w ogień".

— Jezus przeklnie mnie, jak tamten, odrzekła... Jak tamten, którego krew widnieje na szacie mojej na dnie skrzyni...

„Złorzeczyć mi będzie, jak ów trędowaty, co znać musi tajemnicę mego pochodzenia, niewiadomego mnie samej. Ale śmierć wyzwoli mnie ze wszystkiego, odegna wszelkie obawy i wizye.

O jakże wyda mi się słodką, gdy po tylu smutkach i trwogach obdarzy mnie upragnionym pokojem".

Oczy Euxemy zaszły łzami.

„Pani, rzekła wreszcie, wspominałam ci już kilkakrotnie o wtajemniczeniu w misterya bogini Izydy. W ileż dusz wlały one ukojenie"!

— Dla mnie niema ratunku, rzekła Magdalena z uśmiechem, pełnym niedowierzania: bóstwa nieczułe są na ludzkie cierpienia.

Podobnie jak gwiazdy nocy, zbyt są od nas dalekie. Bogowie chodzą drogami wiecz-

ności, nie widząc nas, niby wędrowcy, nie dostrzegający nędznych robaków, które gniotą pod stopami.

— Holmida, rzekła Euxema, Holmida, moja dawna pani, mawiała, że misterya Izydy darzą niewypowiedzianym pokojem.

— Przypominam sobie, ciągnęła Magdalena, dziewięć dni wtajemniczenia, nie w kult Izydy, lecz misterya w Eleuzis, w pobliżu Aten, stolicy piękna.

Pierwszego dnia, gdy kapłan wymówił moje imię, wzywając mnie wraz z innymi wybranymi, drżałam ze wzruszenia, jak gdybym się znalazła u wrót zaświata.

Nazajutrz długim korowodem udałyśmy się do morza, by obmyciem w jego falach przygotować się do surowego postu i do posiłku z *ciceonu* i sezamu.

Dni następnych zanosiłam kwiaty lilii i granatu do tajemniczej doliny wśród zieleni łąk, gdzie Ceres zasnęła. Z rąk do rąk podawaliśmy sobie pochodnie, symbol znikomości życia. Zostałam wybrana do odśpiewania hymnu na cześć Iacchusa. Odziano mnie w skórę koźlęcia, a Ierocerix ogłosił mnie szczęśliwą...

Wreszcie danem mi było oglądać olśniewającym oblany blaskiem wizerunek bogini i mistyczny symbol płodności ziemi".

Magdalena mówiła, jak w marzeniu. Odzyskując poczucie rzeczywistości, ciągnęła ze smutkiem:

„Wszystkie te misterya, do których dopuścili mnie kapłani Cerery, nie rozstrzygnęły żadnej mojej wątpliwości, nie wyrwały z mego serca ani jednego z niezaspokojonych dręczą-

cych mnie pragnień. Dusza człowieka po takiem wtajemniczeniu pogrążona w swej nędzy jest równie daleką od bogów, jak przedtem".

— Pani, rzekła Euxema z naleganiem, kto wie, czy misterya Izydy nie ukoiłyby twego serca?

„Holmida mawiała, że misterya Cerery mogą zadowolnić jedynie duszę prostaka; tajemnice Izydy dają mądrość najwyższą: są one wielkich dusz pokarmem. To też codziennie przystępuje do nich mnóstwo znakomitych greczynek i rzymianek. Utrzymują, że kapłani Izydy umożliwiają duszy obcowanie z Prawdą przedwieczną...

— Ale dla wtajemniczenia, rzekła Magdalena, patrząc na swą służebnicę, należałoby udać się aż do Egiptu?

— Tak, odparła Euxema.

— To bardzo daleka podróż.

— Wsiadłszy na okręt w Cezarei, można w ciągu dwu dni być w Aleksandryi.

— Pomówimy jeszcze o tem, rzekła Magdalena. W twojem towarzystwie, droga Euxemo podróż wydałaby mi się mniej uciążliwą.

XV.

Transfretavit. (Mat. VIII. 28)
Przewiózł się na drugą stronę

W kilka dni po tej rozmowie Magdalena błądziła samotna po wybrzeżu. Myślała o radzie, udzielonej przez Euxemę.

Czy jechać do Aleksandryi dla wtajemniczenia w misterya Izydy? Wahała się jeszcze. Może lepiej udać się do Jezusa? Mówiono jej, że nowy prorok znajduje się nie

daleko, w Kafarnaum. Dręczył ją niepokój; nie wiedziała, co postanowić.

Co pewien czas na brzeg jeziora schodziła kobieta, nachylała się nad wodą i napełniała dzbanek; następnie wyprostowawszy się, sprężystym ruchem rąk stawiała naczynie na prawem ramieniu i oddalała się zwolna.

Łódź o pochylonym przez wiatr żaglu zbliżała się do brzegu, gdzie kilku rybaków rozciągało na przewróconem czółnie mokre czarne sieci. Zalatywał stamtąd zdrowy zapach żywicy i smoły.

Łódź przybiła do brzegu; wysiadł z niej człowiek z kilkoma koszami ryb. Trzej pozostali rybacy szykowali się do odpłynięcia na morze; już byli obrócili pod wiatr duży żagiel, gdy Magdalena dała im znak, by się zatrzymali.

Rybacy poznali ją widocznie, gdyż zawahali się i zdawali się naradzać, czy mają czekać, czy też odjechać bez względu na jej wezwanie. Magdalena wiedziała, jaką odrazę sam jej widok budził w żydach.

Wreszcie postanowili zatrzymać się. Chęć zysku zwyciężyła pogardę, którą odczuwali dla takich kobiet.

Magdalena poprosiła, by ją przewieźli do Kafarnaum, gdzie, jak sądziła, znajdował się Jezus.

Pozwolili jej wsiąść. Siadła w tyle łodzi, na zgruba ociosanej ławce, zalanej wodą, ociekającą z sieci.

W milczeniu dwaj rybacy ujęli wiosła; trzeci z nich naciągnął trzepoczący żagiel, nastawił go pod wiatr, który go wydął i łódź pomknęła chyżo w stronę Kafarnaum.

Najmłodszy z rybaków spoglądał ukradkiem na Magdalenę. Widocznem było, że podziw dla jej urody przemógł w nim pogardę dla grzesznego jej życia.

Magdalena patrzyła na wodę, rozpryskującą się na czarnych bokach łodzi. Fale płynęły, jak jej myśli.

Uwięziona na ciasnej przestrzeni barki, oddychała tchnieniem swobody; mniej odczuwała brzemię swojej duszy.

Słońce podnosiło się coraz wyżej na pogodnem niebie. Niekiedy z głębi wody wynurzyła się ryba, błysła w świetle srebrzystą łuską i pogrążała się znowu w nurty jeziora.

Magdalena ścigała ją myślą w tej podwodnej wędrówce: marzyła, by zapaść jak ona w przepastną głębinę i zapomnieć o wszystkiem.

Kilka wielkich karpi, ciśniętych na dno łodzi, drgało w śmiertelnych skurczach.

Wreszcie ukazał się czworokątny pałac setnika Sextiusa, otoczony wieńcem cedrów; poniżej skupiały się bezładnie domy Kafarnaum.

Magdalena miała nakoniec usłyszeć proroka, który wymową swą porywał tłumy. Dozna przynajmniej żywszego wzruszenia, co stłumi chwilowo jej wewnętrzny niepokój.

— Mówią, że czyta w sercach ludzkich!.. Nie, to niemożliwe. Jest to zapewne czarownik lub oszust, zręczniejszy od innych...

Za chwilę ujrzy go i usłyszy. Odruchowo otuliła się mocniej zasłoną z brunatnej wełny, jak gdyby pragnęła ukryć się przed wzrokiem ludzkim; uczuwała dziwną trwogę na myśl, że tajemniczy ten człowiek może przeniknąć tajniki jej duszy.

Kafarnaum roztaczało się na wybrzeżu coraz szerszym kręgiem. Strumyk, obrzeżony topolami, dzielił to miasto, jak gdyby wysokim żywopłotem, na dwie odmienne dzielnice.

Magdalena zadawała sobie pytanie gdzie może znajdować się Jezus, gdy zauważyła, że wiozący ją rybacy wpatrują się uporczywie w łódź, która z rozpostartymi żaglami oddalała się właśnie od brzegu.

Na przodzie tego rybackiego statku stał człowiek. Siedzący w łodzi żeglarze wsłuchani byli w to, co im mówił. Postać ta jaśniała światłem, i zdawało się, że łódź nie unosi jej, lecz raczej płynie jej śladem.

Magdalena nie mogła oderwać wzroku od tego zjawiska, które lotem ptaka mknęło na pełne morze.

Rybak, siedzący przy Magdalenie, rzekł: „Musiał opuścić Kafarnaum".

Do tej chwili kobieta milczała.

„O kim mówicie? zagadnęła.

— O Jezusie, odparł rybak. On to właśnie odpłynął".

Serce Magdaleny ścisnęło się boleśnie. Nieokreślony smutek onroczył jej duszę.

I Jezus też jej unikał.

XVI.

Post deos alienos (Jer. VII. 6).
Za cudzymi bogami.

Aleksandrya miała postać chlamidy, rozpostartej na piasku, między morzem Śródziemnem, a jeziorem Mareotis. Dwie ulice, mające po sto stóp szerokości i przecinające się

w środku, dzieliły miasto na cztery dzielnice z których najbogatszą była Bruchon, nad morzem.

Tam Wschód, jak gdyby pragnąc zaćmić wspaniałości Rzymu i Grecyi, zgromadził wszystkie swoje cuda: pałace, wieńczone złotemi balustradami, lasy kolumn, ciosanych w jednej bryle, dokoła świątyń, których strzegły szeregi niemych sfinksów, kamienne posągi bogów z przed lat tysięcy i różowe obeliski z wypisanym na nich poematem symbolicznych opowieści.

Trzydziestego dnia miesiąca *epiphi*, w uroczystość narodzin Horusa, ze świątyni Izydy po stopniach *dromos'u*, strzeżonego z obu stron przez pięćdziesiąt sfinksów z bronzu, kierując się ku morzu, wychodził święty pochód.

Dla przypatrzenia się orszakowi Magdalena wraz z Euxemą wynajęły od pewnego kupca taras przy ulicy Słońca.

Ludzie, poprzebierani na cześć bogini, otwierali pochód. Kobiety jako żołnierze, w kaskach, z tarczami na lewem ramieniu, potrząsały długiemi włóczniami. Poważni urzędnicy, odziani w szaty niewieście, gładzili swoje długie przyprawne sploty.

W lektyce niesiono oswojonego niedźwiedzia w stroju dostojnej matrony. Pobożni obojga płci, odziani w skóry zwierząt, wyli, ryczeli, szczekali, poruszając ogonami, kołysząc rogami, potrząsając grzywami, wysuwając ostre pazury.

Brzydki garbaty karzeł w wieńcu z róż na głowie, w jedwabnej sukni koloru szafranu, miał wyobrażać pięknego Ganimeda: wyciągał złotą pełną wina czarę do widzów, którzy, stło-

czeni po obu stronach drogi i na płaskich dachach domów, klaskali w dłonie.

Następnie sunął posąg Izydy, w orszaku kobiet w biel odzianych; jedne z nich trzymały w ręku girlandy wiosennego kwiecia, inne— rzucały na ziemię kwiaty lub rozlewały wonne olejki. Idące najbliżej posągu bogini potrząsały słoikami i grzebieniami z kości słoniowej, udając, że ją przystrajają. Niektóre niosły przed nią ogromne zwierciadła, by mogła w nich oglądać idący za nią pochód.

Za posągiem płonęło tysiąc pochodni, rozlewających różnobarwne światło i mających przedstawiać blask ciał niebieskich. Muzykanci, z fletami, zwróconymi do prawego ucha, wygrywali melodyę, śpiewanej przez chór pieśni.

Izyda, Izyda
Opłakuje Ozyrysa
Małżonka, którego miłuje!
Izys, z osłoniętem czołem,
Gwiezdne niebo
Jej symbolem!

Witaj bogini jedyna, po wszystkiej czczona ziemi,
O nazw tajemniczych tysiącu!
Wieczny żywocie, tyś ujście i źródło wszystkiego,
Tyś ludzi i bogów macierzą!

Witaj! O wieczna wszechrzeczy twórczyni!
Ty żywiołami rozrządzasz,
Ty przestwór ptactwem napełniasz, doliny różami,
I firmament gwiazdami złotemi!

Wszelkie dobro, którego człowiek zażywa na [ziemi
Twojego dar macierzyństwa!

Sfinks omroczony zadumą o twojej śni tajemnicy
Wieczności i miłowania!

Za śpiewakami postępowali wtajemniczeni obojga płci, odziani w białe szaty: mężczyzni potrząsali złotemi i srebrnemi *sistrami*; kobiety z rozpuszczonymi włosami starały się w przeróżnych mistycznych pozach wyrazić cierpienia i radości Izydy.

Następnie szli kapłani, niosący emblematy bogini: mleko w zaokrąglonem złotem naczyniu, trzon tamaryndusa, złotą palmę, srebrny *caduceus*; sam arcykapłan piastował mały metalowy okręt, z którego wnętrza biło jaskrawe, oślepiające światło.

Za kapłanami wieziono wszystkich bogów Egiptu: Atum, który otwiera wrota zorzy, miał na swej tyarze klucz; kula słoneczna spoczywała na głowie Amun-Ra; dokoła Khopra, władcy życia, owijał się wąż; smok widniał na szczycie włóczni Hora; Khnoum na krążku garncarskim lepił jajo świata. Dalej szły boginie: Hat-Hor o łbie krowy, Bart z głową kota, Sekhet i Menhit z głowami lwów, Anta z toporem, Astarta na wojennym rydwanie, ciągnionym przez cztery czarne rumaki; Mut wychylająca się z krzewu persei o owocach w kształcie serduszek; zlewała ona na śmiertelnych wodę boskiej ochłody.

Wreszcie dwunastu kapłanów o wygolonych czaszkach niosło blady wizerunek Ozyrysa, wychodzącego z piekieł; jego głowa na wysokim tułowiu, rozdartym przez Typhona, chwiała się smutnie ponad płaskimi dachami pałaców.

W czasie pochodu, trwającego kilka go-

dzin, Euxema objaśniała swej pani symboliczne znaczenie obrazów, które przesuwały się przed niemi. Lecz Magdalena słuchała z roztargnieniem. Jaskrawa pstrokacizna tego widowiska nużyła jej umysł i oczy. Ogłuszona była okrzykami, śpiewem, przenikliwym dźwiękiem sistr i cymbałów.

Pani i niewolnica przyłączyły się do tłumu, który śladem orszaku Izydy pociągnął ku morzu. Wszyscy nieśli ofiary, które święty okręt zawieźć miał bogini: murzyni z górnego Egiptu składali kość słoniową; wyzwoleńcy — okrycia głowy, jako symbol minionej niewoli; wieśniacy — dzbany mleka; marynarze — masę perłową i cenne żywice; damy greckie i rzymskie — złoto i klejnoty.

W koszyku z kory palmowej Magdalena niosła na ofiarę róże, przywiezione z Tyberyady i błękitne kwiaty lotosu, które zerwała była na Nilu o zachodzie słońca.

W porcie, blizko brzegu, kołysał się okręt w kształcie łabędzia; wygięty dziób statku naśladował szyję ptaka.

Wiatr wydymał już żagle, wyobrażające skrzydła, gdy arcykapłan, odziany w skórę tygrysa, w wysokiej tyarze o dwu rogach, wstąpił na pomost i za pomocą pochodni, jajka i siarki dokonał symbolicznego oczyszczenia okrętu.

Wówczas dziesięciu kapłanów przyciągnęło do brzegu na ukwieconych linach ów statek z drzewa cytrynowego, nabijanego złotem i srebrem. Lud zrzucił nań swe ofiary, i okręt, zdany na wolę wiatru, poniósł je na otwarte morze, mknąc w nieznaną dal, dokąd powiedzie go Izyda.

Okręt już zniknął, a tłum wciąż śpiewał jeszcze:

Izys, bogini jedyna, po wszystkiej czczona ziemi,
O nazw tajemniczych tysiącu!
Wieczny żywocie, ujście i źródło wszystkiego,
Tyś ludzi i bogów macierzą!...

Wracając do domu Euxema rzekła do pani swej, pogrążonej w głębokiem zamyśleniu: „Czyż nie jest to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie dano podziwiać śmiertelnym na ziemi?“

Magdalena milczała. Te dziwaczne symbole zdały jej się mieć na celu olśnienie oczu i zadziwienie pospólstwa: do duszy nie przemawiały wcale.

Myślała o bogatej damie rzymskiej, która wraz z nią odbyła podróż z Joppy do Aleksandryi i która za przybyciem do tego miasta znikła, nie chcąc powiedzieć, kim jest. Wspomniała również o skrzynce z drzewa oliwnego, przywiezionej z Magdali i zawierającej szatę, splamioną krwią. Czy kapłani Izydy będą mieli władzę zmazania tej plamy, która jest symbolem dręczących jej sumienie wyrzutów?

Magdalena najęła w domu kupca dwie izby, jedną dla siebie, drugą dla Euxemy. Kupiec ów był żydem i nazywał się Judasz; liczył on około lat trzydziestu; jego ruchliwa twarz zdradzała inteligencyę. Oczy żywe i ciekawe, zdawały się wyrażać pytanie. Suche, nerwowe ręce, ustawiały wiecznie i przestawiały zbytkowne zbroje. ażurowe cacka z masy perłowej, naczynia kanopejskie, skarabeusze złote, posążki bogów z głowami psów lub jastrzębi, sprzedawane arabom, przybyłym z pustyni, kupcom tyryjskim, bogatym rzymskim urzędnikom, da-

mom greckim, licznym cudzoziemcom, których okręty i karawany wyrzucały codziennie na wybrzeże Aleksandryjskie.

We wszystkiem, co nie miało związku z jego handlem, kupiec zachowywał ściśle Prawo Mojżeszowe. Co rano odmawiał *tephil'ę;* nosił wielke *philactery* i obmywał się siedem razy dziennie. W sklepie zachowywał się jak poganin, zapominając, że jest żydem. Nietylko bowiem oszukiwał co do wartości i istotnego pochodzenia swego towaru, lecz bez względu na Prawo, które zabraniało dotykania pogańskich bożyszcz, sprzedawał swoim klijentom Afrodyty i Dyany z palonej gliny, statuetki Tanagry, Jupiterów, rzeźbionych w Sycyonie i mnóstwo posążków greckich, sydońskich, tessalijskich, egipskich, które poza Judeą zdobiły podówczas wszystkie domy, i które w miniaturze służyły każdemu za amulety i talizmany.

Magdalena w swem przygodnem mieszkaniu przyspasabiała się do wielkich misteryj, które miały ukoić jej duszę.

Nazbyt była przywykła do zachwytów, które jej piękność budziła w mężczyznach, by nie spostrzedz, że uczucie Judasza dla niej przybierało z dniem każdym wyraźniejsze cechy prawdziwej miłości.

Kupiec nie zjawiał się nigdy w jej obecności w starej tunice, przyblakłej od pyłu różnorodnych starożytności, któremi handlował. On, tak zazwyczaj dyskretny we wszystkiem, co dotyczyło jego zysków, chętnie przechwalał się przed Magdaleną swem bogactwem.

Niewolnicy jego nie mogli nigdy przesadzić w dogadzaniu pięknej cudzoziemce; on sam

ofiarował jej swe usługi, udzielając wszelkich wiadomości, jakich pragnęła zasięgnąć o mieście, o świątyniach i kapłanach; zauważył, że to jedynie ją zajmuje.

Zachwalając klijentom piękność swoich posążków, miast „piękna jak Afrodyta“, mawiał częstokroć mimowoli „piękna jak Magdalena“.

Euxema popełniła coprawda nieopatrzność, nie kryjąc przed Judaszem, który był bardzo skąpy, że jej pani posiada wielki majątek; ten wzgląd, nie mniej niż miłość, przyczynił się do wzbudzenia w nim chęci poślubienia wdowy po Papposie.

Ona natomiast obojętnie przyjmowała zaloty kupca. Pragnąc jak najrychlej dostąpić wtajemniczenia w misterya Izydy, dopełniała najsumienniej ablucyj, zachowywała przepisane posty, płaciła hojnie tych, co ją uczyli. Myślała tylko o tem, by jak najprędzej posiąść upragnione tajemnice wyzwolenia.

Ponieważ kapłani pytali ją o przeszłość, otworzyła przed nimi serce. Powiedziała im, że smutek jej i niepokój zrodził się wraz z plamą krwi, która bryznęła na jej szatę podczas uczty w Macheroncie. Od tej chwili fatalnej życie ukazało się jej w odmiennem zgoła świetle i spokój opuścił ją na zawsze. Nie wierzyła w świat duchów, a jednak lękała się go.

Mistagogowi, który w szczególniejszy sposób zajmował się jej wtajemniczeniem, wręczyła dnia jednego skrzynkę, zawierającą złowrogą szatę. „Wierzę, rzekła, że jeśli zdołasz sprawić, by zginęła ta krwawa plama, wraz z nią zniknie mój niepokój i moje obawy“.

Lecz mimo wysiłków, by w myśl rady Eu-

xemy poddać się całkowicie religijnym natchnieniom, nie mogła pozbyć się nieufności i doznawała uczucia niepokonanej odrazy do wszystkich tych kapłanów o wygolonych czaszkach i bezbrodych twarzach, a spojrzenia tych ludzi przeszywały jej duszę, niby ostre bolesne strzały.

XVII.

Cum taedio est tempus vitae nostrae.
(Księga Mądrości II, 1)
Tęskliwy jest czas żywota naszego.

Kapłan Hur-ti miał sobie poruczoną pieczę nad kobietami, przystępującemi do misteryów. Miał on postać kolosa o głowie sfinksa, o obejściu miękkiem i niepokojącem, o słowach naprzemiany surowych i twardych, jak uderzenie młota o stal, to znów słodkich, niby dźwięk jonickiego fletu. Codzień zgromadzał swe słuchaczki w obszernej hypostylowej komnacie, o ścianach i kolumnach, zawieszonych niezliczonymi symbolicznymi znakami. Kobiety słuchały, przysiadłszy na ziemi.

Kapłan mówił po grecku z ciężkim gardłowym akcentem; stojąc, bez ruchu, bez drgnienia, przesuwał powoli wzrok po piśmie, lub zdawał się ścigać spojrzeniem odległe jakieś zjawisko, a usta jego głosiły nieskończone legendy o bogach i boginiach, lub mądre aforyzmy i nauki moralne.

Magdalena poznała wśród słuchaczek znakomitą damę rzymską, z którą odbyła podróż z Joppy do Aleksandryi. Od jednej z niewolnic dowiedziała się wreszcie, że jest to Procla,

żona Piłata, rzymskiego namiestnika Judei. Jak wiele innych patrycyuszek rzymskich, Procla przybyła do Egiptu dla wtajemniczenia w misterya Izydy.

Choć małżonka Piłata wolała, by nikt nie znał jej imienia, nie była zbyt zmartwiona, gdy spostrzegła, że Magdalena wie, kim jest. Ponieważ w Aleksandryi nie znała nikogo, jej stosunek z wdową po Papposie stał się przez to samo zażylszy i serdeczniejszy.

W chwilach wolnych od ćwiczeń religijnych obie kobiety przechadzały się zazwyczaj nad brzegiem morza, lub w ogrodach dokoła pałaców. Wieczorem gawędziły w długiej alei Panionu: tam pod każdą palmą bielił się obelisk lub posąg boga z śnieżnego marmuru. Obie przyjaciółki lubiły to miejsce, uczęszczane wieczorem, pustoszejące jednak za nadejściem nocy. Tu dzieliły się wzajemnie swemi marzeniami i nadziejami.

Podobnie jak Magdalena, Procla była z natury wrażliwa i niespokojna; łatwiej jeszcze, niż jej towarzyszka, ulegała czarowi nowości: badała nauki magiczne, wierzyła w wróżby i w sny. Miała charakter skłonny do nagłych porywów lecz słaby i niestały.

Magdalena, choć w jednym z Proclą wieku, była rozważniejsza od niej; w burzliwem pełnem przygód życiu dojrzała przedwcześnie a przebyte doświadczenia pozostawiły na dnie jej duszy jak gdyby osad goryczy, która przebijała niekiedy w słowach, zaprawnych sceptycyzmem i ironią.

Jednego wieczoru obie kobiety przechadzały się samotnie po długiej alei. Słońce zaszło

już oddawna. Rzeźwiejsze podmuchy przebiegały między morzem Śródziemnem a jeziorem Mareotis. Przyjaciółki wymieniały urywane słowa, które nie wiązały się w splot rozmowy, lecz padały w ciszę jako myśli lub obrazy, w miarę jak zjawiały się w duszy.

„Zródłem wszystkich naszych marzeń, mówiła Procla, jest pragnienie szczęścia coraz pełniejszego, coraz doskonalszego"...

— Goniąc za rozkoszą, rzekła Magdalena, tracimy spokój.

— Czy wierzysz w bogów? zagadnęła rzymianka.

— W jakich? spytała Magdalena.

Pytanie to pozostało bez odpowiedzi.

Procla pogrążyła się w zadumę. Chodziły pod drzewami; piasek, którym usypana była aleja, tłumił ich kroki. Gdy wynurzały się z cieniu palm i obelisków, wielka latarnia morska, płonąca w porcie Aleksandryjskim, ciskała na ich chlamidy czerwone odblaski. Ta krwawa pochodnia na szczycie olbrzymiego słupa świeciła jaskrawym ogniem na zasnutem chmurami niebie; wyglądała jak słońce, nieposiadające dość mocy, by rozproszyć mrok i dzień sprowadzić. Między dwiema otchłaniami ciemności: niebem i ziemią, maszty uwięzionych na kotwicy okrętów, obelisków, kolumn i wież miasta, sterczały jak las drzew, ogołoconych z gałęzi.

„Nie wierzę w nic, rzekła Magdalena, a jednak istnieje coś poza życiem ziemskiem, coś nieuchwytnego... a może złego, dodała. Szaleństwem jest chcieć poznać prawdę.

— Czemuż nie mielibyśmy szukać prawdy? Ufam że za dni kilka rozbłyśnie ona przed oczy-

ma naszej duszy. Nie należy wątpić o wiedzy ludzi, którzy nas oświecają.

— Wątpię o wszystkiem i wszystkiego się lękam, rzekła Magdalena. Chciałabym poznać źródło tajemnic, a nie wiem, czemu, w miarę jak zbliża się chwila wtajemniczenia, ogarnia mnie dziwna jakaś obawa. Wszędzie podejrzewam oszustwo i kłamstwo. Wolałabym chyba nie żyć wcale; lepsza nicość, niż zło.

— Dobro — to poznanie prawdy.

— Tylekroć już się zawiodłam! odparła z goryczą Magdalena. Nie wierzę już w prawdę. Tajemnice Izydy, podobnie jak misterya Eleuzyjskie,—to będą słowa, symbole, pozbawione treści... Sercu nie dadzą nic!

— Nie przybyłyśmy tutaj szukać miłości, rzekła Procla tonem wymówki.

— Miłości wszelkiej czarę wychyliłam do dna, odpowiedziała Magdalena. Nie dała mi ona ani chwili prawdziwego szczęścia. To samo będzie z religią.

— Kochano cię pewno bardzo dla twojej urody, rzekła Procla. Lecz ty sama, zaznałażeś kiedy miłości prawdziwej?

— Nie wiem, odparła Magdalena. Ale obecnie doznaję nieprzezwyciężonego wstrętu do wszystkich mężczyzn.

— Muszę podzielić się z tobą myślą, a raczej podejrzeniem, które oddawna zrodziło się w mym umyśle, rzekła po chwili Procla, zbliżając się do swej towarzyszki. Oto podczas długich wykładów kapłana Hur-ti, zauważyłam...

Procla urwała, nieśmiejąc mówić dalej.

— Co zauważyłaś? nalegała Magdalena.

— Zdaje mi się, że ten człowiek cię kocha.

— Cóż stąd? Za kilka dni będę daleko.

Po tem wyznaniu obie kobiety podążyły w stronę miasta: wydało im się bowiem, że cień jakiś, kryjący się za drzewami, sunie wślad za niemi.

XVIII.

Notum sit quia non sunt dei.
(Bar. VI. 14).
Skąd wam niech wiadomo będzie,
żeć nie są bogami.

Gdy opadła gęsta zasłona, okrywająca głowę Magdaleny, młoda kobieta ujrzała, że znajduje się przed posągiem Izydy, której oczy, jak dwie gwiazdy ciskały migotliwe blaski w bezmiar mroków.

Tuż koło niej głos jakiś, podobny do głosu mistagoga Hur-ti, wymówił zwolna słowa:

„Wyrzeknij straszne zaklęcie i przysięgnij na ciało twoje i na duszę, na ziemię i niebo, i na Kabiry, że nie odkryjesz nigdy tego, co ujrzą twe śmiertelne oczy".

Magdalena przysięgła.

Ziemia zadrżała; posąg wzrósł do olbrzymich rozmiarów: szczyt jego dotknął niebios, które zajaśniały gwiazdami; potem wszystko stopiło się w mgle nieprzeniknionej.

Głos mistagoga odezwał się znowu:

„Na początku była przyroda, a mędrcy uczcili ją pod imieniem Izydy. Wszystko było martwe i niepłodne. Pierwsze mgławice bytu unosiły się nad otchłanią.

„Zjawił się Ozyrys, niosący światło: i zajaśniała światłość".

Niby głowy olbrzymów z morskich odmętów wyłaniały się góry. Załamane bruzdy błyskawic przebiegały od świata do świata.

Ciemności wznoszące się ku górze ogarniały światła, które rozbłyskały i przygasały, jak dopalające się lampy.

Tworzące się światy tonęły w nieuchwytnej mgle, która spowijała ich zarysy.

Po chwili Magdalena ujrzała rozkwitający na nurtach rzeki drobny kwiat lotosu. Kula świata tężała i pokrywała się dziwaczną, olbrzymią roślinnością o potężnych korzeniach, które obejmowały ziemię niby szpony orła, i której konary rozpościerały się daleko na widnokręgu. Żywe istoty krążyły wśród zieleni, a wszystko drżało, wstrząsane radosnym dreszczem.

Nagle, niby czarny piorun wśród chmur, potworny wąż rozwinął pierścienie; zdało się, jak gdyby duch nicości i mroku przybrał na się żyjącą postać.

Dał się słyszeć głos: — Tyfon, bóg zła!

Wtedy słońce, które jaśniało na niebie, zagasło. Natomiast zawisła w powietrzu kula, mająca kształt głowy ludzkiej.

W owej chwili neofitka poczuła tuż przy sobie czyjąś obecność. Jakaś dłoń spoczęła na jej piersiach, a głos kapłana Hur-ti wyszeptał: „Ufaj! Życie zwycięży śmierć“...

Smok roztoczył potężne skrzydła. Magdalena uczuła na sobie oddech jego rozwartej przerażającej paszczy.

Zamknęła oczy.

Gdy je znowu otworzyła, leżała pod drzewami pomarańczowemi osypanemi kwieciem. Wiosenne wonie unosiły się w powietrzu. Słychać było cudne pienia głosów męzkich i niewieścich.

Z pośród kwiatów dochodziły dźwięki przedziwnej muzyki, splatającej się harmonijnie ze

śpiewem. Magdalena czuła, że ziemia pod nią faluje, kołysząc ją zlekka, jak w sennem marzeniu.

Usłyszała znowu tuż przy sobie głos kapłana Hur-ti: „Życie jest rozwojem bytu; miłość jest życia kwiatem. Poddaj się upojeniom miłości".

Ziemia dokoła młodej kobiety wzniosła się, jak brzegi ukwieconej kolebki. Doznała wrażenia, że unosi się w niebo. Słońce zajaśniało znowu, a świeciło tak łagodnie, że nie raziło wzroku. Planety żeglowały jak złote barki po oceanie eteru.

Głos mistagoga Hur-ti przemówił znowu:

„Niechaj światło gwiazd przeniknie duszę twoją i da jej nieśmiertelność".

A potem zjawił się Hur-ti sam, młody i piękny, jak bóg miłości...

. . . . . .

Po ciężkim śnie Magdalena odzyskała świadomość; leżała na miękkim kobiercu w przepysznie ozdobionej komnacie.

Światło, przenikające przez ażurową różycę, umieszczoną w sklepieniu, oświetlało różne dziwnego kształtu przedmioty, których użytku odgadnąć nie umiała.

Liny, koła, malowane płótna, powyginane blachy, sprężyny, postacie ludzi i zwierząt leżały dokoła niej porozrzucane bezładnie.

Muzyka podobna do dźwięków, które kołysały jej sny i upojenia, dochodziła z oddali cichsza, jakby stłumiona grubością murów.

Hur-ti, który stał za Magdaleną, zbliżył się i siadł przy niej, mówiąc:

„Jak poranny wietrzyk spija rosę z kwiatów, tak łzy twoje w przyszłości zawsze miłość osuszać będzie. Odtąd będziesz szczęśliwą, gdyż

wyniesiesz się ponad wszystko: ponad obawy, i nienawiść, i pogardę, i przeciwności.

„Dusza twoja stanie się jako góra wysoka, której stopy osnuwa niekiedy mgła, lecz której szczyt panuje nad chmurami, tonąc w pogodnym błękicie.

„Oto co Izys, wielka bogini, rozkazała mi oznajmić tobie oraz wszystkim śmiertelnym, które podobnie jak ty zapragnęły wniknąć w jej tajemnice.

„A teraz mówi do ciebie już nie kapłan Izydy, lecz człowiek, który cię miłuje nad życie własne.

„Zamiast postąpić z tobą jak z innemi wtajemniczonemi, które odchodzą z umysłem oświeconym, lecz z pustem sercem, wprowadziłem cię do sanktuaryum kapłanów i istot wybranych. Dostąpisz uciech boskich.

„Jeżeli zechcesz, pożegnasz wszystkie ojczyzny, które cię w życiu przygarnęły, lecz które cię zawiodły, ponieważ żadna nie dała ci upragnionego szczęścia.

„W tej starej ziemi Egipskiej, bardziej starożytnej niż bogowie sami, żyć razem będziemy. Nie odpychaj mnie. Palmy nad brzegiem Nilu słodszą darzyć cię będą wonią, niż drzewa oliwne Tyberyady, a z lotosów jeziora Mareotis wykwitnie przedziwna rozkosz, która nas upoi.

„Najwyższa mądrość polega na poświęceniu wszystkiego dla własnego szczęścia.

„Nasze znikome życie zapala się w nas na chwilę, jak płomień pochodni; lecz gdy zagasi je podmuch śmierci, zostaje po niem wspomnienie tylko, które rozwiewa się szybko wśród ulotnych złudzeń, składających istnienie człowieka.

„Szczęśliwe dusze, które miłują! Szczęś-

liwsze stokroć te, które miłość wzbudzić zdołają!"

Magdalena spoczywała bez ruchu na miękkich poduszkach, pokrytych heroglificznymi znakami. Lekkie drżenie przebiegało jej rękę, na którą padały zwolna łzy mistagoga.

Oczy młodej kobiety utkwione były uporczywie w wizerunek haftowany na żółtym jedwabiu, przetykanym złotem Przedstawiał on boga siedzącego na tronie. W prawem ręku trymał berło; w lewem—czarny krzyż.

„Poco te wszystkie symbole?" rzekła wreszcie.

Słowa te wyrażały myśl: Jeżeli wy, kapłani egipscy, nie wiecie nic ponad to, co wiedzą inni ludzie, jaki cel mają wszystkie wasze ceremonie i tajemnice?

Kapłan przypuszczał, że Magdalena pyta o wytłomaczenie symbolicznej postaci, na którą patrzy.

„Ten znak, odparł, wyobraża boga Phtah, boga stworzyciela, w tryadzie Memfisu. Berło w prawej ręce przedstawia władzę, a krzyż, który piastuje w lewej, według naszych pism tajemnych, jest symbolem życia i nieśmiertelności".

Magdalena zdawała się nic nie słyszeć. Próżno Hur-ti przemawiał do niej. Przestał już dlań być owym pięknym bogiem, który objawił się jej przed chwilą w sztucznem upojeniu. Zniknął wpływ hypnotycznej potęgi, dzięki której kapłan zdołał nią zawładnąć. Wdowa po Papposie odzyskała zupełną przytomność umysłu, a wraz z nią powróciła wrodzona jej nieufność.

Spojrzała na mistagoga. Jego ogolona czasz-

ka i grube egipskie wargi wywołały w niej mimowolny odruch wstrętu.

Nie spostrzegł tego zapewne, gdyż mówił do niej słodko. Przerwała mu:

„Czy zdołałeś z szaty mojej, którą ci dałam, zmyć przeklętą plamę?“

Hur-ti powstał i zniknął za zasłoną, która wyobrażała brzegi Nilu, z unoszącymi się w powietrzu bocianami i bisami o śnieżnych skrzydłach.

Zostawszy samą, Magdalena poczęła przyglądać się uważniej otaczającym ją przedmiotom.

Dźwięki dalekiej muzyki, które dolatywały z poza murów, umilkły. Natomiast dał się słyszeć odgłos burzy. Głuche grzmoty obijały się o sklepienie.

Nagła myśl, jak błyskawica, przebiegła umysł wtajemniczonej: dziwaczne przedmioty, które ma przed oczyma przypominają dekoracye, służące do wywołania złudzeń scenicznych. Może zadrwiono z niej? W oburzeniu byłaby dała wszystko, by dowiedzieć się prawdy.

Wstała, obeszła komnatę dokoła: nie znalazła drzwi. Wówczas uniosła zasłonę, poza którą zniknął był Hur-ti.

Znajdowała się u wylotu ciemnego przejścia. Poczęła postępować niem zwolna, ostrożnie stawiając kroki.

Na lewo widniał inny korytarz, z którego uchylone drzwi wiodły do sali, skąd dziwne jakieś dochodziło światło.

Ciekawość zwyciężyła w duszy Magdaleny nieokreśloną obawę, która ją opanowała.

Ukryta w cieniu uchylonych drzwi, ujrzała widowisko, które rozwiało resztę jej złudzeń.

Kapłani, odziani podobnie jak Hur-ti, zaję-

ci byli czynnością, która tłomaczyła wszystkie ich mniemane cuda. Jedni ciągnęli za liny, służące do rozwijania wielkich malowanych płócien; inni, napół ukryci w postaciach zwierząt, udawali ich poruszenia.

Na drutach, zwisających od stropu, kołysały się wielkie kryształowe kule, w których płonęły różnobarwne ognie, wyobrażające gwiazdy. Obłoki tworzyły się z dymu palonych kadzideł. Opodal drzwi jeden z kapłanów poruszał szeroką wstęgę bronzowej blachy, która wydawała odgłos, podobny do grzmotu.

Magdalena ulękła się, że zbyt wiele dowiedziała się o tajemnicach i cudach kapłanów egipskich. Niewątpliwie oszukiwano znowu jakąś neofitkę, podobnie jak ją przed chwilą oszukano...

Cofnęła się.

Hur-ti zastał ją w komnacie, w której ją był zostawił.

„Oto, rzekł, przynoszę ci szatę twoją, z której krwawa plama zniknęła; lecz nie złamiesz pieczęci zamykającej skrzynkę, w której się zawiera.

„Jutro powrócisz do świątyni, by przed posągiem Izydy dopełnić ostatnich ceremonij. Odziana w dwanaście szat świętych wysłuchasz najwyższych nauk bogini.

„Przyniesiesz ze sobą tę skrzynkę, i nie łamiąc pieczęci, spalimy ją jako ofiarę dobrej wróżby. Za przyczyną Izydy żyć poczniesz wkrótce nowem życiem, szczęśliwszem, piękniejszem, niż dotąd.

„Ja zaś liczyć będę godziny, dzielące mnie od twego powrotu. Moje serce jest piaszczystą pustynią. O piękna cudzoziemko! Ty bę-

dziesz ożywczą oazą, której widok każe zapomnieć o wszelkim trudzie, o wszelkiem cierpieniu".

XIX.

Eduxi te de terra Aegypti. (Ex. X. 21).
Jam cię wywiódł z ziemi Egipskiej.

Nic tak nie oburzało Magdaleny, jak dwulicowość i hypokryzya.

Wróciwszy do domu Judasza, rzekła do swej służebnicy:

„Odjeżdżamy do Galilei coprędzej. Stamtąd pojedziemy dalej, do Rzymu zapewne.. Wreszcie możemy się jeszcze nad tem namyśleć; chcę tylko być jak najnajdalej od tych oszustów i od ich kłamstw".

W gniewie pragnęła kilkakrotnie w ciągu dnia otworzyć złowrogą skrzynkę; lecz za każdym razem, gdy sięgała ręką, by złamać tajemniczą pieczęć, powstrzymywała ją od tego jakaś zabobonna trwoga.

Wyszła, by odwiedzić Proclę, lecz ta była w świątyni Izydy, gdzie zapewne dopełniała ostatnich ceremonij wtajemniczenia.

Coraz silniej rozdrażniona Magdalena wróciła do domu i oświadczyła swemu gospodarzowi zamiar opuszczenia Aleksandryi.

Projekt ten niweczył plany kupca: to też starał się wszelkiemi sposobami zatrzymać młodą kobietę.

„Jeśli odjedziesz przed ostatecznem dopełnieniem wtajemniczenia, ścigać cię będzie zemsta kapłanów Izydy. Wiesz, że wykonać ją potrafią. Gniew ich spadnie nawet i na mnie, którym ci udzielił gościny.

„Poddaj się jeszcze ostatnim ceremoniom. Wówczas, po dojrzalszem zastanowieniu, może odmienny powezmiesz zamiar. Nic cię nie zmusza do pośpiechu. Dom mój jest twoim domem; możesz ufać mojej życzliwości".

Judasz mówił z takiem wzruszeniem prawdziwem czy też udanem, na obliczu jego malowało się takie wzruszenie, że Magdalena uczuła dlań wdzięczność.

Nie ulegając jego prośbom, wyjaśniła mu powody swego wyjazdu: powiedziała mu, że obawia się mistagoga Hur-ti, który, podobnie jak jego towarzysze, nie zawahałby się przed niczem. Nie wróci już do świątyni Izydy.

Judasz zrozumiał. Doradzać jednak niezwłoczny wyjazd cudzoziemce, znaczyłoby to utracić ją na zawsze. Nie mógł jej również namawiać, by wróciła do kapłana Hur-ti.

Całą noc następną Judasz ważył sprzeczne projekty. Wyjazd Magdaleny burzył odrazu słodkie marzenia, któremi się łudził.

Jak wszyscy niemal żydzi rozproszeni po świecie, nie tracił nadziei, że ujrzy kiedyś swą ojczyznę. Czemużby nie miał pojechać do Galilei? Prócz zamiłowania do handlu i żądzy zysku, żadne więzy nie zatrzymywały go w Egipcie.

Nazajutrz zrana, na piętrze w izbie, którą zajmowały od kilku tygodni, Magdalena i Euxema czyniły przygotowania do odjazdu.

Co dnia liczne okręty odjeżdżały z Aleksandryi. Magdalena postanowiła wsiąść na statek, płynący do Galilei.

Dwa duże worki z seforyjskiego płótna, zawierające odzież obydwu kobiet, leżały koło ściany malowanej żółtą ochrą. Magdalena, sto-

dziesz ożywczą oazą, której widok każe zapomnieć o wszelkim trudzie, o wszelkiem cierpieniu".

XIX.

Eduxi te de terra Aegypti. (Ex. X. 21).
Jam cię wywiódł z ziemi Egipskiej.

Nic tak nie oburzało Magdaleny, jak dwulicowość i hypokryzya.

Wróciwszy do domu Judasza, rzekła do swej służebnicy:

„Odjeżdżamy do Galilei coprędzej. Stamtąd pojedziemy dalej, do Rzymu zapewne.. Wreszcie możemy się jeszcze nad tem namyśleć; chcę tylko być jak najnajdalej od tych oszustów i od ich kłamstw".

W gniewie pragnęła kilkakrotnie w ciągu dnia otworzyć złowrogą skrzynkę; lecz za każdym razem, gdy sięgała ręką, by złamać tajemniczą pieczęć, powstrzymywała ją od tego jakaś zabobonna trwoga.

Wyszła, by odwiedzić Proclę, lecz ta była w świątyni Izydy, gdzie zapewne dopełniała ostatnich ceremonij wtajemniczenia.

Coraz silniej rozdrażniona Magdalena wróciła do domu i oświadczyła swemu gospodarzowi zamiar opuszczenia Aleksandryi.

Projekt ten niweczył plany kupca: to też starał się wszelkiemi sposobami zatrzymać młodą kobietę.

„Jeśli odjedziesz przed ostatecznem dopełnieniem wtajemniczenia, ścigać cię będzie zemsta kapłanów Izydy. Wiesz, że wykonać ją potrafią. Gniew ich spadnie nawet i na mnie, którym ci udzielił gościny.

„Poddaj się jeszcze ostatnim ceremoniom. Wówczas, po dojrzalszem zastanowieniu, może odmienny powziąmiesz zamiar. Nic cię nie zmusza do pośpiechu. Dom mój jest twoim domem; możesz ufać mojej życzliwości".

Judasz mówił z takiem wzruszeniem prawdziwem czy też udanem, na obliczu jego malowało się takie wzruszenie, że Magdalena uczuła dlań wdzięczność.

Nie ulegając jego prośbom, wyjaśniła mu powody swego wyjazdu: powiedziała mu, że obawia się mistagoga Hur-ti, który, podobnie jak jego towarzysze, nie zawahałby się przed niczem. Nie wróci już do świątyni Izydy.

Judasz zrozumiał. Doradzać jednak niezwłoczny wyjazd cudzoziemce, znaczyłoby to utracić ją na zawsze. Nie mógł jej również namawiać, by wróciła do kapłana Hur-ti.

Całą noc następną Judasz ważył sprzeczne projekty. Wyjazd Magdaleny burzył odrazu słodkie marzenia, któremi się łudził.

Jak wszyscy niemal żydzi rozproszeni po świecie, nie tracił nadziei, że ujrzy kiedyś swą ojczyznę. Czemużby nie miał pojechać do Galilei? Prócz zamiłowania do handlu i żądzy zysku, żadne więzy nie zatrzymywały go w Egipcie.

Nazajutrz zrana, na piętrze w izbie, którą zajmowały od kilku tygodni, Magdalena i Euxema czyniły przygotowania do odjazdu.

Co dnia liczne okręty odjeżdżały z Aleksandryi. Magdalena postanowiła wsiąść na statek, płynący do Galilei.

Dwa duże worki z seforyjskiego płótna, zawierające odzież obydwu kobiet, leżały koło ściany malowanej żółtą ochrą. Magdalena, sto-

jąc przy wązkiem zakratowanem oknie, patrzyła wdal, w stronę portu.

Euxema wychodziła właśnie dla porozumienia się z kapitanem okrętu co do warunków przejazdu, gdy Judasz, zwyczajem rzymskim, zastukał do drzwi.

„Postanowiłam odjechać natychmiast, rzekła Magdalena, dopóki kapłani Izydy, którzy nie podejrzewają mego zamiaru, nie przedsięwezmą nic, by go udaremić. Mogą przypuszczać że ty sam nic o nim nie wiedziałeś".

Judasz pobladł i milczał, nie mogąc przemówić

„Jeśli doradzałem ci odłożenie wyjazdu powiedział wreszcie, to nietyle ze względu na własne bezpieczeństwo, ile dla uczucia, które wzbudziłaś w mojem sercu.

„Dom mój bez ciebie wyda mi się bardzo smutnym, i kapłani Izydy łatwe będą mieli zadanie, jeśli zechcą mi zatruć pobyt w Aleksandryi. Zniósłbym jednak chętnie wszelkie przykrości, gdybym miał nadzieję, że ujrzę cię jeszcze kiedyś".

Magdalena nie żywiła względem Judasza ani sympatyi, ani antypatyi. Odparła wymijająco:

— Kto wie? Los zrządza niekiedy takie niespodzianki!

— Czy pozwolisz w tym wypadku pokierować ręką losu?

Judasz spoglądał pytająco w oczy młodej kobiety, pragnąc z nich wyczytać wyraz ukrytych jej uczuć.

Po krótkiem wahaniu odrzekła uprzejmie, że zawsze miło jej będzie ujrzeć człowieka, który tyle oddał jej usług.

W parę godzin po tej rozmowie w porcie

leksandryjskim Judasz ścigał wzrokiem niknący w oddali okręt, który unosił Magdalenę ku Cezarei.

Biała jakaś postać widniała na pokładzie: wydawało mu się, że ją poznaje...

Okręt dawno już był zniknął z widnokręgu, a kupiec wciąż stał na tem samem miejscu tak smutny, jak gdyby pozbawiono go większej części jego skarbów.

— Za kilka miesięcy, rzekł wreszcie do siebie, zmierzając ku domowi, uporządkuję wszystkie swoje sprawy, a wówczas musiałby się los srodze zawziąć na mnie, gdybym nie miał ujrzeć mojej pięknej i bogatej rodaczki.

XX.

Quos elegit. (Marc. III. 13).
Wezwał, których chciał.

Wśród skalistej pustyni droga wiła się jak wąż, pełznący do nory.

Biegła nad brzegiem przepaści i okrążała góry, szukając w nich przejścia.

Potoki szemrały na dnie rozpadlin. Po spadzistych stokach górskich zwisające gałęzie cedrów splatały się z uczepionymi w szczelinach korzeniami.

Gdzieniegdzie widniały długie smugi skalistych czerwonych usypisk, które wyglądały jak krwawiące rany w łonie gór.

Na niebie białe obłoczki topniały w słońcu.

Droga wiodła z Jerycho, miasta uciech, do Jerozolimy, gdzie ukończono właśnie budowę świątyni prawdziwego Boga.

Drogą tą szedł Jezus z uczniami. Odziani byli w brunatne tuniki. Wełniany sznur przytrzy-

mywał na ich głowach kwadratowe płócienne chusty, spadające na ramiona.

Ostre cienie pielgrzymów rysowały się w jaskrawem świetle tak wyraźnie, jak postacie same, ścieląc się na lewo, na prawo i przed nimi stosownie do zakrętów ścieżki.

Wśród rozgrzanych skał, które paliły mu sandały, Piotr marzył o ociekających chłodną wodą sieciach, które wyciągał niegdyś z jeziora Tyberyady. Jan i Filip wracali wspomnieniem do radosnego widoku zielonych drzew palmowych i bujnych sadów jerychońskich, przez które byli przechodzili. Andrzej myślał o Marcie, narzeczonej swej, którą miał ujrzeć niebawem, droga bowiem wiodła przez Betanię.

Jezus rzekł do Andrzeja: „Pójdź za mną". Jakże nie usłuchać proroka? A jednak wiedział, że Andrzej był narzeczony z Martą.

Obecnie na łagodniejszych zboczach górskich widać już było nędzne półka ziemi, pracowicie wydartej pustyni. Im dalej, tem stawały się liczniejsze. Gdzieniegdzie rosły drzewa oliwne o zielonych, jak gdyby przyprószonych pyłem liściach.

Potem na brzegach drogi ukazywać się poczęły groby: wielkie kamienne kredowo białe sześciany, ciężkie, ostro zakończone piramidy, małe sklepienia wsparte na dwu czworograniastych kolumnach, strzegących wnijścia do pieczar.

Pustkowie zaludniało się stopniowo. W dolinach o coraz łagodniejszym spadku, pod strażą pasterzy uzbrojonych w kije i włócznie, pasły się stada czarnych kóz

Dęby, sykomory i terpentynowce poczynały skupiać się w niewielkie gaje, pnące się ku górom, ponad polami.

Na zakrętach drogi, wijącej się wśród wąwozów, zalatywały rzeźwiejsze powiewy.

Wędrowcy przeszli Enzemes leżące w górach i tak biedne, że rabusie nawet nie znajdowali w niem nic do zabrania.

Stary żebrak o nagich członkach, przeświecających z podartych łachmanów, czerpał dzbanem z cysterny wodę i częstował nią przechodniów.

Jezus i uczniowie Jego zaspokoili pragnienie. Jezus rzekł: „Błogosławiony ubogi, dający jałmużnę uboższemu od siebie. Raduje on Ojca mego, który jest w niebiesiech".

Skoro na widnokręgu słońce poczęło chylić swą zwiększającą się tarczę ku górom Rogel, na prawo, wśród drzew figowych zabieliły się domy Betanii.

Zapach bujnych sadów dochodził z poza otaczających je murów, wyższych, niż ogrodzenia pól.

Na brzegu drogi, na kamienisku, gromadka trędowatych zdawała się oczekiwać na coś.

Niektórzy, ci, co mogli jeszcze, powstali.

Miast wołać: Nieczyści! Nieczyści! jak nakazywał Zakon, dla ostrzeżenia żyjących, wyciągnęli ramiona, z których zwisały łachmany pokrwawione od ran.

„Zmiłuj się nad nami, mówili, o ty, który możesz nas uzdrowić!"

Uczniowie zbliżyli się do mistrza. Otoczyli go zatrwożeni.

W grupie chorych, pośrodku, stał człowiek bogato odziany. Jedną tylko stronę twarzy miał zeszpeconą śnieżnym nalotem trądu.

Pełen godności, nie wołał jak inni.

Był to Szymon, Faryzeusz, przyjaciel Łazarza

Na ziemi obok niego leżał brat Marty: od paru bowiem tygodni choroba tak stoczyła jedną nogę nieszczęśliwego, że nie mógł już chodzić. Kazał się wynieść na spotkanie Jezusa.

Trędowaci wołali wciąż: „Jezusie! Możesz nas uzdrowić! Zmiłuj się nad nami!"

W przeddzień w górach Rogel, rozeszła się była wieść, że przyjść ma prorok Jezus, który uzdrawia trędowatych.

Łazarz dowiedział się o tem od Marty, siostry swojej, narzeczonej jednego z uczniów Jezusa.

Przechodzić miał z Jerycho do Jerozolimy drogą, wiodącą przez Betanię.

Z początku Szymon chciał ukryć tę wiadomość, w nadziei, że im mniejsza liczba chorych znajdzie się na drodze, którą przechodzić będzie prorok, tem pewniej zostaną uzdrowieni. Ale przez wrodzoną dobroć swą Łazarz podzielił się już był radosną wieścią z Holgesem, a nowina lotem strzały biegła od chaty do chaty, od pieczary do pieczary, i poruszyła wszystko, co żyło wśród gór.

Dobre nowiny dochodziły tak rzadko do tego cmentarza żywych trupów, odciętych od reszty świata!

Niektórzy z nich poczęli schodzić ku drodze, wiodącej z Jerycho do Jerozolimy zaraz po północy: dla ich stoczonych ranami członków była to podróż niezmiernie długa i uciążliwa. Inni błagali bezskutecznie, by ich niesiono: lecz tylko bogaci, jak Łazarz mogli znaleźć potemu ludzi zdrowych i chętnych. Jakaś matka wzięła na ręce córkę swoją, która już iść nie mogła i obie zeszły z góry nocą, potykając cię i staczając po stromych zboczach.

Było ich około trzydziestu chorych, czekających na Jezusa. Prawie wszyscy przybyli o świcie. Przez dzień cały skargi ich i jęki dochodziły aż do Betanii. Dzieci przybiegły, by się im przyjrzeć; obecnie jeszcze patrzyły na nich zdaleka, kryjąc się za ogrodzenia pól i za pnie karłowatych cedrów.

Gdy na drodze zjawiła się gromadka apostołów, trędowaci poczęli pytać się wzajemnie: „Czy prorok jest między nimi?“

Wówczas ktoś zawołał: „To on! Idzie przodem, bledszy i wyższy, niż inni“.

I od tej chwili oczy nieszczęśliwych utkwione były w Jezusa. Wzmogły się wołania: „Możesz nas uzdrowić! Możesz nas uzdrowić!“

Kilku z nich padło przed nim na twarz, zagradzając mu drogę. Inni dotykali go.

Wzrok Jezusa zatrzymał się na jednym z trędowatych. Wszyscy z zazdrością spojrzeli na niego. Był to Łazarz, brat Marty. Niewątpliwie ten przynajmniej zostanie uleczony.

Jakaś stara kobieta przywlokła się przed Łazarza, by na siebie ściągnąć zbawcze spojrzenie.

Spokojnym ruchem Jezus wyciągnął prawą dłoń nad nieszczęśliwymi.

Wszyscy zamilkli. Kogo uzdrowi?

Niepokój oczekiwania ścisnął serca.

„Ci, których Ojciec mój wybrał, pójdą okazać się kapłanom“.

Jezus wyrzekł te słowa z prostotą, potem poszedł dalej drogą ku Jerozolimie, a za nim podążyli uczniowie.

Trędowaci doznali uczucia, jak gdyby wionęło na nich tchnienie boskie. Prawie wszyscy zostali uzdrowieni.

Młoda dziewczyna wstała. Patrzyła ze zdumieniem na strupy, spadające z twarzy matki.

Po ciele Szymona przechodził potężny prąd życia, który tamował źródła śmierci.

Holges spoglądał na swe wynędzniałe członki, pokrywające się zdrowem ciałem: nowe tkanki narastały na otwarte rany.

Ale Łazarz nie doznał żadnej ulgi: miłosierdzie, które uzdrowiło innych, jego — pominęło.

Po przez łzy, które toczyły się z pod jego opuchniętych i czerwonych powiek, z rozpaczą patrzył na bożą gromadkę, oddalającą się w stronę jego rodzinnej Betanii.

XXI.

Ingressus est in domum. (Marc III. 27).
Wszedłszy w dom..

Była czwarta godzina dnia. Marta wraz ze służebnicą, siedząc pod figowcem, który ocieniał wejście do domu, przędły wełnę, namotaną na wrzeciona z trzciny Jordanu.

Słychać było tylko cichy szmer ich poruszeń i brzęczenie owadów, miłośników upalnych godzin.

Przed czterema dniami Andrzej przechodził był przez Betanię wraz z Jezusem, w drodze do Jerozolimy.

Powiedział swej narzeczonej, że miłuje ją zawsze jednakowo: lecz wyrzekł się wszystkiego, jej nawet, by oddać się niepodzielnie Mistrzowi.

Nowy prorok, o którym mówiono, że jest tak dobry, zabrał Marcie narzeczonego i nie uzdrowił brata.

Nadomiar nieszczęścia dowiedziała się, że siostra jej po powrocie z podróży do Egiptu, wiedzie znowu haniebne życie w Magdali.

Zwijając pracowitemi dłońmi szarą wełnę, Marta mówiła w milczeniu ze swoim bólem. Dusza jej krwawiła się na myśl o opuszczeniu, w którem żyła. Łazarz nawet oddalał się od niej coraz bardziej, w miarę jak się zbliżał ku śmierci.

Turkot żaren, mielących zboże, za nadejściem południa dobiegać począł z sąsiednich domów. Gromadka małych chłopców wyszła z synagogi, gdzie *hazzan* uczył ich czytać. Zstępowali po kamiennych stopniach, osłaniając głowy lekkimi płaszczami o jaskrawych barwach.

Krąg cieniu pod figowcem zmalał: palące płomyki słońca pełzały po szatach prząśniczek.

„Pani, rzekła służebnica, oto nadszedł czas mielenia“.

Marta dała znak przyzwolenia, i służebnica wstała, zabierając do domu pęki wełny.

Marta pogrążyła się w zadumie,

Dźwięczały jej w duszy ostatnie słowa Andrzeja. Rzekł był do niej. „Możemy miłować się większem, niż ziemskie kochaniem“.

Dziewczyna nie rozumiała; czuła jednak, że w sercu jej budzą się tajemnicze chcenia, nieuchwytne jakieś pożądanie życia wyższego. Znajdowała nawet pewien urok w swem cierpieniu. Wszakże Andrzej nie przestał jej kochać, nie jest więc zupełnie nieszczęśliwą.

Wraz ze wspomnieniem Andrzeja w umyśle jej zjawił się obraz Jezusa. Względem proroka doznawała nieokreślonego, dziwnego uczucia: coś ją w nim pociągało i odpychało zara-

zem. Nie umiała zdać sobie z tego sprawy. Wiedziała tylko, że w duszy jej imię Andrzeja kojarzy się zawsze z imieniem Jezusa.

Ponieważ podłożem charakteru Marty była energia i potrzeba działania, powstała również. Służebnica jej obracała już czarne żarna, wykute z twardego kamienia, przywiezionego z morza Martwego.

Wkrótce obie kobiety z pochylonemi ku sobie głowami, z obnażonemi rękoma, harmonijnym gestem wprawiły w kolisty ruch dźwignię domowego młyna.

Woń mielonej pszenicy napełniła dom.

Skrzynia, skąd czerpano ziarno, stała otworem.

Żarna, obracając się, wprawiały dom cały w lekkie drganie, które przebiegało po powierzchni sprzętów.

Przez otwarte drzwi słońce ciskało na ziemię do wnętrza płat jaskrawego światła, wystrzępiony z jednej strony cieniem wielkiego figowca.

Nagle człowiek jakiś stanął na progu.

Płaszcz miał odrzucony na ramię, a jarzące słońce otaczało go nimbem promieni.

Był to Jezus.

„Wnijdź, Mistrzu“, rzekła dziewczyna.

Jezus siadł i trwał bez ruchu z rękoma złożonemi na kolanach.

Czoło jego, owiane wielkim smutkiem, było pochylone. Oczy spoczęły na ziemi, na cieniu figowca, poszarpanym świecącymi krążkami słońca.

„Marto, przemówił wreszcie, Andrzej przybędzie. Jeśli zechcesz, posilimy się tutaj.

— O Mistrzu, odparła, mój dom jest twoim.

— Chcę nietylko domu twego, rzekł Jezus; trzeba, byś poszła za mną, jak narzeczony twój. Kto idzie za mną, wstępuje na drogę ofiary; kto cierpi dla mnie, znajduje żywot wieczny.

Marta nie śmiała odpowiedzieć.

Jezus powstał, a ona doznała uczucia, że znajduje się w obliczu Boga.

Wówczas, padłszy na kolana, rzekła:

„Mistrzu, uczyń, bym zrozumiała i stała się tem, czem chcesz, abym była".

W tej samej chwili, gdy Marta wymówiła owe słowa, Łazarz, brat jej, został uzdrowiony.

XXII.

Exui me stola pacis. (Bar. IV, 20).
Zdjęłam z siebie szatę pokoju.

Wróciwszy do swej willi w Sephron, Magdalena dowiedziała się, że Salome wraz z całym dworem Heroda wyjechała do Macherontu. Ta wieść uspokoiła ją i wpłynęła na postanowienie pozostania w Galilei. Zresztą każda nowa podróż napełniała ją obawą.

Dla oszołomienia się i zagłuszenia wewnętrznego niepokoju, pogrążyła się w odmęt cielesnych uciech. Nabyła łódź i na wodach jeziora spędzała z dawnymi towarzyszami ciepłe wieczory miesiąca Tammuz. Jednej nocy, gdy zerwał się wiatr silniejszy, zlękła się, że utonie. Nazajutrz spaliła statek na ofiarę prześladującym ją duchom.

Dręczona ciekawością, zapragnęła przekonać się, co kapłani egipscy uczynili z powierzoną im szatą.

Drżącą z niecierpliwości ręką złamała pieczęć skrzynki i odszukała na jedwabiu miejsce,

na które padła krew Jana Chrzciciela: plama znikła.

Nie wierzyła w mniemane cuda tych, którzy według niej byli oszustami. Mimo to z zadowoleniem stwierdziła, że dzięki swej wiedzy, zdołali zmazać tę kroplę krwi, która zbudziła w jej duszy pierwsze wyrzuty sumienia.

Ale gdy pewnego wieczora przyszedł jej kaprys ustrojenia się w ową szatę, jak gdyby dla wyzwania do walki niezrozumiałych obaw, które tkwiły w głębi jej serca, spadł deszcz rzęsisty, a na zmoczonym jedwabiu krwawa plama wystąpiła znowu.

Wiedza kapłanów ograniczała się do ukrycia plamy pod cienką warstwą farby tego samego, co suknia, koloru.

Wówczas niepokój, który na dnie sumienia drzemał tylko, chwilowo uśpiony, zbudził się i bardziej niż kiedykolwiek szarpać ją począł.

Nocą nie zaznawała snu spokojnego: dręczyły ją zmory, nawiedzały nagłe strachy, jak w najgorszych dniach przed podróżą do Egiptu.

Przypomniała sobie leki, które zalecili jej byli wróżbici z Mityleny, i zażywała pylniki *silphium* z sokiem mandragory, o północy, z oczyma utkwionymi w gwiazdę Algol wymawiała magiczne zaklęcia, — napróżno: dręczył ją bezustannie lęk i niepokój.

Raczej dla oszołomienia się niż dla uzdrowienia, w które już wierzyć przestała, udała się do Endory do Pythyi i do Cezarei, zapytać o radę kapłanów bożka Pana: nie uspokoiło to jej niewytłomaczonych obaw i wewnętrznego nie dało spokoju.

Zmysłowe uciechy budziły w niej nieprze-

zwyciężoną odrazę: poczęła szukać bardziej wyrafinowanych przyjemności.

Zbierała słoiki z wonnościami, hodowała własnoręcznie najrzadsze kwiaty, — potem zarzuciła wszystko. Sama ciskała do jeziora naręcza kwiatów niesłychanej wartości.

W Egipcie zachwycił ją widok *phenicopter'ów*; kupiła kilka, by się nacieszyć pięknem ich upierzeniem; lecz wkrótce męczyć ją począł przenikliwy krzyk tych dziwnych ptaków, których pozbyła się niebawem.

Po przeczytaniu poezyi Sapho, przyszła jej chęć układania wierszy; ale wszelka praca myślowa nadawała jeszcze większą żywotność jej wizyom wewnętrznym, to też porzuciła wkrótce grecką literaturę i studya poetyckie.

Ponieważ miała swiadomość własnego upadku, zazdrościła Salome jej zimnej przewrotności i spokoju wewnętrznego, którym się przechwalała wśród szału wspólnych uciech.

Nie wierzyła w nic: wszystko wydawało jej się złudzeniem i kłamstwem; mimo to czuła potrzebę wierzenia w świat niewidzialny i wbrew przekonaniu stała się zabobonną. Nosiła na szyi drobne agatowe kulki dla oddalenia złych duchów. Mawiała często: „Jeśli uczynię ten ruch, jeśli spełnię ten czyn, — stanie się to lub owo".

Coraz silniej prześladowała ją mania dostrzegania i tworzenia tajemniczych związków między najzwyklejszemi zdarzeniami.

Wkrótce każdemu nieledwie jej czynowi, począł towarzyszyć dziwaczny, niczem nie usprawiedliwiony lęk.

Serce jej uczuwało potrzebę kochania, a każda miłość przeradzała się u niej we wstręt.

Pragnęła przyjaźni szczerej, choćby czyjegoś szacunku: czuła się coraz bardziej osamotnioną.

Towarzyszki uciech nie rozumiały jej wcale. Duma zbyt ją wynosiła ponad służebnice, by im miała serce otworzyć: a jednak gorąco pragnęła tego.

Od czasu podróży do Aleksandryi stosunek jej z Euxemą oddalił się bardzo. Magdalena miała do niej trochę żalu, że namówiła ją na ten wyjazd do dalekiego kraju, gdzie spotkał ją zawód. Zresztą wspomnienie tej podróży było równie przykre dla pani, jak dla służebnicy.

Dnia jednego, błądząc bez celu nad jeziorem, Magdalena ujrzała gromadkę dzieci, które igrały na brzegu: jedne budowały tamy z piasku, lub pałace z kamyków; inne puszczały na wodę kawałki kory, które miały wyobrażać statki.

Ponieważ młoda kobieta miała ze sobą migdały i inne przysmaki, podeszła do nich, by nacieszyć się ich widokiem i rozdać im trochę łakoci.

Zrazu dzieci, pochłonięte zabawą, nie spostrzegły jej wcale. Zbliżyła się więc do małej, siedzącej na ziemi dziewuszki, która kopała dołek w piasku; długie włosy, okrywające ją całą, nie pozwalały dojrzeć jej twarzyczki.

Na głos Magdaleny drgnęła. Wstała, odgarnęła rączkami włosy i wielkie czarne oczy podniosła ciekawie ku pięknej i bogatej pani, która się do niej uśmiechała.

Magdalena dała dziecku garść migdałów. Inne dzieci wnet przybiegły. Drobne rączęta wyciągnęły się ku młodej kobiecie, która z radością zaspakajała te niewinne pożądania.

Z rozkoszą gładziła kędzierzawe główki;

gdyż małe istotki, tak łatwe do pozyskania, spoufaliły się szybko z nową znajomą.

Jeden tylko chłopczyk, starszy nieco od innych, pozostał na uboczu; skorupką rozbitej amfory sypał górę z piasku i ciskał ukradkiem wyzywające spojrzenia na nieznajomą.

Magdalena podeszła do niego, by ofiarować mu nieco przysmaków.

Chłopiec wyprostował się, otrząsnął ręce, powalane wilgotnym piaskiem, i odszedł.

„Czemu uciekasz odemnie?“ spytała młoda kobieta, usiłując nadać jak najmilszy ton swej wymówce.

Dziecko zawahało się przez chwilę, a potem odrzekło z pogardą: „Przecież ty jesteś Magdalena“.

Na te słowa dzieci umilkły. Potem mała jakaś dziewczynka zawołała:

„Ach! Magdalena!“

Wówczas wszystkie rzuciły na ziemię, trzymane w ręku łakocie: każde z nich na swój sposób wyraziło jej pogardę; starsze miotały obelgi, a ośmielone jej milczeniem ciskały w nią kamykami i piaskiem.

Brzydkie słowa kaziły usteczka, co przed chwilą wydawały się tak niewinne.

Kobieta jakaś zjawiła się na brzegu i przywołała swoją córeczkę: bała się pewno zostawić ją w towarzystwie kurtyzany.

Wszystkie dzieci skorzystały z tego wezwania i oddaliły się biegnąc, jak stado spłoszonych owiec. W ucieczce miotały wciąż obelgi, których ohydy rozumieć jeszcze nie mogły.

Kilka godzin później Magdalena, siedząc na tarasie, patrzyła na ptaki, krążące ponad polem dojrzałego jęczmienia. Z nad brzegu jeziora

dolatywał miarowy stuk młotka: rybak jakiś naprawiał starą łódź swoją.

W pobliżu ogrodu, na klepisku zasłanem snopkami, chodził wół i osioł, depcąc i młócąc zboże. Okryta płachtą kobieta popędzała je głosem i za pomocą drewnianego trójzęba podścielała im pod kopyta rozrzucone kłosy.

W jednakowych odstępach czasu szary osioł i wół bury ukazywały się w przejściu, wciąż w jednym krążąc kierunku, pomiędzy figowcem, a murowanem ogrodzeniem.

Na dole pod tarasem błyszczały w słońcu płaskie kamienie, którymi był wyłożony dziedziniec.

Gdy Magdalena patrzyła długo na dół, zdawało jej się, że kamienie wznoszą się ku górze, jak gdyby miały dotknąć tarasu. Wszystko dokoła niej wirowało zawrotnie.

Na twarzy jej widoczne były ślady łez; nie płakała już jednak.

„Za chwilę, myślała, przestanę żyć i wszystko się skończy".

Różne postacie przesuwały się w jej wspomnieniach, jedne wstrętniejsze od drugich: Manhir, Hur-ti, Salome...

„Wszystko jest złe na świecie, zawołała. Przeklęty niechaj będzie los, który stworzył życie, pełne kłamstwa i bólu".

„Umrzeć — to przestać cierpieć!.."

Zbliżyła się do balustrady z różowego marmuru.

Wzrokiem ogarnęła widnokrąg, jak gdyby żegnając światło dnia. Na prawo, w dalekiej głębi perspektywy, widniał śnieżny szczyt Hermona, otoczony bladym błękitem. W bezmiarze niebios pływały lekkie obłoczki, niby gąb-

ki morskie, przesycone światłem. Ciemniejsze od nieba jezioro spało w głębi swej szmaragdowej czary o brzegach powyrzynanych i zabarwionych fioletem.

Młoda kobieta spojrzała znowu w dół. Wydało jej się, że widzi już swe służebnice, które za chwilę podniosą z okrwawionych kamieni martwe jej ciało.

Niktby nie płakał... Chyba Euxema, bo Euxema kocha ją jeszcze... „Sprawiedliwość!“ powiedzą w Magdali. „Kobiety zwłaszcza cieszyć się będą z mojej śmierci... i szybko bardzo zapomną o mnie wszyscy“...

Wówczas doznała wrażenia, że jakaś dłoń niewidzialna popycha ją ku przepaści. Instyktowo cofnęła się.

Myśl, że za chwilę znajdzie się tam, na dole, poraniona i okrwawiona, ona, tak dumna ze swej piękności,—powstrzymała ją od wykonania zamiaru.

Wyjęła z zanadrza małe złote zwierciadełko i nieświadomym ruchem starła z twarzy ślady łez, które psuły harmonię jej rysów.

Czyż nie można wybrać innego rodzaju śmierci?

Czemu ze skały, która zwisa nad jeziorem w pobliżu Magdali, nie rzucić się w nurty? Ciało nietknięte zginie w odmęcie.

W ten sposób niezeszpecona pogrążyłaby się w wielki spokój nicości.

Potem ogarnął ją nagły poryw niepohamowanego gniewu. Pragnęłaby była, by wraz z nią zdruzgotany w jakimś strasznym kataklizmie, przepadł świat cały, ten świat pełen kłamstwa i niegodziwych istot.

„Masz rodzinę, która cię kocha jeszcze!“ —

Czemu te słowa trędowatego dźwięczały jej teraz w uszach tak wyraźnie, jak wówczas, gdy usłyszała je po raz pierwszy na drodze z Tyberyady do Magdali?

„Mam rodzinę, powtórzyła: nie jestem więc sama i opuszczona od wszystkich. Jakąż to tajemnicę kryje moja przeszłość? Ach! gdyby kiedyś los mi dał ją poznać!“

Magdalena drgnęła: na tarasie rozległy się czyjeś kroki.

Była to Euxema.

„Pani, rzekła służebnica, handlarze z Sydonu pragną pokazać ci przywiezione na sprzedaż jedwabie i klejnoty“.

XXIII.

Venit Jesus (Mat. XXVI, 36)
Przyszedł Jezus.

Słowa Jego poruszyły całą Judeę i wstrząsnęły dreszczem cudów wszystkie kraje przylegające do Galilei, od Krańców Tyru i Sydonu aż po Decapolis i Transjordanię..

Rolnicy gromadzili się po miedzach pól i ponad nizkimi murami z kamieni, mówili o Nim i o tem, co był uczynił.

Kobiety, czerpiąc o schyłku dnia wodę z źródeł, wiodły ciche o Nim rozmowy. — Kiedy pójdziemy doń? zapytywały dzieci w prostocie swej niecierpliwości.

Samo imię Jego jak nadzieja krzepiło chorych: był dla ślepców światłem wśród ciemności.

Celnicy i poborcy nie śmieli żądać nic ponad należność: bowiem ziemię przebiegło tchnienie sprawiedliwości.

Wielbłądnicy, wędrujący w cieniu swych

zwierząt wśród rozpalonych piasków pustyni, od Syryi aż do dalekiej Ekbatany, wspominali o dziwach Jego nauki: opowiadali sobie cuda, które widzieli, i śnili o nich potem nocą pod płótnem namiotów.

Po dłuższej nieobecności powrócił do Kafarnaum.

Za nim nie jeno ciekawych kilku, lecz szły tłumy, rzesze niezliczone.

Magdalena samotna w swej willi w Sephron, nie mogła ani z życiem się pogodzić, ani ze śmiercią...

Dnia jednego dobiegł do niej od strony dziedzińca wielki szum. Sądząc, że to burza nadciąga, z przyzwyczajenia wydała służebnicom rozkaz, by wytoczyły na dziedziniec kloce kamienne, które żłobiąc glinę, zapobiegają wlewaniu się wody deszczowej do domów.

Lecz pomieszany gwar głosów napełniał całą willę.

Nie był to jednak huragan: to szumną falą toczyło się nieprzebrane morze ludzkie.

Po przez *arubah'y* z drzewa *setim* Magdalena ujrzała napływającą rzeszę mężczyzn, kobiet i dzieci.

Przy białych togach bogatych kupców rzymskich, widniały bure *chethoneth'y* właścicieli winnic z Assedim, błękitne, biało haftowane zasłony wieśniaczek z Arbeli, wielkie, opatrzone rzemieniami kosze handlarzy z Sydonu i Tyru, obcisłe tuniki marynarzy. Wszyscy dążyli w jednym kierunku, spiesząc, bezładnie, jak gdyby trawieni jakąś potężną żądzą; dzieci, biegnące po brzegach ludzkiej fali, nawoływały się wzajemnie, zatrzymywały co chwila dla odpo-

czynku i spieszyły dalej, unosząc rękoma faldy sukienek.

Magdalena klasnęła w dłonie.

„Dokąd idzie ten tłum?“ zapytała służebnicy.

— To Jezus przechodzi, odrzekła.

Magdalena doznała gwałtownego wstrząśnienia.

„O pani, ciągnęła błagalnym tonem służąca, słyszałam, że znów mówić będzie: zapewne znowu uczyni cud jakiś. Czy mogę pójść zobaczyć?“

— Pójdźmy razem, rzekła Magdalena.

Ale wdowa po Papposie spostrzegła, że dziewczyna zawahała się z odpowiedzią. Zrozumiała. Nawet służebnica wstydziła się znaleźć w jej towarzystwie wśród ludzi.

Jakże wielką jest pogarda, którą wzbudza!

„Idź sama, rzekła z goryczą. Idź, idź...“

Przechodziły ostatnie zapóźnione gromadki. Byli to bogacze, kapłani, faryzeusze w długich hyacyntem haftowanych szatach, z oczyma utkwionymi w ziemię. Szli powoli, jak gdyby niechętnie dążąc za radosną rzeszą.

Magdalena poznała faryzeusza Szymona, swego sąsiada, przyjaciela Kajfasza, wielkiego Katni z białą laską w ręku, Rumana, przedsiębiorcę, który miał przebudowywać i powiększać pałac Heroda w Tyberyadzie.

Potem, w znacznem od tłumu oddaleniu, wlokła się z trudem garstka trędowatych. Owinięci byli szczelnie w swoje całuny, jak zmarli.

Nakoniec zaległa cisza samotności: Magdalena ujrzała znowu po drugiej stronie drogi te same drzewa oliwne i te same cyprysy, na które patrzyła co dnia, lecz które w owej chwi-

li, po przejściu żywego potoku, wydawały jej się tak smutne i opuszczone, jak jej dusza...

Tak więc wszyscy, ubodzy i bogaci, wszyscy, nawet trędowaci mogą słyszeć proroka: ona tylko jedna jest odrzucona, odepchnięta przez wszystkich. Sama jej obecność jest zgorszeniem.

Urażona w swej dumie stłumiła łzy. — To oszust, podobnie jak inni, mówiła, myśląc o kapłanach Ormuzda, Cerery, o mistagogach aleksandryjskich, z którymi usiłowała porównać Jezusa.

Ale w głębi jej świadomości głos jakiś przeczył temu. Jezus przemawiał w biały dzień, do wszystkich: nie nakazywał dziwacznych praktyk tym, co chcieli poznać jego naukę. Wszyscy przyznawali jednogłośnie, że jest niezmiernie dobry, miłosierny dla wszystkich, a zwłaszcza dla słabych i nieszczęśliwych.

Nie szukał bogactw ani chwały ludzkiej...

Pragnienie ujrzenia go i usłyszenia wzbierało w niej coraz gwałtowniej.

Aby nie być poznaną przywdziała zwyczajną szatę, okryła głowę grubą zasłoną, jaką nosiły kobiety z ludu i pobiegła za Jezusem.

Po śladach licznych stóp, wyciśniętych na piasku, łatwo rozpoznała drogę, którą iść należało; zresztą z oddali dobiegał do niej jeszcze szum rozkołysanej fali ludzkiej.

Wkrótce na stoku wzgórza ujrzała tych, których szukała. Nie zwracając niczyjej uwagi przedostała się aż do stóp drzewa oliwnego, skąd mogła wreszcie zobaczyć Jezusa.

Stał na niewielkiej wyniosłości, z rękoma złożonemi na piersiach. Włosy ocieniały oblicze, w którem wszystko tchnęło pogodą i mi-

łością. Mówił bez wysiłku, wolno i spokojnie, a wszyscy słyszeli jego słowa.

Brunatna szata spływała mu w fałdach aż do stóp; od całej postaci bił majestat nadprzyrodzony.

Nagle ożywił się: wyciągniętą ręką zdawał się wskazywać królestwo, dokąd każdy wnijść może, zwłaszcza ubodzy i pokorni. Lecz serca wybranych czyste być winny: cielesna dusza nie może oglądać Boga.

Dla zdobycia tego królestwa niebieskiego wszystko poświęcić należy. „Ktokolwiek je posiadł, posiada wszystko; kto go nie zdobył,— wszystko utracił.

„Najmniejszy grzech odeń oddala...“

Oblicze Jezusa przemieniło się wówczas, jakgdyby rozświecone wewnętrznym płomieniem gniewu.

„Biada tym, mówił, którzy odwodzą braci swych od drogi do nieba: lepiej, iżby się byli nie rodzili, lepiej, by zawieszono im kamień młyński u szyi i zatopiono ich w głębokościach morskich“.

W owej chwili Jezus nie patrzył na Magdalenę, ale jej się wydało, że mówił do niej tylko. Niewątpliwie wiedział, że się tu znajduje.

Czyż nie obróci się ku niej nagle i nie wyda jej na pastwę tłumu?

Żałowała, że podeszła tak blizko.

Lecz Jezus złagodniał. Począł mówić o żalu, który przemienia Boga sprawiedliwości w Ojca dobrego i pełnego litości.

„Pasterz jeden miał sto owiec, a zabłądziła się jedna z nich na puszczy. Dobry pasterz opuścił dziewięćdziesiąt dziewięć, co były przy nim, a poszedł szukać onej, która zabłądziła“

„A znalazłszy ją włożył na ramiona, by oszczędzić jej zmęczenia.

Więcej w niebie radości z jednego nawróconego grzesznika, niż ze stu sprawiedliwych".

Słowa te przenikały dziwną błogością serce Magdaleny. Nie słyszała nigdy nic podobnego. Padały one na jej duszę jak ożywcza rosa na więdnące z żaru kwiaty.

Całe jej jestestwo zadrżało radośnie przeczuciem nowego życia, czystego i szczęśliwego.

Ten więc mówił do wszystkich, nawet do niej! Nikt nie jest odrzucony!

I ona też ma prawo dążyć do królestwa Bożego!

Doznała olśnienia: uczuła potrzebę dotknięcia pnia drzewa oliwnego, które ją osłaniało, by się przekonać, że nie śni, że nie jest igraszką złudzenia.

Podniosła oczy.

Orły z Libanu zataczały w powietrzu szerokie kręgi.

Spojrzała ku wschodowi. Jezioro Tyberyady rozpościerało się taflą płynnego srebra na dnie ogromnego kosza krajobrazów o przymglonych barwach.

Tajemna melodya dźwięczała w duszy grzesznicy i tłumiła jej niepokój.

W sercu jej drgały dziwne jakieś głosy, przed oczyma duszy majaczyła zjawa odrodzenia dalekiego jeszcze, lecz możliwego do osiągnięcia.

Stąpała jeszcze wśród mroków: lecz na widnokręgu jej życia wstawała jutrzenka nadziei.

Jezus mówił.

Dokoła niego wieśniacy z Galilei trzymali jeszcze w dłoniach narzędzia pracy, wsparci na nich, słuchali.

Uśmiechali się, gdy Jezus mówił: „Błogosławieni cisi i pokornego serca, albowiem ich jest królestwo niebieskie".

Grzesznica widziała również żebraków, chromych i paralityków, którzy prostowali się, słysząc słowa: „Błogosławieni, którzy cierpią, albowiem oni będą pocieszeni!" Promień szczęścia zapalał się w ich źrenicach, przygasłych od cierpień, i od boleśniejszego od nich opuszczenia.

Spojrzała na gromadkę dziewic o jasnych obliczach. Te widziały pewno niebo rozwarte nad swemi głowami, gdy Jezus mówił:

„Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają".

Jej własne występki zaciężyły jej bardziej jeszcze. Ale w tej samej chwili Jezus wejrzał na nią z dobrocią.

„Nie przyszedłem wzywać sprawiedliwych, lecz grzeszników".

Opodal niej Faryzeusze szemrali: „Gardzi prawem, mówili. To bluźnierca, uwodziciel ludu. Sprzeciwia się nauce Mojżesza."

Magdalena obróciła się ku nim, oburzona.

Kajfasz i otaczający go kapłani poznali ją.

„Patrzcie!" — rzekł jeden z Faryzeuszów, wskazując ją palcem.—I ta również przyszła słuchać go i wielbić.

„Ona właśnie należy do tych, co znaleźć się winni w jego orszaku".

XXIV.

Stans retro secus pedes ejus. (Luc. VII, 38). Stanąwszy z tyłu, u nóg jego.

Szymon Ben Suiran, sąsiad Magdaleny, mimo swej faryzeuszowskiej pychy, nie okazywał jawnogrzesznicy takiej pogardy, jaką żywili względem niej jego współwyznawcy.

Kilkakrotnie wdowa po Papposie w sprawach finansowych wyświadczyła mu była przysługę. Obecnie nawet był jej winien znaczną sumę pieniędzy, pożyczoną na kupno pola, które zapragnął nabyć.

Choć nie obcował z nią nigdy publicznie, jednak prywatnie widywał dość często, zapraszając nawet niekiedy piękną sąsiadkę do swego stołu.

Kazania Jezusa zadziwiły Szymona. Niewątpliwie prorok ten był posłany od Boga, skoro jak Eliasz i Elizeusz otrzymał dar czynienia cudów. Jednakże, według faryzeusza, nie potrafił wyzyskać należycie potężnych przywilejów, których mu udzielił Jehowa.

Najwidoczniej odzywał się w nim głos gminnego pochodzenia: miast zachować naukę swą dla ludzi oświeconych, lubił otaczać się ubogimi i prostaczkami. Tym nadewszystko udzielał łaski cudownych uzdrowień.

Czyż nie poniżał w ten sposób siebie i swego dzieła?

Mimo to sława nowego proroka szerzyła się coraz bardziej. Zbierały się dokoła niego, rzesze coraz liczniejsze.

Jedną ze słabostek Faryzeusza Szymona było przyjmowanie u siebie osobistości, o któ-

rych mówiono, aby módz się szczycić następnie swymi rozległymi stosunkami.

To też postanowił zaprosić Jezusa nie tyle przez podziw dla niego, ile raczej dla zaspokojenia swojej ciekawości i pychy.

Miał zamiar również skorzystać ze sposobności, by udzielić prorokowi kilku dobrych rad.

Ale ponieważ uważał, że należy do znacznie wyższego stanu, niż Jezus, postanowił przyjąć go skromnie, bez żadnych ceremonii i przygotowań. Poprosił na ucztę tylko Thussiasza, brata swego, który był kupcem, i nieznaczną liczbę przyjaciół.

Magdalena dowiedziała się o projekcie Szymona.

Natychmiast oświadczyła swemu sąsiadowi żywe pragnienie zbliżenia się do Jezusa.

Faryzeusz odczuł odrazu całą niestosowność jej życzenia; nie mógł jednak zrażać sobie kobiety, której potrzebował.

Pocieszał się zresztą tem, że wadą Jezusa jest właśnie jednakowe postępowanie z dobrymi i złymi, ze sprawiedliwymi i grzesznikami; nawiedza zarówno jednych, jak drugich: nie może więc czuć się obrażonym obecnością Magdaleny.

W każdymbądź razie dla zachowania pozorów i poszanowania obyczajów żydowskich, które wzbraniały niewiastom zasiadać do biesiady z mężczyznami, postanowiono, że Magdalena przybędzie dopiero pod koniec uczty wraz z innymi ciekawymi.

Według przyjętego zwyczaju odwiedzano się wzajemnie bez zaproszenia podczas uczt,— nie dla wzięcia w nich udziału, lecz jedynie dla ujrzenia znakomitych gości.

Jezus przybył wraz z dwoma uczniami swymi, Jakóbem i Janem.

Zaproszeni w liczbie siedmiu, pozostawiwszy sandały u drzwi domu, dopełnili ablucyi i spoczęli na łożach dokoła nizkiego stołu, którego jedna strona była niezajęta dla pozostawienia swobodnego przejścia służbie.

Szymon nie podał sam Jezusowi wody do ablucyi, jak to miał we zwyczaju czynić dla uczczenia znakomitszych osób; nie uściskał również swego gościa i nie skropił stołu ani biesiadników żadnym cennym olejkiem. Chciał w ten sposób okazać prorokowi, że przyjmuje go nie jak wybitną osobistość, lecz jak równego sobie, a nawet niższego.

Mimo to przez grzeczność poprosił Jezusa, by pobłogosławił stół i odmówił przepisane modlitwy:

„Pomnij, Izraelu, na Pana Boga twego, który cię wywiódł z ziemi Egipskiej i żywił manną na puszczy..."

Służba krążyć wkrótce poczęła, stawiając obok małych płaskich chlebów gotowane mięsiwa na rozgrzanych blachach.

W gąsiorach ze szkła sydońskiego siekany kmin pływał w sosie z oliwy i z miodu.

Biesiadnicy łamali płaskie chleby i napół złożonymi kawałkami brali kawałki mięsa i nieśli je do ust.

Owinięci w fałdziste tuniki jedli, wsparci na lewym łokciu; ramię prawe było obnażone, podobnie jak nogi, spoczywające na leżących w pewnej odległości od ściany poduszkach.

Ciekawi, którzy się schodzili, zasiadali na stołkach, by widzieć i słyszeć wszystko; nie brali jednak udziału w rozmowie.

Przez otwarte na rozcież *arubah'y* widać było jezioro, którego migotliwy blask raził oczy. Zwisające gałęzie figowców i lentyszków ocieniały drzwi, wycinając je nierówno, jak wnijście do pieczary.

Szymon jadł mało: bacznem spojrzeniem śledził sprawność służby.

Weselszego odeń usposobienia, Thussiasz, brat jego mówił nieustannie. Jego zielony turban był w ciągłym ruchu, podobnie jak prawa ręka, której gesty podkreślały każde niemal słowo.

Podróżował wiele, zwłaszcza po Syryi i Grecyi, i opowiadał swoje przygody.

Zachowanie Jezusa pełne życzliwości dla wszystkich, nacechowane było powściągliwością i zadumą.

Od samego rana Magdalena udała się sama do komnaty na górze.

Dokoła niej rozłożone były szaty, wstęgi przeróżnych barw, chlamidy z jedwabiu i bisioru, welony z Cos, kosztowne pasy, o wijących się po purpurowej osnowie srebrnych i złotych nitkach.

Na stolikach, w głębi otwartych puzderek połyskiwały turkusy o świetniejszym błękicie, niż jezioro Kinereth o poranku, beryle, które zdawały się patrzeć jak źrenice, dyamanty o wiecznie drgającym blasku, jak światło gwiazd podczas pogodnej nocy.

Nieskończenie subtelne wonie wydobywały się z wytwornych alabastrowych naczyń o długich szyjkach, niedość mocno zamkniętych korą cedru lub dębu korkowego, nasyconą cennymi olejkami.

Kilkakrotnie Magdalena upinała swe królewskie sploty, przedmiot zazdrości wszystkich

kobiet: kilkakrotnie zmieniała szatę i klejnoty.

Niecierpliwą dłonią rozrzucała mozolne upięcie włosów, przymierzała inne stroje, inne szale, pasy; potem przejrzawszy się w zwierciadle, ciskała je z niechęcią. Zbliżała się godzina, w której miała ujrzeć Jezusa.

Nagle, znieruchomiała: oczy jej padły na nieszczęsną szatę, splamioną podczas uczty w Macheroncie, spoczywającą w skrzyni, tę szatę, której się lękała, którą uważała za przyczynę swych cierpień i której, przysięgła, że nie przywdzieje więcej. Tkanina mieniła się w słońcu: nie miała wyraźnej barwy, a raczej lśniła barwy wszystkiemi, jak tęczowe piersi gołębicy.

Kurtyzana ujrzała znowu oczyma wyobraźni straszną scenę. Wyraźnie widziała blade oblicze o oczach żyjących, otoczone spływającemi wokół, niby gałęzie wierzb płaczących, włosami, wśród których przewijały się drobne strumyki krwi.

Ujrzała znów Salome, która, odgrywając wyuczoną rolę krwawej komedyi, mdlała w objęciach Heroda.

Magdalena wydała okrzyk rozpaczy i padła na kamienną posadzkę.

Modliła się długo: upokorzyła się przed tem bóstwem nieznanem i dalekiem, które ją ścigało i dręczyło nowymi wciąż wyrzutami.

Błagała o zmiłowanie, szepcząc bezładnie modlitwy, których nauczyła się w Persyi, w Grecyi, w Egipcie: umysł jej błąkał się wśród tych rozlicznych wierzeń. czepiając się wszystkiego, co mówiło o rzeczach boskich.

Potem przed jej oczyma zjawił się obraz Jezusa. Ujrzała wzrok jego, tak dobry, który przenikał jej duszę, zlewając na nią wraz z ża-

lem za grzech,—obfity zdrój przebaczenia: ten wzrok budził w niej pragnienie pokuty i zadośćuczynienia.

Tak, na tej drodze szukać ma zbawienia...

Powstawszy, przywdziała szatę fatalną, okryła zasłoną rozpuszczone włosy i wyszła spiesznie z domu.

Na ulicy ogarnął ją znowu lęk. Wahała się. Co powie Jezusowi?

Co uczyni dla odpokutowania za grzechy.

Opanowała ją żądza złożenia jakiejś ofiary, symbolu uczuć, które ogarnęły jej serce.

Wróciła, wzięła słoik, zawierający najcenniejszy ze wszystkich wonnych olejków.

Dała zań sumę olbrzymią kupcom, przybyłym z Indyi i strzegła go zazdrośnie, by uczcić znakomitego jakiegoś gościa, króla może, niezwykłej, uroczystej okoliczności.

Skoro we drzwiach, któremi weszli byli biesiadnicy, ukazała się kurtyzana, wśród zebranych zapanowało zdumienie.

Thussiasz, który coś mówił, zamilkł. Oczy wszystkich zwróciły się na Magdalenę.

Szymon żałował, że jej przyjść pozwolił.

Służebnicy, oburzeni, czekali, by pan ich wydał im rozkaz wypędzenia przybyłej.

Ale Jezus patrzył na nią dobrotliwie. Zbliżyła się do biesiadników i przeszła pod ścianą za stołem.

Znalazłszy się u stóp Zbawiciela, padła na kolana i wybuchnęła płaczem.

Ból jej był szczery, że wszystkie poruszył serca.

Nie mówiła nic: płakała tylko.

Woń unosząca się z rozbitego alabastrowego naczyńka, woń przenikliwa, tajemnicza,

nieznana, napełniła komnatę. Obmyte przedziwnym płynem stopy Jezusa, Magdalena wycierała włosami swemi.

Ale w pojęciu Szymona, Jezus wydał wyrok na siebie. Gdyby istotnie był prorokiem, wiedziałby, kim jest ta niewiasta.

Wówczas Jezus, odpowiadając na ukrytą myśl jego, wyrzekł zwolna słowa:

„Szymonie, mam ci coś powiedzieć'.,

— Mistrzu, powiedz, odparł faryzeusz.

— Dwu dłużników miał jeden lichwiarz: jeden dłużen był pięćset groszy, a drugi pięćdziesiąt.

„A gdy nie mieli czem płacić, darował im obu. Któryż tedy więcej go miłuje?"

— Mniemam, iż ten, któremu więcej darował.

— Dobrześ rozsądził, rzekł Jezus.

Potem obrócił się do grzesznicy, która wciąż płakała, przejęta skruchą.

„Widzisz tę niewiastę, rzekł Szymonowi. Wszedłem do domu twego, nie dałeś wody na nogi moje; a ta łzami polała nogi moje i włosami swemi otarła.

Nie dałeś mi pocałowania: a ta, odkąd weszła, nie przestała całować nóg moich.

„Nie pomazałeś oliwą głowy mojej: a ta olejkiem nogi moje pomazała.

„Przeto powiadam ci: odpuszczają się jej wiele grzechów, iż wielce umiłowała.

„A komu mniej odpuszczają, mniej miłuje".

A zwracając się do grzesznicy, rzekł:

„Odpuszczają się tobie wszystkie grzechy".

Biesiadnicy milczeli, drżąc, jakby wionęło na nich tchnienie Boskie; coś cudownego, nieznanego dotąd, działo się przed ich oczyma.

I poczęli mówić między sobą: „Któż jest ten, który grzechy odpuszcza?

Magdalena stała przed Jezusem, ze spuszczonemi oczyma. Rozrzucone włosy zakryły prawie zupełnie jej twarz, rozjaśnioną blaskiem radości, jak poranną zorzą. „Idź w pokoju, rzekł do niej Jezus. Wiara twoja zbawiła cię..

Grzesznica w powrotnej drodze do domu, nie słyszała, że przechodnie wyśmiewali się z niej, nie widziała dzieci, schylających się po kamienie, któremi chciały w nią godzić. Miała świadomość, że zasługuje na pogardę, ale wszystko przyjmowała z poddaniem. Jezus jej nie odrzucił; Jezus jej nie przeklął.

Gdy Magdalena znalazła się w swoim *alyiah* padła twarzą na ziemię: pragnęła pogrążyć się w wielkiej tajemnicy pokoju i słodyczy, która zalewała jej duszę.

Po niejakim czasie powstała: dokoła niej w komnacie leżały porozrzucane stroje i klejnoty. Chciałaby była módz je zniszczyć jednem spojrzeniem, gdyż wszystko to przywodziło jej na pamięć haniebną przeszłość.

Oczy jej spoczęły na jedwabnej szacie, splamionej niegdyś na piersiach krwią, której wiedza ludzka zmyć nie zdołała. Na lekkiej tkaninie widniały ledwie dostrzegalne ślady łez, które znikały powoli: krwawej plamy nie było.

Łzy to ją zmyły zapewne.

XXV.

Pharisaei autem, et leges periti, spreverunt. (Luc. VII, 30).

Ale Faryzeuszowie i biegli w zakonie wzgardzili.

Pod platanami, które napełniały cieniem ogród Szymona Ben Suiran, wrzał spór ożywiony.

W ciągu kilku chwil wieść o postępku Magdaleny i o zachowaniu się wobec niej Jezusa przeniknęła na zewnątrz.

Całe miasteczko było poruszone. Rabini, uczniowie Szammai i Zaddoka, kapłani, zażywający wczasów, skrybowie, którzy nawykli do przepisywania Pisma w cieniu murów, zbogaceni i próżnujący handlarze, wszyscy, spragnieni nowin, zwłaszcza religijnych, wszyscy, uważający się za znawców w tłomaczeniu Zakonu Mojżeszowego, — przybiegli spiesznie do Szymona, by od niego dowiedzieć się dokładnie o tem, co zaszło.

Na północ od Magdali, wśród laurów i drzew cytrynowych, Kajfasz posiadał willę, gdzie przebywał właśnie w tym upalnym miesiącu, Elul.

Przybył jeden z pierwszych z oczyma jeszcze zapuchniętemi po codziennej sieście.

Tym razem fakt był oczywisty: mniemany prorok nie zachowuje przepisów: gardzi wszelkiem prawem Boskiem i ludzkiem, jest zuchwałym bluźniercą.

Należało czemprędzej wystąpić przeciwko niemu z całą surowością.

„Gdyby znajdował się jeszcze tutaj, zawołał Arcykapłan, kazałbym go ubiczować, jak na to pozwala Zakon.

— Ponieważ przypisuje sobie władzę odpuszczania grzechów, rzekł poważnie Katni, wkracza w nasze prawa kapłańskie; nam bowiem jedynie Zakon przyznaję władzę rozstrzygania ważnej sprawy czystości lub nieczystości. Thussiasz, którego te wszystkie spory niewiele interesowały, chciał sprowadzić rozmowę na podróże, które odbywał. Mówił o miastach grec-

kich, o świątyniach, które był zwiedzał, o różnicach religii.

Nikt go nie słuchał.

„Jedna jest tylko religia, jak jeden jest naród Boży, mówił faryzeusz, Ruman. Poza nami, — nic!

Nerwowym ruchem cisnął na ziemię garść liści, zerwanych przed chwilą z drzewa.

„Zbłądziłeś, przyjmując oszusta u swego stołu, mówił Kajfasz do Szymona; w ten sposób udzieliłeś mu poparcia i zachęciłeś go poniekąd do postępowania po obranej przezeń niebezpiecznej drodze.

— Ugościłem go bardzo skromnie, tłomaczył się Szymon, nie uczciłem go wcale. Sam spostrzegł, że nie mam dlań wiele szacunku. Myślałem, że uczyni cud jakiś!

— Piękne są te jego cuda! rzekł Kajfasz szyderczo. Jesteś zadowolony!

„Pospólstwo może dać mu się uwieść; ale człowiek światły, jak ty, Szymonie, winien być rozważniejszy“.

— W Grecyi, rzekł Thussiasz, ja sam widziałem cuda nielada! W moich oczach, tak, w moich oczach, pewien kapłan przeciął brzytwą kamień granitowy; inny znów odczytał zapieczętowane pismo, nie otwierając go, inny jeszcze...

— Ale nie widziałeś, przerwał zniecierpliwiony Katni, nie mogłeś widzieć, by zwykły śmiertelnik przypisywał sobie prawo odpuszczania grzechów; grzech bowiem nie jest wykroczeniem przeciwko ludziom, lecz przeciwko Bogu.

— Gdyby istotnie był prorokiem, ciągnął dalej Szymon, byłby wiedział, kto jest owa nie-

wiasta. Dla mnie jest to przeciwko niemu dowód zupełnie wystarczający: on nie wszystko wie.

— Ja sam, rzekł, Kajfasz, prostując się, ja, Arcykapłan, nie odważyłbym się powiedzieć nikomu: „Odpuszają ci się grzechy". A oto człowiek z gminu, człowiek bez domu, bez rodziny!...

— Mówi publicznie z jawnogrzesznicą! zawołano zewsząd.

Ci, co byli najbardziej zgorszeni, pluli na ziemię.

„Rozstrzyga wszystkie sprawy, rzekł stary Elieris „skrzeczącym głosem, a nie badał ani Dostai, ani Zaddoka ani Abtaliona, ani Meira, ani żadnego ze znakomitych doktorów, nad którymi ja rozmyślam co dnia.

— Musiałbym widzieć te jego mniemane cuda, aby sąd wydać o nich, dowodził Arcykapłan, idąc za swą myślą przewodnią. Nie ośmieli się nigdy uczynić cudu w mojej obecności. Niechaj spróbuje!

— Ja zaś widziałem jeden z jego cudów, rzekł przedsiębiorca, który budował podówczas dwie wille nad jeziorem. Uzdrowił robotnika mego, kamieniarza, który był zaniewidział, a który obecnie pracuje pod mymi rozkazami.

— Wiem, wtrącił Katni, wiem, że uzdrawia. W Naim wskrzesił nawet syna pewnej wdowy. Ale czegóż to dowodzi?

— Dowodziłoby to co najwyżej, rzekł poważnie Kajfasz, że ma stosunki ze złymi duchami.

— Tak, oczywiście! potwierdził Elieris.

— Jeśli wypędza szatana z opętanych, rzekł Kajfasz, czyni to w imię Belzebuba, księcia złych duchów. Tem bardziej jest przez to

godzien potępienia. Wszystkie jego czyny stwierdzają niezbicie winę świętokradzkiej bezbożności".

Potem, rzuciwszy okiem na setnika rzymskiego, który nadszedł był właśnie, dodał:

„Zakłóca spokój, gromadzi tłumy. Wkrótce pójdą za nim, jak za Judaszem Gaulonitą. A jednak łatwiej stłumić ogień w zarodku, niż wówczas, gdy pożar ogarnie budowle".

Setnik, udając obojętność, odparł.

— Wszystkie te sprawy religijne was tylko, żydów, dotyczą. Co zaś do porządku i spokoju, — to już nasza, rzymska rzecz. Nie obawiajcie się o to.

— Patrzcie, zawołał nagle Szymon, wyciągając rękę w kierunku jeziora, zdaje mi się, że jest tam, w tej łodzi, co płynie w stronę Kafarnaum.

— Niech sobie jedzie! rzekł Arcykapłan. Potrafimy go odnaleźć.

Magdalena odmieniła życie.

Ponieważ dawała hojne jałmużny ubogim i przyjmowała z dobrocią i słodkiem poddaniem upokorzenia i obelgi, poczęto jej okazywać mniejszą pogardę.

Nieszczęśliwi, którym przychodziła z pomocą, stawali już w jej obronie; dzieci przestały przed nią uciekać.

Dnia jednego udzieliła pomocy jakiejś trędowatej, która upadła przy drodze, i nie zważając na niebezpieczeństwo zarażenia się trądem, odprowadziła nieszczęśliwą aż do jej chaty. Niektórzy chwalili ten miłosierny uczynek, lecz wielu potępiło ją, gdyż dotykanie trędowatych sprzeciwiało się literze Zakonu.

Pracowała teraz ze swemi służebnicami,

tkała, szyła, przędła wełnę, wybierając zawsze dla siebie robotę najcięższą.

Ona, co niegdyś bywała wymagającą, a nawet surową dla domowników, obecnie miała dla każdego z nich tylko miłe, dobre słowa.

Ale tęskniła do Jezusa. Poszedł daleko, w stronę Sydonu i Tyru.

Płakała potajemnie, gdyż pozostawiona bez pociechy, cierpiała w swem osamotnieniu. Niekiedy powrotną falą zalewało ją pragnienie nawrotu do dawnego życia: musiała staczać z sobą ciężkie walki wewnętrzne.

Nie znała przyczyny i celu rzeczy: nie wiedziała nawet, czemu przypisać obecny stan swojej duszy. Jezus wyrwał ją był z poniżenia hańby, ale jej nie oświecił: żyła jeszcze wśród niepewności. Wskazał jej drogi, wiodące ku szczytom: nie wiedziała, jak na nie wstąpić.

Całymi dniami roześmiane, rozkoszne obrazy napełniały jeszcze jej umysł: dawna dusza wracała do niej; potem, w chwili gdy już uledz miała pokusom, myślała o Jezusie.

Myśl, że to, co uczyni, nie podoba mu się, powstrzymywała ją zawsze nad brzegiem przepaści.

Gdzież przebywa prorok? Czemu odszedł?

Mówiła o nim nieustannie i pytała oń tych, co go znali.

Pewnego dnia dowiedziała się, że matka Jezusa mieszka w Kafarnaum. Zapragnęła ujrzeć ją.

Wyszła z domu jednego ranka miesiąca Adar przed upałem, o świcie, i szła wybrzeżem wśród wilgotnej woni. Ostatnie mgły nocne przeobrażały się w obłoki, które unosiły się zwolna w górę, ku czystemu niebu, i wkrótce

ujrzała ich cienie, przemykające lekko po falach, wzdymających się miarowym oddechem. Myślała, że niegdyś napróżno szukała Jezusa na tem jeziorze. A teraz, gdy go odnalazła, czyżby znowu utracić go miała?

Droga zwężać się poczęła wkrótce, wijąc się między brzegiem morskim i domostwami coraz liczniejszemi w okolicy Kafarnaum. Na żywym błękicie nieba w chłodzie poranku, platany i sykomory odcinały się misternym haftem wiośnianego pąkowia.

„Matka Jezusa, myślała Magdalena, podobna jest pewno do swego syna: przyjmie mnie łaskawie, mówić mi o nim będzie i powie mi, gdzie się obecnie znajduje".

I szła jak gdyby ku niewątpliwej radości.

Weszła do miasta w porze, gdy ludzie udają się do robót w polu. Zmierzali ku winnicom, jedząc oliwki i nucąc wesołe piosenki.

Pędzili przed sobą osły, objuczone wielkimi pustymi koszami; za nimi szły kobiety z zakrzywionymi nożami do ścinania gron winnych.

Wozy, naładowane drzewem i ciągnione przez woły, wjeżdżały do miasta. Kupcy rozpościerali ponad swemi wystawami barwne płócienne płachty. Dzieci płakały we wnętrzach mieszkań; inne, ledwie okryte, popychały się już przede drzwiami lub też przez pszenne słomki dmuchały w konwie, pełne wody.

Młoda kobieta drgnęła pod bezczelnem spojrzeniem żołdaka rzymskiego, który przeszedł obok niej.

„Na Bachusa, rzekł, nie widziałem jeszcze nigdy"...

Ale Magdalena nie dosłyszała końca zdania.

Dowiedziała się, że matka Jezusa mieszka

w dzielnicy, położonej nad brzegiem jeziora u matki rybaka zwanego Szymonem, synem Jony.

Jakiś stary paralityk, którego wyniesiono na ulicę, by mógł cieszyć się słońcem i życiem wrzącem dokoła, udzielił jej ostatecznych objaśnień, wskazując małą lepiankę z dziedzińcem, gdzie na wbitych w ziemię słupkach były poprzekładane poprzeczne żerdzie; tutaj pewno suszyły się zazwyczaj sieci rybaków.

Magdalena weszła swobodnie przez otwarte drzwi i wymówiła słowa pozdrowienia:

„Niechaj błogosławieństwo Pana będzie z wami!"

Jakaś stara niewiasta, siedząca na macie, przędła wełnę.

Nagie ściany były bielone wapnem. Między belkami, podtrzymującemi dach, widniały zeschnięte i zwisające liście ułożonej poprzecznie trzciny.

Staruszka odpowiedziała na pozdrowienie Magdaleny i oznajmiła jej, że matka Jezusa poszła zaczerpnąć wody ze źródła.

Poprosiwszy ją, by zaczekała, rzekła do nieznajomej:—Mój syn był rybakiem; lecz poszedł za Jezusem, który mnie był udrowił z ciężkiej niemocy.

— I mnie uzdrowił także, rzekła Magdalena, ale nie odjął mi wszystkiego cierpienia.

Wkrótce niewiasta młoda jeszcze, niosąca na głowie amforę, pochyliła się, wchodząc, na progu,

Wyprostowała się na chwilę zanim postawiła gliniany dzban we wnęce arubah'u, w miejscu przewiewnem, by woda zachowała świeżość.

Potem, zwracając się do Magdaleny, rzekła do niej z dobrocią.

„Czekałam na ciebie; Jezus mówił mi o tobie".

Dawna grzesznica patrzyła z zachwytem na tę niewiastę, której oblicze tchnęło majestatem i słodyczą nadludzką.

„Spędzimy razem dzień dzisiejszy, mówiła dalej matka Jezusa: potrzeba nam było siebie wzajemnie".

Magdalena nie pojęła znaczenia tych słów.

„Ty możesz dla mnie bardzo wiele; ale ja, w czemże pomódz ci zdołam?

— Trzeba mi dusz, żądnych światła i serc pociechy pragnących, odrzekła matka Jezusa. Gdybyś nie była udała się do mnie, ja byłabym poszła do ciebie".

W ciągu długich godzin, siedząc w cieniu u progu małego domku w Kafarnaum, Marya, matka Jezusa i dawna jawnogrzesznica z Magdali, mówiły o rzeczach światu nieznanych.

Jezus nadszedł pod wieczór.

Magdalena padła mu do nóg.

Powiedział jej:

„Powróciłem zdaleka dla ciebie, wiedząc, iż mnie szukasz. Ale miałaś matkę moją, która stanie się twoją matką.

Przyszedłem dla ciebie, powtórzył Jezus, patrząc na Magdalenę, która powstała; *gdyż w tobie miłuję wszystkie zbłąkane dusze, które chcę do prawdziwego żywota powołać.*

Niedość ci jeszcze wyświadczyłem dobra, byś mnie kochała tak, jak pragnę być ukochanym; lecz niezadługo ujrzysz, jak wielką jest miłość, której niemasz granic.

Wskażę ci drogę, którą pójść winnaś. Ciężka jest ona i usłana cierniem; ale tą drogą ja przed tobą iść będę.

Dałem ci nową duszę: chcę ci dać brata i siostrę, którzy czekają na cię w Betanii, twoim kraju rodzinnym.

Wiele tam będzie radości, gdy ujrzą cię wśród siebie: albowiem mieli siostrę swoją za straconą, a odnajdą ją: mieli cię za umarłą, a oto powrócisz żywa w ich progi".

XXVII.

Venit Juda Iscariotes. (Marc. XIV 43).
Przyszedł Judasz Iskaryoth.

Nazajutrz, gdy Magdalena wybierała się w drogę do Betanii, ujrzała wchodzącego do swego domu człowieka, w odzieniu wędrownego kupca z Sydonu, niosącego na plecach zwój materyi i koronek syryjskich, nabywanych chętnie za drogie pieniądze przez kobiety Galilejskie.

Poznała Judasza, w którego domu mieszkała podczas pobytu swego w Aleksandryi.

Byłaby wolała nie widzieć go, zwłaszcza w obecnych okolicznościach. Zgodziła się wszakże, by go wysłuchać.

Judasz opowiedział jej, że kapłani egipscy z jej przyczyny stawiali mu mnóstwo trudności. Zmuszony do opuszczenia Aleksandryi, sprzedał, jak mówił, za nizką cenę swój dom i towary.

A potem zaszły inne niepomyślne wydarzenia... Jednem słowem stracił wiele pieniędzy. „Ale, dodał, nie skarżę się bynajmniej; przez ciebie to bowiem popadłem w niedolę, a ta myśl jest mi w moich strapieniach wielką pociechą".

Judasz, przedstawiając fakty w ten sposób, mijał się całkowicie z prawdą. W istocie opuścił Aleksandryę z własnej woli, nie zmuszany do tego przez nikogo. Był zawsze jeszcze bogatym: w dziedzińcu domu Magdaleny pozostawił dwa osły, objuczone należącymi doń cennymi towarami. Jeśli stał się kupcem wędrownym, to jedynie dla tego, by odnaleźć Magdalenę, bogacąc się przytem jeszcze bardziej.

Wdowa po Papposie, wierząc w szczerość jego wynurzeń, przyjęła go uprzejmie. Przyrzekła, że wspomoże go własnym majątkiem dla wynagrodzenia mu strat, poniesionych z jej przyczyny.

Judasz podziękował jej, dając zarazem do poznania, że oczekiwał czegoś więcej; bowiem uczucia jego nie uległy zmianie.

Magdalena nigdy nie miała skłonności do niego: w obecnej chwili uczuwała dla niego nieprzezwyciężoną odrazę. Mimo to odpowiedziała mu grzecznie, nie ukrywając, że ktoś inny zawładnął jej duszą.

Mówiła nawet o Jezusie z takim zachwytem dla jego dobroci, świętości, potęgi, że Judasz oświadczył chęć poznania nowego proroka.

„Będzie to łatwe, rzekła Magdalena. Jezus jest tak przystępny i tak łaskawy dla każdego! Nauka jego wzniesie twój umysł i serce twoje ponad wszystko, co ziemskie. Mówić ci będzie o nowem królestwie, które założył wśród ludzi...“

Judasz nie rozumiał.

Magdalena głosiła dalej chwałę Jezusa z takiem uniesieniem, iż spostrzegł, że złą obrał chwilę do mówienia o własnych zamiarach.

Zresztą, wjeżdżając do wspaniałego domu wdowy przekonał się, że używa ona ogromnego majątku, i że wskutek tego zdobycie jej nie będzie łatwem.

Udawał, że słucha z największem zajęciem tego, co mu opowiada o Jezusie: a gdy mu poradziła, by dla poznania proroka z Galilei przyłączył się do jego uczniów, pozornie dał się przekonać jej dowodzeniom.

„Później, myślał, za pośrednictwem proroka, zdobędę zapewne dostęp do serca bogatej wdowy.

W każdym bądź razie, jeżeli Jezus jest tak potężnym, że może zakładać królestwo, korzystnem będzie pójść za nim: gdyż rozdawać będzie godności tym, co z nim będą".

Kupiec udał się tedy do Kafarnaum, gdzie był Jezus.

Szczęśliwy, że odszukał Magdalenę, zdecydowany był na wszystko, byle dopiąć zamierzonego celu.

XXVIII.

Lazare, veni foras. (Joan. XI. 43).
Łazarzu, wynijdź z grobu.

Marya z Magdali mieszkała od kilku miesięcy w Betanii wraz z bratem swym i siostrą.

Holges, jej dawny towarzysz niewoli, pozostał nadal jako sługa w ich domu. Dzięki niemu mogła Magdalena odtworzyć sobie w pamięci dzieje całej przeszłości.

Radowała się szczęściem rodzinnego ogniska, ona, co dotąd rodziny była pozbawiona. Czystość tych nowych wrażeń otwierała przed nią świat uczuć, dotąd nieznanych.

Coraz czystszą stawała się jej dusza, dusza płomienna a burzliwa, dusza młoda, a jednak przedwcześnie zestarzała, dusza nieszczęsna, wrażliwa niegdyś jedynie na rozkosze, których próżność i znikomość odczuwała dziś w całej pełni.

Dnia jednego umarł Łazarz, brat jej.

Maryę ogarnął znowu ponury smutek, graniczący z rozpaczą.

Od czterech już dni muzykanci, grający na fletach, i płaczki napełniali jękiem, szlochem i żałosnymi dźwiękami dom, a Łazarz spoczywał w grobie.

Widziała ciągle oczyma duszy to sztywne martwe ciało, spowinięte w płótno, okryte białemi chusty; to był jej brat, którego znała tak krótko, a któremu za życia więcej przyczyniła smutku, niż radości.

Ale i ciało to nawet zniknęło.

Marya nie mogła uwierzyć, by ten obraz, który zachowała w pamięci miał być wszystkiem, co po zmarłym pozostało; myśl jej zatrzymywała się przerażona u wrót strasznej tajemnicy śmierci, nie mogąc jej przeniknąć.

W jej rozbudzonej wyobraźni przesuwały się obrazy jakiegoś istnienia poza grobem, jakiegoś życia na innych planetach... Lecz cóż jest pewnego w tych różnych wierzeniach ludów?... Nikt nie wrócił z dalekiej krainy cieniów, dokąd tchnienie śmierci unosi wszystkich, by oświecić jęczącą w niepewności ludzkość.

Jakżeby pragnęła zapytać Jezusa, usłyszeć Mistrza, dla którego wszystko było jasnem...

Szukała samotności, by przebywać bez przeszkody ze swemi myślami; niestety, musiała poddać się obyczajom żydowskim, które wyma-

gają, by do domu, nawiedzionego żałobą schodziły się liczne rzesze przyjaciół i znajomych pod pozorem niesienia pociechy rodzinie, tak jak gdyby najsłodszą pociechą nie było właśnie przestawanie w ciszy ze swoim bólem!

Marta wyszła była z kilkoma kobietami.

Marya pożegnała pozostałych gości i udała się na górę do alyiah'u, pragnąc pozostać samą.

Poczęła czytać psalmy Dawidowe, w których zbolała dusza znajduje zawsze rozwiązanie dręczących ją zagadnień.

Nagle usłyszała wołanie Marty. „Maryo! Mistrz przyszedł i wzywa cię".

Te słowa: „Mistrz przyszedł" wstrząsnęły dreszczem duszę Maryi.

Zeszła śpiesznie i pobiegła tam, skąd doszedł ją głos Marty.

Mężczyźni i niewiasty, którzy byli w domu, widząc ją przechodzącą poszli za nią, mówiąc: „Idzie do grobu płakać".

Marya była już u stóp Jezusa.

„Mistrzu, rzekła, gdybyś był tutaj, nie byłby umarł brat mój".

A Jezus, ujrzawszy u nóg swoich płaczącą tę, której dał był więcej, niż życie, rozrzewnił się i zasmucił.

I rzekł: „Gdzieżeście go położyli?"

„Panie, odpowiedzieli mu, pójdź, a oglądaj".

Grób był wykuty w skale opodal domu.

Wśród świeżo ściętych bluszczów, kamień, zamykający wnijście do pieczary, szarzał okrągłą plamą, przeciętą przez środek żelaznym drągiem, zatkniętym w dwa pierścienie wyrobione w skale.

Złote pszczoły rozchylały kielichy asfodeli na leżącem u stóp wzgórza nieuprawnem polu, gdyż zbliżała się wiosna.

Za nadejściem rzeszy, biała gołębica zerwała się z terpentynowca i uleciała ku górze Oliwnej.

Przyszedłszy do grobu, Jezus zapłakał.

„Oto jako go miłował!“ mówili żydzi.

Niektórzy szemrali: „Przywrócił niedawno wzrok ślepemu od urodzenia; czyliż nie mógł uczynić, żeby był ten nie umarł?“

— Odejmijcie kamień, rzekł Jezus.

— Panie, zawołała Marta, rozkład się rozpoczął, bo oto już czwarty dzień.

— Czyliżem ci nie powiedział, odparł Jezus, iż jeśli uwierzysz, oglądać będziesz chwałę Bożą?

Odjęli tedy kamień.

Ukazał się otwór, ziejący próżnią, czarny. Światło lękało się doń przeniknąć, gdyż jego ciemnia kryła śmierć w swem wnętrzu.

A Jezus, podniósłszy oczy w górę, rzekł.

„Ojcze, dziękuję tobie, żeś mnie wysłuchał.

„Jamci wiedział, że mnie zawsze wysłuchujesz“, alem rzekł dla ludu, który około stoi, aby wierzyli, iżeś ty mnie posłał.

To rzekłszy, zawołał głosem wielkim:

„Łazarzu, wynijdź z grobu“.

Oczy wszystkich, rozszerzone przerażeniem, uwięzły w ciemnym otworze pieczary.

I ujrzano białą postać, która powoli zarysowała się w głębi.

Zbliżała się ku wyjściu, jak gdyby niewidzialnemi niesiona rękami.

I wyszedł, który był umarł. Ręce i nogi miał jeszcze związane chustami, a całun okrywał oblicze jego.

„Rozwiążcie go, rzekł Zbawiciel, i puśćcie, aby szedł".

Wielu z żydów, którzy byli przyszli do Maryi i Marty, widząc, co uczynił Jezus, uwierzyli weń.

A to wzbudziło jeszcze bardziej gniew Faryzeuszów i biegłych w Zakonie.

XXIX.

Erant Pharisaei sedentes. (Luc. V. 17.)
Siedzieli Faryzeuszowie.

Na stokach góry Syonu, wprost Ophelu, arcykapłani zbudowali byli sobie wspaniały pałac.

Pośrodku, wielka komnata rozpościerała wokół swe granitowe żebrowania pod kopułą, pokrytą z wierzchu srebrnemi blachami. Pomiędzy rzeźbami gzemsów, na tarczach obrzeżonych purpurą, widniały teksty biblijne.

Pod tą kopułą zasiedli kołem członkowie sanhedrynu i otuleni w swe *simlah'y* o szerokiej frendzli słuchali Kajfasza.

Faryzeusze z oczyma utkwionymi w ziemię, ze złożonymi na kolanach rękoma, przybrali surowe, sztywne pozy.

Z łokciami, wspartymi na poręczach krzeseł z zielonego aksamitu, saduceusze z pod rękawów lamowanych złotem ukazywali wzorem kobiet barwione paznogcie. Brody bardziej z pośród nich zniewieściałych zaplecione były misterr' i ujęte w niedostrzegalne jedwabne siatki. Chłodzili się swymi szerokimi pasami i co chwila otwierali i wąchali małe naczyńka z wonnościami.

Dwaj stróże świątyni, zbrojni we włócznie, stali u drzwi; skrybowie, siedzący na ziemi, pośrodku sali i gotowi do pisania, nie spuszczali wzroku z arcykapłana.

„Zło uczyniło postępy, mówił zięć Annasza, i nasza to wina.

Z dniem każdym Jezus staje się bardziej zuchwałym Obecnie śmie w świątyni nawet stawiać nam czoło!

Nie wystarcza mu już nauczanie wieśniaków Galilejskich: przychodzi tutaj, by lżyć kapłanów i doktorów Zakonu.

Czy nie myślicie, że nadszedł czas, by położyć tamę jego zuchwalstwu i bezbożności?“

Kajfasz ożywiał się stopniowo? Wysoka tyara, wydłużająca bez miary jego wychudłą postać, chwiała się odrzucona na tył głowy, a całe ciało drżało pod fałdami obszernych szat kapłańskich, usianych drogimi kamieniami.

Blask oczu, gorejących nienawiścią, podnosiła jeszcze bladość jego żółciowej cery.

Obok niego stary Annasz, zawsze uważany przez żydów za arcykapłana potakiwał zięciowi, pochylając wielokrotnie brodę na piersi, na której widniały różnobarwne romby świętych *Urim* i *Thumim*.

Lecz zgromadzeni milczeli. Faryzeusze i saduceusze spoglądali na siebie wzajemnie, nie wiedząc, czy mają zgodzić się z tym sądem.

Po Annaszu i Kajfaszu najbardziej szanowanym w Sanhedrynie był Gamaliel, nabożny i uczony Gamaliel, jak go nazywano.

Ten, z oczyma utkwionymi w arubah, przez który sączyły się promienie słońca, zdawał się być pogrążony w zadumie. Słowa Kajfasza były dlań obojętne.

A jednak po Nassim czyli przewodniczącym, on to winien był przemówić.

Pozyskał to pierwszeństwo przed innymi sanhedrytami nie tyle ze względu na wiek, ile raczej dla cnoty swej i głębokiej znajomości Pisma.

Gdy Kajfasz przestał mówić, oczy wszystkich zwróciły się na Gamaliela.

Wreszcie czcigodny Rabbi powstał.

Postawa jego i spokój odbijały jaskrawo od roznamiętnienia arcykapłana.

„Słyszałem Jezusa, rzekł, i rozważałem jego naukę; sprawdziłem nawet kilka cudów, które uczynił. Waham się jeszcze i sądu o nim wydać nie mogę".

Gamaliel usiadł i zatonął znowu w wewnętrznych dociekaniach.

Kajfasz nie mógł pohamować oburzenia.

„Trzeba będzie zapewne wstrzymać się z orzeczeniem w tej sprawie do chwili, gdy słowa Galilejczyka wyrządzą niepowetowane szkody. Obowiązkiem sędziów jest sądzić".

Rahias, rodem z Joppy, zachęcany znakami, które dawał mu Kajfasz, powstał, by przemówić, patrząc dla dodania sobie odwagi w księgę Zakonu piastowaną przez *hazzana:*

„Codziennie gwałci prawo Mojżeszowe. Jest to człowiek ambitny, który chce zostać królem. Dosyć już mamy tych uwodzicieli, którzy wzburzyli Judeę i ściągnęli na nas zemstę Rzymu.

We wspólnym interesie pożądanem jest, by zginął".

Kilku saduceuszy pochwaliło słowa Rahias'a. — Tak, należy przedewszystkiem zape-

wnić krajowi pokój i zachować przyjaźń Rzymian.

„Trzeba go skazać, odparli Faryzeusze, ale dla innych powodów. Nie do nas należy bronić sprawy tych, co nas ciemiężą“.

Siedzący naprzeciw Kajfasza stary Sabinti wyróżniał się olśniewającem bogactwem szaty z fioletowego jedwabiu. Na jej *philacter'ach* złotym sznurkiem wyszyte były sentencye biblijne. Długie bisiorowe wstęgi spadały mu z *thaled'u* na ramiona.

Wstał i złożył ręce, jak gdyby chciał się skupić.

Był to jego zwykły gest: pozwalał mu on pokazać wszystkim wielkie dyamenty w pierścieniach, zdobiących jego palce.

„Jezus, rzekł, nie zachowuje sabatu. Kazałem raz w dniu świętym śledzić oszusta i zgorszenie dowiedzionem zostało. Uczynił więcej, niż dwa tysiące kroków, a nawet uzdrowił chorego, gdy tymczasem nasz Zakon, w dniu świątecznym zakazuje spełnienia jakiegokolwiekbądź uczynku.

„Po za tem otaczają go prostacy i jawnogrzesznice.

„Pozbądźmy się coprędzej takiego człowieka.

— W jaki sposób? — zapytał Sameh.

— Mamy prawo wykląć go, rzekł Kajfasz, a nawet ukamienować.

— Nie przedtem, nim go wysłuchamy, rzekł Józef z Ramath'y.

— Sprawa jest całkiem wyjaśniona, odparł Kajfasz.

— Nie, zaprzeczył Józef: Zakon wymaga, by wysłuchać oskarżonego.

Wówczas Kajfasz rzekł: „Ten, który dnia każdego Zakon gwałci, nie ma prawa wzywać Zakonu na swoją obronę".

Elieris, faryzeusz o twarzy lisa, zaskrzeczał ostrym głosem:

— Na co tyle skrupułów? Oszust sto razy zasłużył na to, by go skazać. Winien być wyjęty z pod prawa.

— Czynił cuda! wtrącił nieśmiało Nikodem.

Słowa te rozpętały gwałtowną wrzawę.

Saduceusze drwili głośno, wąchając flakony z wonnościami.

Faryzeusze, z rękoma wzniesionemi ku niebu, wołali:

„Czyż można tak otumaniać pospólstwo!"

„Wszakżeż to w imię szatana czyni te wszystkie cuda!—mówili Szamaici.

„Im bardziej są zadziwiające, tem oczywiściej dowodzą, że jest to człowiek opętany".

Obrońcy Jezusa zostali zatopieni falą wymowy przeciwników.

Kajfasz, widząc, że zgromadzenie oświadcza się przeciwko Jezusowi, wyciągnął ręce, by nakazać milczenie.

„Niechaj każdy wypowie swoje zdanie, rzekł zwolna. *Sopher* zbierze głosy".

Poczem siadł, podając ramię Ananaszowi, który ze względu na wiek sędziwy potrzebował podpory.

Z wysiłkiem powstał arcykapłan. Jego blade, obwisłe, bezzębne wargi, zdawały się przeżuwać ustawicznie jakieś złe słowa. Prawą rękę wsparł na ramieniu zięcia, lewą, obciągniętą w błękitną, jedwabną rękawiczkę, gładził długą brodę.

Głosem głuchym i drżącym ze starości wymówił zwolna słowa:

„Niechaj będzie uczynione Jezusowi jako przeklętemu!“

„Niechaj mu będzie uczynione jako przeklętemu!“ powtórzył Kajfasz.

Niewzruszony *sopher* ze zwojem pergaminu, rozłożonym na kolanach, zapisywał głosy.

Słychać było tylko szum simlah'ów o długich frędzlach, w miarę jak sędziowie podnosili się ze swoich miejsc. Wyrazy „przeklęty“, „wyjęty z pod prawa“, przechodziły z ust do ust.

Tylko czterej sanhedryci wymówili formułę uniewinnienia.

Wówczas *sopher* powstał i wręczył dwu arcykapłanom to, co był napisał.

Kajfasz odzyskał spokojną powagę sędziego. Stał wyprostowany w całej okazałości swej wysokiej postaci, która ciskała długi ponury cień na marmurowe płyty posadzki.

Rzekł:

„Niechaj Najwyższy przeklnie wraz z nami Jezusa z Nazaret, którego ogłaszamy za wyklętego i godnego śmierci“.

XXX.

Optimam partem elegit. (Luc. X, 42).
Najlepszą cząstkę obrała.

Od czasu wskrzeszenia, Łazarz żył w ściślejszem niż dotąd milczeniu i zdawał się wciąż pogrążonym w tajemniczych rozmyślaniach, których z nikim nie dzielił.

Marya uważała Holgesa za dawnego przyjaciela, świadka minionej i bardzo już odległej przeszłości.

Rozmawiała z nim niekiedy o Ktesifonie i o ich wspólnej niewoli. Zastanawiali się nad dziwnemi kolejami losu, w którym Marya widziała rękę wszechmocnego i miłosiernego Boga, utożsamiającego się zawsze w jej uwielbieniu i miłości z Jezusem z Nazaret.

Pod wieczór pewnego dnia letniego cała rodzina, żydowskim zwyczajem, zasiadła na dziedzińcu przed domem.

Wąwozem, drogą wiodącą do Jerycho, szły stada owiec, wiedzionych na ofiarę. Ich żałosne beczenie rozlegało się głośno, odbijając się kilkakrotnem echem od stoków Rogelu.

W przejrzystem powietrzu wieczora, zarysy gór zdawały się przybliżać do Betanii. Opodal domu, gałęzie drzew figowych, oplecione winogradem, kołysały się sennie, zmożone żarem, chłodząc się w pierwszych rzeźwiejszych podmuchach nocy.

Nagle na dziedzińcu ukazał się Jezus.

Był sam i zdawał się długą podróżą znużony. Pod rąbkiem brunatnej tuniki z wielbłądziej wełny pył okrywał jego stopy.

Gromadka przyjaciół powitała go okrzykiem radości.

Jezus był smutny.

„Wnijdź, mówił Łazarz, wnijdź, Panie, w dom nasz, który jest twoim domem, byś spoczął i zamieszkał z nami".

Już Marta w pośpiechu biegała, by wszystko przysposobić, pragnąc zgotować Panu godne jego przyjęcie.

Łazarz poszedł do ogrodu, by zerwać najpiękniejsze owoce.

Jezus, siadłszy u źródła, obmył w chłodnym strumieniu strudzone członki.

Potem spoczął przed drzwiami, a Marya siadła u stóp jego.

„Godzina moja nadeszła, rzekł, patrząc ze smutkiem na dawną grzesznicę. Wkrótce opuszczę ten świat, a pójdę do Ojca; gdyż od niego przyszedłem i powrócę do niego".

Marya nie śmiała przemówić.

Chrystus obrócił wzrok swój na Jerozolimę. Ponad górą Oliwną długa smuga dymu unosiła się z Ołtarza Całopalenia między dwiema kolumnami egipskiego kształtu, wznoszącemi się u wejścia do Świętego Świętych. Dym gęstniał i stawał się coraz czarniejszy, gdyż składano wieczorną ofiarę.

Od czasu niewoli Babilońskiej ogień ten nie wygasał.

Na lewo od świątyni kopuła pałacu arcykapłanów błyszczała ponad płaskimi dachami domów. Rysowała się jasnym konturem na tle Golgoty, pogrążonej w cieniu.

Jezus mówił:

„Pycha zgubiła świat: a ja dla odkupienia go wychylę do dna kielich upokorzeń.

Chciwość i żądza rozkoszy zaprzedały go w niewolę: ja go oswobodzę, składając siebie na ofiarę.

O, jakże ta ofiara ciężką będzie!" rzekł Jezus, patrząc na dawną grzesznicę omglonymi łzą oczyma. „To ty, i inne dusze do twojej podobne, skazałyście mnie na mękę".

Marya pochyliła głowę i milczała.

„Miłuję cię, o Maryo, ciągnął Jezus. Miłuję cię, gdyż dzieje twoje—to dzieje ludzkiej duszy.

„Wykradziona na początku Ojcu Niebieskiemu, swemu prawdziwemu Ojcu, uwiedziona zostałaś do haniebnej niewoli.

„Z upadku w upadek, straciwszy już nawet świadomość swej nędzy, pomnisz, Maryo, stałaś się istotą pogardy godną, niezdolną dźwignąć się z poniżenia.

„Próżno walczyłaś z grzechem, próżno dręczyłaś się wyrzutami.

„Sądziłaś, iż znajdziesz ukojenie twych bolesnych niepokojów w religiach, stworzonych przez ludzi. Lecz jedynie Bóg prawdziwy mógł nasycić głód i ugasić pragnienie twego nieszczęsnego serca: on bowiem jeden dać może pokarm żywota wiecznego“.

Po długiem milczeniu Chrystus mówił dalej:

„Wyszedłem z łona Ojca, aby cię zbawić, nieszczęśliwa duszo, i wyzwolić inne istoty ludzkie, jęczące dotąd w niewoli, tak jak ty jęczałaś przed twojem wybawieniem.

„Dowiesz się wkrótce, jak bardzo cię miłuję i jak wiele dla twego zbawienia wycierpię.“

— O Mistrzu! rzekła Marya, daj mi tę łaskę, bym i ja również cierpieć dla ciebie mogła.

Miłość twoja ulży moim cierpieniom, rzekł Jezus.

„Chcę więcej jeszcze cierpieć, byś mnie bardziej miłowała.

„Jedynem pragnieniem Boga, jest miłość jego stworzeń“.

W tej samej chwili na progu domu ukazała się Marta.

„Mistrzu, rzekła, widzisz, iż siostra moja

opuściła mnie, iżbym sama posługiwała. Rzecz- że jej, aby mi pomogła".

A Jezus odrzekł jej: „Marto, Marto, trosz- czysz się i frasujesz około bardzo wiela. Ale jednego tylko potrzeba. Marya najlepszą cząst- kę obrała, która od niej ani na ziemi ani w wieczności odjęta nie będzie".

XXXI.

Loculos portabat (Joan. XII. 6).
I mieszek mając, nosił...

Postanowiono, że nazajutrz Jezus wraz z całą rodziną Łazarza wieczerzać będzie u Szymona z Betanii, który go był zaprosił.

Od samego rana przybył Judasz i kilku apostołów.

Marya, która wiedziała, że były kupiec przystał do grona uczniów Jezusa, ujrzała go bez przykrości.

Wszakże i on również poszedł za Mistrzem jak Piotr, jak Andrzej, narzeczony Marty, jak tylu innych, których codziennie pociągał za sobą.

Ceniła w Judaszu jego poświęcenie, któ- rego pobudek nie znała.

Jezus wraz z Łazarzem udał się rankiem w góry Rogielskie, by nawiedzić trędowatych niosąc im uzdrowienie i nadzieję.

Marta poszła do Szymona, by na jego prośbę przygotować ucztę.

Judasz i Andrzej z Maryą i kilkoma służeb- nikami pozostali w domu Łazarza.

Były kupiec uznał, że nareszcie przyszła upragniona chwila, kiedy może pomówić z Maryą: dowie się, co sądzić o jej za- miarach.

Zarówno liczne i dalekie podróże, jak rzemiosło kupieckie, wyrobiły w nim wielką rzutkość, stanowczość, a w razie potrzeby zuchwalstwo.

Powiedział Magdalenie, że pragnie pomówić z nią bez świadków, miał jej bowiem oznajmić ważne rzeczy.

Około trzeciej godziny Judasz i Marya znaleźli się sami w obszernym ogrodzie, przylegającym do domu Łazarza.

Marya, odziana z prostotą w długą białą tunikę, siedziała na małej ławeczce, w cieniu terpentynowców strzyżonych w kształcie altany, a Judasz, wsparty o drzewo migdałowe, mówił, stojąc naprzeciw niej.

Sznur z czarnej wełny przytrzymywał na jego głowie turban o ciężkich zwojach, które spadając, zasłaniały mu część twarzy, nacechowanej pozorną słodyczą.

„Wszystko, co dotyczy Jezusa, zajmuje cię bardzo, a o Jezusie to właśnie mówić z tobą pragnę".

Judasz był zbyt zręcznym, by miał odsłonić odrazu swoje prawdziwe zamiary. Wspominając naprzód o Jezusie, był pewien, że Magdalena z większą go słuchać będzie łaskawością.

„My wszyscy, jego przyjaciele, ciągnął, drżymy o niego. Nauką swą z dniem każdym przyczynia sobie wrogów.

Zamiast ukryć się bezpiecznie, póki czas jeszcze, idzie aż do bram Jerozolimy, jak gdyby chciał wyzywać nienawiść i zemstę nieprzyjaciół

Niedawno wypędził bez wahania z świątyni kupców i bankierów.

Sanhedryn ugodził weń już klątwą.

Lada chwila pojmanym być może przez

wysłańców Faryzeuszy i Kapłanów; a jeśli stanie przed sądem, skazany będzie niechybnie.

Pobłądził też bardzo, mówił dalej Judasz, głosem ściszonym i jakby niepewnie, że nie pomyślał o żadnych środkach na przypadek, gdyby skazano go na wygnanie.

Nie posiada żadnego majątku, a otrzymane dary dzieli niezwłocznie pomiędzy ubogich.

Powierzył mi pieniądze, ponieważ darzy mnie zupełnem zaufaniem. Gdyby mi pozwolił rozporządzać nimi według mego uznania, bylibyśmy bogaci: po uzdrowieniach i cudach, które czynił, znoszono nam prawdziwe skarby.

Niestety! Nie rozumie zgoła własnej korzyści".

— Jest tak nieskończenie dobry! rzekła Magdalena. Ja postępowałabym podobnie: oddałabym ubogim wszystko, co posiadam".

Jadasz zadrżał, jak ukąszony od żmii.

„Nie czyń-że tego, zawołał; co się raz daruje, tego się już nigdy nie odzyska!

Należy przewidywać przyszłość: wiem dobrze, jak wiele trudów kosztuje zebranie majątku.

Chwała Bogu, dodał tonem poufnym, pracą i zręcznością zdołałem zdobyć niejaką fortunę.

Kupiłem nawet w Kerioth, mejscu mego urodzenia, obszerną posiadłość, gdzie wkrótce mam nadzieję zamieszkać i zakosztować szczęścia.

— Nie należy szukać szczęścia na ziemi, rzekła Marya. Trzeba być gotowym, by cierpieć wraz z Mistrzem".

Judasz nie zrozumiał zapewne, gdyż ciągnął dalej, snując plany i nadzieje:

„Przewiduję chwilę, gdy proroka nie sta-

nie. Sam powiedział, że ktokolwiek szuka niebezpieczeństwa, zginie.

Winniśmy myśleć o własnym losie, o przyszłości, gdy już na niego liczyć nie będziemy mogli".

— Mistrz jest wszystkiem, odparła Magdalena. Porzućmy wszystko dla niego.

Judasz, bynajmniej nie zrażony, powtarzał te same dowody, kładąc na nie silniejszy nacisk: „Czemuż nie chce pomyśleć o własnej przyszłości i nie słucha rad swych prawdziwych przyjaciół?

Mógł być bogatym: będzie zawsze ubogim. Mógł być szczęśliwy: bezdomny, opuszczony, w nędzy—tułać się będzie, aż do śmierci. Mógł być królem: lud porwany jego nauką i cudami byłby go wyniósł na tron Judei. Nie chciał słuchać wysłańców zelotów, którzy pod jego dowództwem chcieli obalić Heroda i wypędzić Rzymian.

Odrzuca wszelkie bogactwo, wszelkie zaszczyty i wszelką sławę: to człowiek inny, niż wszyscy.

— Tak, rzekła Magdalena, to człowiek inny, niż wszyscy,—to Syn Boży.

Judasz wzruszył ramionami.

„Wiem, odparł, że czyni cuda; lecz czyny najbardziej zadziwiające nie przynoszą mu żadnej korzyści; za wszystko dobro, które wyświadczył, ani on, ani nikt z tych, co poszli za nim, nie otrzymał jednego obola.

— Zbawia dusze, rzekła Magdalena, i uzdrawia ciała. Przywraca słuch głuchym, wzrok — ślepym, życie—tym, co byli pomarli; o sobie tylko w swych własnych cudach zapomina.

— Sama to przyznajesz, podchwycił Judasz. Zbyt mało myśli o sobie, tak jak zbyt mało myśli o swych przyjaciołach.

Ja, przeciwnie, potrafię zapewnić szczęście osobom, które kocham; mogę je uszczęśliwić dzięki memu życiowemu doświadczeniu, memu przywiązaniu i majątkowi".

Wymawiając wyraz „majątek", Judasz pragnął, by Marya zażądała od niego bliższych wyjaśnień. Skąpiec byłby z lubością wyliczył posiadane skarby; zwracał się jednak do duszy o tyle od siebie wyższej, że to, co mówił, nie dochodziło nawet do jej świadomości.

A jednak nigdy może Magdalena nie wydała mu się tak piękną, jak dziś właśnie, w białej szacie, symbolu odzyskanej niewinności; i nigdy Judasz silniej nie odczuwał, jak bardzo jest od niego daleką...

Doznany zawód zamienił się w jego duszy na uczucie gorzkiej zazdrości względem Jezusa, który pokrzyżował jego zamiary; zrozumiał, że on, Judasz, nie zdobędzie miejsca w sercu Magdaleny, dopóki Mistrz władnąć niem będzie niepodzielnie.

XXXII.

Intravit Satanas in Judam. (Luc. XXII, 3).
I wstąpił szatan w Judasza.

Jezus, wróciwszy z gór Rogelskich, wszedł do ogrodu. Zbliżał się do Judasza i Maryi.

Apostoł zbliżył się do swego mistrza i ucałował go na znak szacunku i przywiązania.

Jezus rzekł do dawnej grzesznicy: „Maryo, mam ci coś powiedzieć".

Judasz oddalił się.

Jezus poszedł bliżej i zatrzymał się przy

tem samem drzewie migdałowem, o które oparty był poprzednio jego apostoł.

Marya siadła u stóp jego.

Opodal złociste lilie, jak połyskliwe czarki nabijane czarnemi perłami, chwiały się ponad grzędą fiołków i cyklamenów. Jak żywe klejnoty iskrzyły się w powietrzu błyszczące żuki i muszki. Dalej nieco, małe cyprysy piramidalne rosły wzdłuż różanego żywopłotu o purpurowych kwiatach.

„Maryo, rzekł Mistrz, oto spędzam z tobą dzień ostatni przed godziną męki".

— Pozostawisz mnie więc samą, rzekła kobieta, mnie, com nie zdołała poznać Cię jeszcze i ukochać.

— Nie pozostawię cię samej, gdyż nie opuszczam nigdy dusz, które mi się oddały.

— Mistrzu, powiedziała Marya, takam jest słaba, tak mało oświecona w rzeczach Boskich, że nie rozumiem słów twoich.

— Zrozumiesz później... Chciałbym ci oznajmić, że dzień mojej śmierci jest blizki.

Marya wybuchnęła łkaniem.

— Umrę, ciągnął Jezus, bowiem przyszedłem, by umrzeć. Umrę w hańbie, w męce i opuszczeniu. Niechaj stanie się wola Ojca mego!

— Wskrzesiłeś brata mego: czemuż, o Mistrzu, ty również nie miałbyś powrócić do życia.

Uśmiech rozświecił oblicze Jezusa, i ta smutna pociecha przeniknęła duszę Magdaleny, jak niewysłowione jakieś błogosławieństwo.

„Ty pierwsza przyjdzisz do mnie, gdy już nie będę śmiertelnym człowiekiem. Ale zanim, uczcisz mnie w chwale, ujrzysz mnie obarczonego ciężarem wszystkich zbrodni.

— Ty, Mistrzu, ty miałbyś grzeszyć!.. zawołała Magdalena z przerażeniem.

— Wezmę na się wszytkie zbrodnie ludzkie, mówił Jezus, i zadośćuczynię za nie; gdyż przezemnie zawarte zostanie wielkie przymierze.

— Dusza moja wciąż błądzi w ciemnościach, rzekła dawna grzesznica; błagam cię, Panie, oświeć mnie!

— Iść za mną należy zawsze, ciągnął Jezus: Jam jest droga;

„wierzyć zawsze we mnie: jam jest prawda;

„zawsze jednoczyć się ze mną: jam jest żywot".

— Wszystkam jest twoja, Mistrzu, rzekła Marya; ale ułomna jestem i o jedną proszę łaskę. Niechaj cierpię, niechaj umrę. — gotowa jestem; lecz spraw, bym nie grzeszyła więcej; zbyt daleko odeszłabym wówczas od Ciebie!

— Umrę, Maryo, rzekł zwolna Jezus, dotykając dłoni grzesznicy, która powstała. Umrę wkrótce i uzyskam dla ciebie łaskę, byśmy nigdy już nie byli rozdzieleni".

W domu Szymona wszyscy biesiadnicy zasiedli do uczty.

Marta dla uczczenia Mistrza, usługiwała sama.

Marya, siedząc przy innym stole wraz z kobietami, spoglądała często na Jezusa, gdyż przychodziły jej na pamięć jego słowa: *ostatni to dzień spędzam z tobą przed godziną wielkiej męki... Umrę wkrótce, bowiem przyszedłem, aby umrzeć.*

Służebnicy skrapiali często głowy biesiadników wodą różaną i galbanum.

Dym kadzidła i storaxu, płonącego na dziedzińcu w kadzielnicach, w cieniu drzew figowych, przenikał wonnym oparem do komnaty. Kosze kwiatów i zieleni, zawieszone u sklepienia, kołysały się wdzięcznie, radując oczy.

„Mistrzu, mówił Szymon, przyszła chwila założenia tego królestwa, które zapowiedziałeś. Lud jest za tobą, gotów powstać na twoje hasło. Zwycięstwo stanie się podwaliną twej potęgi.

— Królestwo moje nie jest z tego świata, rzekł Jezus.

— Należy jednak corychlej zapobiedz skutkom nienawiści kapłanów i faryzeuszów.

Sanhedryn cię potępił. Ogłaszając się królem, odpowiesz jedynie na to wyzwanie.

— Szymonie, odrzekł Jezus, nadając swoim słowom ton łagodnego wyrzutu, nie wiesz z jakiegom jest ducha.

„Wszyscy, co miecz biorą, mieczem poginą.

„Istnieje coś silniejszego od przemocy.

„Nie przyszedłem zadawać rany, ale je leczyć.

„Błogosławieni cisi, albowiem oni prawdziwie posiądą ziemię".

Szymon zdawał się nie rozumieć; Judasz, ciskał się, oburzony.

„Patrz, co się dzieje, mówił dalej Jezus, zwracając się do Szymona, gdy rolnik rzuci nasienie w ziemię: ziarno pszeniczne obumiera, zanim plon wyda stokrotny.

„A gdy będę podwyższon od ziemi, pociągnę wszystkich do siebie.

„Śmierć moja stanie się źródłem prawdziwego życia na ziemi".

Marya słuchała z niepokojem. Jedna ją myśl opanowała: wkrótce nie stanie Zbawiciela.

Służebnicy skrapiali w tej chwili Jezusa wonnościami. Wyrzucała sobie swoją bezczynność i niewdzięczność względem Mistrza.

Przyszła jej na pamięć podobna uczta w Magdali, kiedy padła do stóp Jezusowych i namaściła je cennym olejkiem.

Rzekła Holgesowi, by podał jej czaszę alabastrową pełną wonności i wzięła ją z rąk sługi.

Dość było ścisnąć wątłe ścianki pięknego naczynia, aby je stłuc, i aby cenna jego zawartość rozlała się i napełniła wonią powietrze.

Dawna grzesznica nie doznawała już takiej trwogi, jak wówczas, w Magdali, gdy zbliżała się do Mistrza. Długie miesiące pokuty oczyściły jej duszę.

Wiedziała, że jest niegodną: lecz tak wiele doznała od Jezusa dobroci i miłosierdzia!

Wkrótce z rozbitego naczynia trysnął deszcz orzeźwiającej woni.

Spryskał on głowę i szatę Zbawiciela. Kilka kropel pachnącego płynu spadło nawet na jego obnażone stopy.

Marya ukląkłszy, obtarła je powtórnie włosami swemi.

Judasz szemrał.

Słowa Jezusa rozdrażniły go: nie rozumiał tych wszystkich tajemnic.

Bez względu na cześć, należną Mistrzowi, zawołał:„ Czemuż nie sprzedała tego olejku za trzysta denarów? Można je było rozdać ubogim“.

A mówiąc tak, nie troszczył się bynajmniej o ubogich; lecz nosząc mieszek wspólny Jezusa i apostołów, zatrzymywał sobie niejednokrotnie część tego, co zawierał.

Jezus rzekł: „Nie czyńcie żadnej przykrości tej niewieście; dobry uczynek względem mnie spełniła.

„Ubogich zawsze z sobą macie, ale mnie nie zawsze mieć będziecie. To co posiadała, poświęciła dla mnie i na pogrzeb namaściła ciało moje.

„Zaprawdę powiadam wam: Kędykolwiek opowiadana będzie Ewangelia ta po wszystkim świecie—i co kobieta ona uczyniła, opowiadać będą na pamiątkę jej“.

Na te słowa Judasz zadrżał z gniewu: Mistrz potępił go wobec wszystkich.

Między Jezusem a Magdaleną, widział dobrze, nie było dlań miejsca...

Od tej chwili słuchał jedynie podszeptów swego żalu i nienawiści, i szatan wszedł do serca jego.

XXXIII.

Ibimus in semitis. (Mich. IV. 2.).
Pójdziemy ścieżkami.

Przed śmiercią zapragnął Jezus ujrzeć kraj, w którym się narodził.

Szedł tedy wraz z apostołami drogą, wiodącą do Betleem.

Na prawo i na lewo bielały groby.

Gąszcz cierni, w których srebrzyły się kiście jaśminu, strzegł tych świadków przeszłości.

Okolica wznosiła się pagórkami ku zachmurzonemu niebu. Kobierzec traw, usiany różowymi anemonami, rozścielał się po stokach niewielkich wzgórz, na których szczycie szumiały pola.

Jezus wraz z towarzyszącą mu gromadą doszedł do małego kamiennego pomnika, pod

którym do lat dwu tysięcy spoczywała Rachel, małżonka Jakóba.

Słońce, zwilżone mgłą, zachodziło za górami Gabaa.

Gdzieś w oddali kilka snopów promieni padało ukośnie na pochyłe zbocza.

„Zbliża się czas, rzekł Jezus, kiedy uwielbion będzie syn człowieczy.

Ale pierwej przyjdzie godzina ducha ciemności".

Huk grzmotu wstrząsnął ziemią od Gabaa aż do gór Thekue, których wąwozy sięgały morza Matrwego.

Dzień dogorywał jak lampa gasnąca.

„Czy to głos aniołów Bożych słyszeć się daje? pytali apostołowie.

„Nie dla mnie to noc nadchodzi, rzekł Jezus, lecz dla was.

Chodźcie za mną, póki światłość macie, żeby was ciemności nie ogarnęły. Bo kto w ciemnościach chodzi, nie wie, kędy idzie".

Jezus i apostołowie szli dalej w milczeniu drogą do Betleem.

Szli po przez pola, na których Rut, Moabitka, zbierała kłosy, pozostawione przez żeńców.

Szli dolinami, które drżały niegdyś echem niebiańskiego hymnu: *Chwała na wysokościach Panu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!*

U bram miasta zasiedli ludzie i spoczywali, zażywając chłodu przed nastaniem nocy.

Widząc, że ten, który nadchodzi, jest Jezusem, powstali i rzekli: „Nie wchodź; nie możesz mieszkać z nami. Wyklęty jesteś z synagogi".

I podnosili kamienie, by niemi ugodzić Chrystusa.

Apostołowie oburzeni zawołali:

„Czemuż na to miasto nie spadnie ogień niebieski, jak na Sodomę i Gomorę?

— Syn człowieczy, rzekł Jezus, nie przyszedł, aby gubił duszę, lecz aby je zbawił".

„A że Piotr nie mógł pohamować gniewu, rzekł mu Jezus:

„Piotrze, ty bardziej niż inni przebaczenia potrzebować będziesz. Zaprawdę, powiadam ci: odkąd przyszedłem na ziemię, miłosierdzie bardziej się boskiem stało, niźli sprawiedliwość".

XXXIV.

Marya spędzała dni i noce w bojaźni i na modlitwie.

Nie wiedziała, dokąd poszedł Mistrz.

Holges, niezmordowany, ilekroć trzeba było złożyć dowód przywiązania do Jezusa i do rodziny Łazarza, przybiegł z Betanii rano w przeddzień Paschy.

Oznajmił, że Jezus wydany został nieprzyjaciołom swym przez Judasza.

Jerozolima i jej okolice przepełnione były wówczas pielgrzymami i rozmaitymi cudzoziemcami, przybyłymi na święto Paschy.

Wszędzie mówiono tylko o pojmaniu Proroka.

Wieśniacy z Galilei, szukający opodal drogi miejsca, gdzieby popaść mogli swoje osły i rozbić namioty, nawoływali się gniewnie. Jezus był ich chlubą. Zapalczywie ściskali w dłoniach kije z drzewa oliwnego lub miecze, w które się wielu z nich uzbroiło. Nie mieli jednak wodza. Czuli ciążącą nad sobą potęgę świątyni, murów Jerozolimy i wojsk rzymskich.

Wysłańcy, zapłaceni przez kapłanów dla siania podejrzeń i nienawiści przeciwko Jezusowi, śmieli się z prostoty i zapału tych wieśniaków.

Żydzi, rozproszeni po świecie i przybyli w pielgrzymce z Grecyi, z Italii i z Galii, prozelici mało wtajemniczeni w spory religijne, wszyscy ci cudzoziemcy, którzy lepiej jeszcze niż Hebrajczycy z Judei i Galilei znali niezwyciężoną potęgę Rzymian, pytali jedynie o nowiny. Pragnęli nabyć prowianty, a nadewszystko baranka na Paschę.

Gromadzili się przy drodze do Jerycho lub Damaszku, oczekując na pędzone tędy stada, i z sakiewkami w ręku, rozmawiali z przekupniami.

Gdy im opowiadano o Jezusie i o jego pojmaniu, nie wiedzieli, czy smucić się należało, czy też cieszyć.

Nie byłże to fałszywy Mesyasz, jak inni? Kajfasz i kapłani tryumfowali.

Po przybyciu Holgesa Marya opuściła Betanię. Pobiegła śpiesznie dróżkami, po stokach góry Oliwnej, między murami i płotami ogrodów, przebyła Cedron, który płytkim strumieniem szemrał w swojem łożysku z wielkich głazów, i weszła do miasta przez bramę Doliny.

Imię Jezusa było na wszystkich ustach.

„Gdzie on jest? zapytała jakiejś kobiety, króra we wnęce muru, przy ulicy sprzedawała rozłożone na plecionkach z łozy oliwki i figi.

— W pałacu Piłata, odrzekła przekupka.

— Będzie skazany, rzekł stojący obok Magdaleny młodzieniec, z koszem kminu i dzikiej cykoryi na plecach.

— Niewątpliwie! dorzucił poważniej jakiś

Faryzeusz, który drobnymi krokami, przechadzał się w tłumie dla pochwalenia się swą piękną suknią barwy szafranu.

Pałac, a raczej twierdza, w której przebywał Piłat, ilekroć bawił w Jerozolimie, wznosiła się z jednej strony ponad świątynią; z drugiej, od północno zachodu, oddzielały ją od miasta arkady, podtrzymujące taras, otoczony nizką balustradą z ażurowego granitu.

Kilka ulic wychodziło na plac, na którym w owej epoce wznosiła się wspaniała i groźna rezydencya Prokuratora.

Na jednym z końców owego placu, pod arkadami, stali zawsze na straży dwaj legioniści z tarczą na ramieniu, z długiem *pilium* w ręku.

Marya zamierzała w tym właśnie kierunku ulicą Tkaczów. Na balustradach tarasów suszyły się tkaniny.

Coraz liczniejszy tłum tamował przejście młodej kobiecie, która przedzierała się z trudem obok skrzyń z towarami, wystaw bankierskich, brukując szaty o zakurzone ściany domów.

Baranki beczały na ramionach tych, co je nieśli, by ich nie pogubić w ciżbie.

Na placu, zwanym, podobnie jak twierdza - Antonia, stłoczona gromada rolników i ludzi służących przy świątyni, złorzeczyła głośno. Bliżej pałacu w grupie faryzeuszy i kapłanów dowodzono i gestykulowano żywo, spoglądając często ku rezydencyi Piłata.

Stadka gołębi, spłoszone tą niezwykłą wrzawą, krążyły dokoła świątyni i w dolinie pomiędzy górą Oliwną i górami Moriah.

Zdaleka Marya poznała Kajfasza po wyso-

kim wzroście i po cerze palonego zboża. Wszędzie go było pełno. Co chwila unosił rękoma swój płaszcz jedwabny, naszywany srebrem.

Nagle tłum zafalował.

Jakiś orszak przechodził przez plac w kierunku pałacu Piłata.

„Oto jest! Oto jest! wołano zewsząd. Herod go nie chce: odsyła go do Piłata".

Rozległy się wrzaski, przerywane wybuchami śmiechu.

„Precz z uwodzicielem! Precz z fałszywym Mesyaszem!...

— To poprostu szaleniec, twierdzono poważnie w grupie starców.

— Niebezpieczny szaleniec, dodawali uczniowie Zadoka. Jest odpowiedzialny za swoje szaleństwa".

Orszak zbliżał się ciągle: nie widać go było, lecz po płynącej jego śladem fali złorzeczeń, można było poznać, że podchodzi do wieży Antonia.

Magdalena zadyszana, z gardłem ściśniętem od tłumionych łez, przeciskała się wśród tłumu, usiłując dojrzeć Jezusa.

Przypuszczając, że wprowadzą go do Piłata przez wielkie drzwi pod arkadami, zmierzała w tym kierunku.

Dwaj strażnicy odpychali tłum zalewający kamienne płyty, na które wstępu wzbraniali.

Wkrótce roztąpiła się fala ludzka.

Wązkiem przejściem szedł Jezus, pchany przez motłoch wyjący, straszny.

Odziano Go, jak szaleńca, w białą szatę; splecione ciernie wieńczyły Mu głowę; w dłoniach skrępowanych powrozem tkwiła trzcina, wyobrażająca berło.

„Oto król! Oto szaleniec!“ wyła bez przestanku tłuszcza.

Popychano Go zaostrzonymi końcami kijów.

Dokoła Niego motłoch pluł nań i lżył Go niegodnie.

Oblicze miał nabrzmiałe od razów, krew wązkimi strumykami spływała od cierniowej korony na twarz, krwawym pyłem okryte włosy przylgnęły do karku i do szaty. A jednak oblicze Jego było słodkie i pełne spokoju.

Powoli przeszedł koło grupy kapłanów, ścigany ich drwinami.

Marya schroniła się w załamie pilastra, Jezus przeszedł tuż koło niej.

Jak w Magdali, jak w Betanii, uklękła i ucałowała kraj Jego szaty.

A On, Święta Ofiara, uśmiechnął się smutnie i rzekł:

„Maryo, dla ciebie to jestem zelżony: pragnę zadośćuczynić za wszelką pychę Twoją“.

Wielkie drzwi pałacu już się zamknęły, ale tłum trwał uparcie i wył bez ustanku: „Na śmierć!.. Ukrzyżować Go!...

Okrzyki te, miast cichnąć, wzrastały wraz z napływem nowych tłumów.

Po krótkich chwilach milczenia wybuchały z coraz większą siłą, coraz straszniejsze.

Urzędnicy Świątyni za pieniądze kapłanów rozdawali wśród motłochu napój zbożowy, wino, i wodę z cytryną i miodem.

Dachy sąsiednich domów pokrywały się ciekawymi.

Tłum rozstąpił się przed lektyką, matrony rzymskiej, niesioną przez sześciu niewolników.

Marya poznała w niej Proclę, żonę Piłata.

Drzwi fortecy otwarły się i z każdej ich strony ustawił się oddział żołnierzy dla oddania honorów małżonce Namiestnika.

„Ratuj Go!“ zawołała Marya do przyjaciółki, której nie widziała od czasu wtajemniczenia w misterya Izydy.

Procla poznała również dawną swą towarzyszkę: zdawała się być uradowaną tem spotkaniem.

Na jej rozkaz straż wpuściła Żydówkę za jej lektyką do wnętrza pałacu.

Gdy obie kobiety znalazły się w ustronnej komnacie, Procla rzekła: „Słyszałam nauki Jezusa i widziałam kilka jego cudów, jest to człowiek niezwykły. Mimo jego nierozwagi chciałabym go uratować. Piłat nie ma żadnego powodu, by go skazywać na śmierć.

Ale znam jego słabość.

Wydając wyrok uniewinniający, lęka się wzbudzić niezadowolenie kapłanów, którzy mogą oskarżyć go przed Tyberyuszem“.

W tej samej chwili wszedł Piłat.

Nie zwrócili uwagi na Maryę, którą wziął zapewne za służebnicę swojej żony.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, dość otyły; krótkie włosy siwiały już nieco nad ciemnem czołem. Biały *laciclav,* spadający mu do stóp w szerokich fałdach, nadawał całej postaci majestatyczny wygląd.

— „Trzeba ratować Jezusa, rzekła Procla.

— Cała ta sprawa przyczynia mi wiele przykrości, odrzekł z zakłopotaniem prokurator. Herod mi go odsyła. Kapłani podburzyli całe miasto, które teraz żąda jego śmierci. Jestem

w wielkim kłopocie, lecz zdaje mi się, że znalazłem wyjście z tego położenia.

Z okazyi świąt, obyczaj żąda uwolnienia jednego przestępcy. Mamy w więzieniu łotra, którego nienawidzą i obawiają się wszyscy, imieniem Barabasza. Każę wybierać żydom między ułaskawieniem jego i Jezusa".

Procla zachwycona była wybiegiem męża.

Skoro wyszedł, rzekła do Maryi: „Zdolny to bardzo człowiek; wątpię jednak, by udało mu się ocalić Jezusa: młody prorok ściągnął na siebie zbyt wiele nienawiści".

Potem Procla opowiedziała Maryi sen, który miała ubiegłej nocy.

„Na górze, której szczyt tonął w niebiosach, człowiek, z rękoma rozpostartemi w kształcie krzyża, promieniał jasnością. Na głowie miał koronę, a niezliczone tłumy przeciągały u stóp jego, oddając mu cześć i wielbiąc go modlitwą.

„Tłumy ludzi różnego wieku i różnej płci przeciągały przed tym królem, którego wyznawały.

„Byli wśród nich czcigodni starcy, młodziutkie dzieci, dziewice i niewiasty, odziane w stroje, jakich nigdzie nie widziałam, mówiła Procla.

„Wkrótce zauważyłam, że naprzeciw króla chwały, u słupa, stał przywiązany jakiś nieszczęśnik, któremu przechodzący tłum urągał z pogardą. Z początku nie poznałam go.

„Potem jednak, (pochód ten bowiem zdawał się trwać wieki) dostrzegłam, że nieszczęsny ów posiada rysy Piłata, zaś oblicze króla chwały zdało mi się być obliczem Jezusa".

XXXV.

Inveni quem diligit anima mea.
(Cant. III. 4.).
Znalazłem tego, którego miłuję.

Trzej skazańcy wlekli krzyże swoje ku bramie Sądu po przez ulice Jerozolimy.

Tłum niezliczony obrzucał ich gradem przekleństw i złorzeczeń.

Żołnierze, mający wykonać wyrok, niecierpliwili się z powodu trudności, które opóźniały ich pochód. Bili skazańców, by ich skłonić do pośpiechu, rozpędzali motłoch, który nieustannie zaciskał się dokoła nich żywym pierścieniem.

Byli to mężczyźni, kobiety i dzieci, którzy przybiegli ze wszystkich krańców miasta, pielgrzymi, przybyli z Judei, z Galilei, lub z dalszych krajów, kupcy i podróżni z Grecyi, Syryi, Egiptu, Rzymu, przybyli na wielkie święta żydowskie; każdy chciał zobaczyć Proroka, o którym tak wiele mówiono: tłoczono się i popychano, byle przedostać się do niego.

Tysiące baranków, wiedzionych lub niesionych do świątyni, smutnem beczeniem powiększało ogłuszającą wrzawę.

Droga, zbyt wązka, wznosiła się i opuszczała: niekiedy trzeba było wstępować po ślizkich stopniach, wykutych w skale.

Sprzedający złorzeczyli i krzyczeli wśród rozrzuconych na ulicy straganów; psy szczekały; paląca kurzawa zasypywała oczy.

Ciężkie granitowe łuki, przerzucone od domu do domu, tworzyły ponad ulicą rodzaj kamiennego sklepienia. Zasiedli na niem chłopcy, którzy ciskali na przechodzące ofiary obelgi i kamienie.

Ponieważ była to godzina południowa, zapach świeżego chleba zalatywał z wnętrza domostw; czuć było także woń mięsiwa, pieczonego na rozżarzonych węglach.

Okna i drzwi były przepełnione ciekawymi; usta, żujące pożywienie, usiłowały miotać złorzeczenia, tchnące nienawiścią, która skupiała się w wyrazie oczu.

U wylotu poprzecznych ulic gestykulujące żywo gromadki oczekiwały na żałobny pochód i pospiesznie, zanim przeszedł, zasypywały go gradem obelg i przekleństw.

Jezus szedł pierwszy; spokój, malujący się na jego obliczu, podniecał jeszcze wściekłość tłumu.

Drugi ze skazańców, olbrzym o rudej czuprynie, o twarzy zbydlęconej, miotał grubiańskie słowa na wyjącą tłuszczę.

Na trzeciego nie zwracano uwagi: był to młodzieniaszek, którego żołdak wlókł na sznurze, uwiązanym dokoła bioder ofiary.

Po przejściu bramy Sądu tłum rozlał się na szerszej przestrzeni; ciekawi obsiedli wysokie murowane parkany ogrodów.

Kalecy, żebrzący o jałmużnę, zbierali pospiesznie swoje kule i podążali za pochodem.

Wszystkiemi drogami i ścieżkami nadbiegali zamiejscy mieszkańcy, by przyjrzeć się strasznemu widowisku.

Wielu Faryzeuszów przybyło wcześniej na plac kaźni, by zająć najlepsze miejsca. Jedni, znużeni oczekiwaniem, zasiedli na wielkich głazach. Gdzieniegdzie bogacze w pstrych szatach, trzymali nad swemi głowami rozpostarte parasole o szerokiej frędzli.

Wśród zebranych kręciły się bose dzieci; najmłodsze, krzycząc tuliły się do matek.

Leżące we wnękach muru lub w cieniu drzew zwierzęta juczne patrzyły wielkiemi przerażonemi oczyma na trzech skazańców, którzy przyszli wreszcie na miejsce kaźni, okrwawieni, gnący się pod brzemieniem krzyżów.

Procla zbyt długo zatrzymała u siebie swą dawną towarzyszkę z Aleksandryi, łudząc ją nadzieją ocalenia Jezusa.

Gdy Magdalena wysz a z pałacu Piłata, dowiedziała się, że okrutna zbrodnia ma się dopełnić. Jej Zbawiciel został skazany na śmierć haniebną.

Jak obłąkana popędziła najbliższą drogą na Kalwaryę, miejsce kaźni.

Dusza jej wiła się z bólu na widok wielkich, krwawych plam, widniejących na ziemi: znaczyły one drogę, kędy przechodził On.

Gromadka kobiet, zalanych łzami, stała u bramy miejskiej, nie śmiejąc pójść dalej. Pociągnęła je za sobą. „My właśnie winnyśmy go pocieszać", rzekła.

Nie lękała się tłumów ani katów: byłaby tysiąckrotnie oddała życie, by módz złagodzić jedno cierpienie Jezusa.

Gdy przyszła na wzgórze śmierci, otwory w trzech krzyżach były już przebite.

Zdzierano z Jezusa szaty, wraz z kawałkami ciała. Przy nim, na ziemi, leżał krzyż; świeżo sheblowane drzewo błyszczało w słońcu jak metal.

Wydała okrzyk i rzuciła się naprzód, by odepchnąć katów.

Powstrzymało ją jedno spojrzenie Jezusa. Usłyszała słowa: „Maryo, chcę być odartym ze

wszystkiego, by zadośćuczynić za twoją miłość dóbr doczesnych: niechaj dopełni się wola Ojca mego.

Otuliła głowę zasłoną i padła na ziemię.

Gdy przybijano równocześnie ręce i nogi świętej Ofiary, odgłos uderzeń — głuchy, skoro gwóźdź przeszywał ciało, pełniejszy, gdy wchodził w drzewo, — sprawił, że podniosła głowę: wydało jej się, że dosłyszała jęk.

„Boże mój! zawołała. Ty nie powinieneś cierpieć!"

Wówczas wyrzekł do niej te słowa:

„Chcę znieść te męki, by zadośćuczynić, o Maryo, za twoją miłość rozkoszy: za tę cenę zbawić pragnę ciebie i dusze, do twojej podobne",

Podniesiono drzewo z zawisłym na niem krwawym owocem. Widniało ono na tle nieba jak żywe uosobienie grozy.

W owej chwili tłum się uciszył.

Lecz gdy wkopano krzyż w ziemię, złorzeczenia i obelgi wybuchły ze zdwojoną siłą.

„Znijdźże z krzyża, skoroś jest Syn Boży!"

Faryzeusz Blieris, o małej lisiej głowie, ustrojony w zielony turban, uwijał się wśród ciżby.

„Zbawiał innych, wołał, a siebie zbawić nie może!"

Każde szyderstwo budziło nowe wybuchy śmiechu.

Kajfasz przybył również. Zbyt dumny, by miotać obelgi, tryumfował nad swym nieprzyjacielem wyrazem spojrzenia jedynie. Stał bez ruchu, oparty o mur ogrodu. Nikt nie śmiał przesłonić mu widoku krzyża; mógł swobodnie sycić oczy swem zwycięstwem.

Krew, spływająca z ciała Chrystusa, znaczyła wzdłuż krzyża czerwone smugi, które krzepnąc czerniały.

Głowa, nie mogąc wesprzeć się o krzyż z powodu korony z ciernia, zwisała bezwładnie, jak głowa chorego, co szuka życzliwej dłoni.

W przerwach regularnych prawie, ukrzyżowany drgał w bolesnym skurczu, w mękach strasznego konania, które się poczynało; wargi poruszały się jak usta świętych w czas modlitwy, pogrążonych w zachwyceniu.

Nagle ujrzano zbliżającą się niewiastę, którą dotąd trzymano zdala: była to matka Jezusa.

Szła w przeraźliwym spokoju swego bólu.

Jawnogrzesznica objęła ją ramieniem i obie padły do stóp Jezusa.

Dopełniała się wielka tajemnica. Niewinność i skrucha zjednoczone z męką Boga — otwierały wybranym niebiosa.

Z piersi Zbawiciela wyrwał się okrzyk:

— Boże, Boże, czemuś mnie opuścił?

— Jesteśmy przy Tobie, o Jezusie! — rzekły obie niewiasty.

A łzy ich zmywały krwawe stopy Chrystusa.

Ostatnie męczarnie przeciągały się niepomiernie.

Krew płynąć przestała: lecz ciężar ciała rozrywał rany.

Dwaj inni skazańcy rzężeli w agonii.

Przed oczyma Chrystusa przesuwały się zapewne obrazy przeszłości... Widział może Nazaret i małe pólka, spadające ku dolinie Esdraon? albo Kafarnaum z wysmukłemi palmami nad błękitem jeziora? lub może górę Tabor, opromienioną niegdyś przez chwilę blaskiem Jego chwały?...

A może słyszał na wysokościach niebios płaczące anioły..

Tuż obok świętych niewiast żołnierze grali w kości o szatę bez szwu, utkaną przez matkę Jezusa.

Tłum, przesycony wrażeniami, rozchodził się zwolna.

Kajfasz powrócił do Jerozolimy, dumny ze wspaniałego rozgłosu, jakim zaznaczył się jego tryumf.

Za nadejściem dziewiątej godziny, przyroda cała zdawała się konać: słońce jakgdyby zaćmione, zrzuciło z siebie koronę z promieni; przeraźliwe jakieś odgłosy dobywały się z łona ziemi.

— Pragnę, — przemówił ukrzyżowany.

Żołnierz uwiązał gąbkę nasyconą żółcią i octem u łodygi hyzopu.

Gorzki płyn ugasił na chwilę pragnienie jego wyniszczonego ciała, a serca klęczących u stóp krzyża niewiast poiły duszę Boga-Chrystusa miłością, której łaknął.

XXXVI.

Tenebrae factae sunt.
Stała się ciemność.
(Math. XXVII, 45.)

Magdalena pozostała sama przy grobie.

Noc zapadała.

Przyszli uzbrojeni żołnierze.

Śmierć nie była dość mocna, by strzedz Tego, który wskrzeszał umarłych. Nienawiść innej żądała straży.

Łazarz przyszedł po siostrę swą, aby ją zabrać do Betanii.

Schodzili we dwoje ścieżką, przerzynającą dolinę Gehenny.

Z tej pustej otchłani co noc wznosi się rozpacz i ogarnia Jerozolimę; w tem przeklętem miejscu błąkają się pewno dusze małych dziatek, które w odległej przeszłości składano w ofierze Molochowi.

Pielgrzymi, którzy podczas świąt Paschy rozkładają się obozem dokoła Jerozolimy, omijają tę straszną dolinę.

Łazarz i Marya szli w milczeniu. Ciernie i kolce berberysów czepiały się ich odzieży jak tajemnicze jakieś dłonie, wychylające się z ciemności.

Z odmętu goryczy, zalewającej duszę Maryi, wyłaniała się myśl jedna, która była dla niej pociechą: cierpiała wraz z Mistrzem, być może przyniosła Mu niejaką ulgę w cierpieniu.

Powtarzała sobie także słowa swego Zbawiciela: „Umrę, byśmy już nigdy nie byli rozłączeni".

Jakąż nową te słowa kryją tajemnicę?

Nagle, tuż koło niej, szyderczy przerażający śmiech zmącił powietrze.

Łazarz nie lękał się już niczego, nawet śmierci, mimo to zadrżał.

Siostra jego przysunęła się doń i w przerazeniu schwyciła go za rękę.

Po krótkiem milczeniu śmiech rozległ się znowu, śmiech szyderczy, przenikliwy, straszny i odgłosem swym wstrząsał mroczną dolinę, jak gdyby pochodził od istoty potężniejszej, niż człowiek.

„Belzebub tryumfuje, rzekł Łazarz, ale Chrystus zwycięży piekło".

Trzeci wybuch śmiechu był odpowiedzią na słowa przyjaciela Jezusa.

Tym razem był on nieco cichszy i jakgdyby bardziej ludzki; zdawało się, iż zbliżył się do idących.

Tuż koło nich ukazała sie postać ludzka. Marya ujrzała znajome rysy, rzekła więc do brata: „To nie Belzebub, to Judasz".

— To Judasz, odrzekł zdrajca. Tak, to Judasz!... Judasz!... Judasz!...

Szyderstwo drgało w słowach obłąkańca, śmiech szatański dźwięczał grozą i smutkiem, przechodząc zwolna w cichy, radosny chichot.

Ale radość ta ścinała serce przerażeniem bardziej jeszcze niż smutek.

— Czy jest jeszcze na krzyżu? — mówił Judasz. Powiedzcie mi... Gdyby był chciał, nie byłbym go zdradził... Cisnąłem w twarz kapłanom trzydzieści srebrników. Już ich nie mam, przysięgam. Nie mam już nic... Straciłem Jezusa, straciłem pieniądze, straciłem również i ciebie, Magdaleno!..

Marya przytuliła się do brata.

„Straciłem wszystko! — ciągnął Judasz. Wszystko!... Wszystko!...

Powtarzał te słowa z rozpaczą, nadając im wyraz różnorodnych uczuć, które równocześnie szarpią dusze szaleńców.

„Odejdź", rzekł Łazarz.

Judasz oddalił się.

Brat i siostra szli dalej drogą do Betanii.

Wkrótce dobiegły do ich uszu słowa śpiewanego przez zdrajcę dziwnego hymnu; Magdalena przypomniała sobie, iż słyszała go niegdyś w Egipcie.

Izyda! Izyda!
Opłakuje Ozyrysa
Małżonka, którego miłuje!

Izys z osłoniętem czołem,
Gwiezdne niebo
Jej symbolem.

Po dłuższem milczeniu, głos Judasza rozległ się znowu, coraz cichszy i dalszy:

Sfinks omroczony zadumą o twojej śni tajemnicy
Wieczności i miłowania!

Wreszcie wybuch śmiechu, straszniejszy niż poprzednie, rozdarł ciszę nocy, a od skał wzgórza Śmierci szyderczy zgrzyt odpowiedział mu echem.

XXXVII.

Ego sum resurrectio et vita.
Jam jest zmartwychwstanie i żywot.
(Joan. XI. 25)

Z pierwszym brzaskiem dnia tchnienie Boże wionęło na Jeruzalem, w tym szóstym dniu miesiąca Nizan.

Byłyż to dymy kadzideł, wznoszące się po stokach doliny Cedronu i Rogelu?...

W świetle blednących gwiazd, Marya, w ogrodzie swoim, na miejscu, kędy często siadywał Jezus, rwała kwiaty, na których niegdyś spoczywał wzrok Jego.

Dusza jej tonęła w żałobie nieszczęść minionych i w nadziei mających nadejść zórz...

„Umrę, ażeby otrzymać dla ciebie łaskę, byśmy nigdy już nie byli rozłączeni".

Słowa, które w tem właśnie wypowiedział miejscu, brzmiały w duszy Magdaleny.

Jaką kryły w sobie tajemnicę?

Wszakże już oto trzy dni, jak umarł!

Może miał jedynie żywe po sobie zostawić wspomnienie...

Za niesłychaną cenę zakupiła wonnych olejków, by namaścić jego ciało; zerwała ze swego ogrodu wszystkie cyklameny, symbol cierpienia, lilie — godło czystości, i róże — kwiat zwycięztwa i chwały.

Holges i Magdalena uginali się pod tym wonnym ciężarem, zstępując wczesnym rankiem z góry Oliwnej.

Jerozolima, znużona ruchem świątecznym, spała jeszcze.

Na polach przydrożnych, jak po bitwie, spoczywali jeszcze pielgrzymi, otuleni w swoje opończe. Niektórzy, czujniejsi, przygotowywali już do drogi juczne zwierzęta. Służebnicy z dzbanami szli czerpać wodę do potoku Cedron.

Światło słoneczne zajaśniało na białych marmurach świątyni: zaokrąglony dach Świętego Świętych rozbłysnął jak hełm, najeżony złotymi kolcami.

Hazzan, stojący na pilastrze, według tradycyjnej formuły, zawołał donośnie: „Dzień jest w Hebronie!“ Trąby święte zabrzmiały.

Okrążywszy miasto nie wstępując doń, Marya i jej towarzysz przyspieszyli kroku.

Na szczycie Kalwaryi, zdeptanej stopami tłumu, widniały trzy pozostałe po krzyżach głębokie otwory. Przeróżne szczątki drzewa i szat zaścielały kamienistą powierzchnię. Wielka skała była pęknięta, jak gdyby piorunem rozdarta.

Dwie inne niewiasty, przyjaciółki Jezusowe, Salome i Marya, matka Jakóba, siedziały

już u bramy ogrodu, w którym go pochowano; one również przyszły namaścić ciało i mówiły między sobą:

„Kto nam odwali kamień ode drzwi grobowych?“

Ośmieleni tem, że są razem, weszli wszyscy do ogrodu.

Zorza ich wyprzedziła.

Bzy i jaśminy drżały od lotu skrzydeł ptaszęcych; z lilij, jak z kadzielnic, biła woń na powitanie pierwszych promieni słońca. Jak stężałe krople tęczy drżała na liściach rosa w świeżości poranka.

Wielki kamień, zamykający grób leżał odwalony: wnętrze było puste.

Magdalena stała jak martwa: po raz wtóry zabrano jej Zbawiciela.

Chusty, któremi owinięte było ciało, bieliały opodal, porzucone na kamieniu.

Obejrzała się dokoła.

Błękitne lawendy, rosnące wzdłuż skały, pochyliły wątłe łodygi, pogięte przez tych, co nieśli Jezusa do grobu.

W lazurze rozjaśnionego już nieba, mknęły na zachód jaskółki, niosące w inne kraje wieść o nadchodzącej wiośnie.

Magdalena wiedziała, że w domu Jana, w Jerozolimie, przebywa matka Jezusa i Piotr apostoł.

Pobiegła tedy do nich i rzekła im: „Wzięto Pana z grobu, a nie wiemy, gdzie go położono“.

Dwaj apostołowie, Piotr i Jan, podążyli czemprędzej za Magdaleną, która siadła w ogrodzie, płacząc.

Z grobu dał się słyszeć głos:

„Czemu płaczesz?“

Marya, przejęta zdziwieniem i nieokreśloną jakąś nadzieją, pochyliła się nad grobem. I ujrzała dwu młodzieńców w bieli, podobnych do aniołów.

Drżąca ze wzruszenia usłyszała z zewnątrz inny głos, który mówił:

„Niewiasto, czemu płaczesz? Kogo szukasz?

Ona mniemała, że to ogrodnik.

Poruszona do głębi, powtórzyła:

„Jeżeliś ty go wziął, powiedz, gdzieś go położył, a ja go wezmę!

— „Maryo!“ rzekł głos.

Był to Jezus.

— „Mistrzu!“ krzyknęła Magdalena. I padła mu do stóp.

A Jezus rzekł do Maryi:

„Nie dotykaj się mnie: jeszczem nie wstąpił do Ojca mego.

„Ale idź do braci mojej i powiedz im, że wstępuję do Ojca mojego i Ojca waszego. Powracam na łono Boga mojego i Boga waszego.

XXXVIII.

Gloria in altissimis Deo.
Chwała na wysokości Bogu.
(Luc. II. 14.)

Jezusa już nie było: Marya jednak trwała jeszcze w zachwyceniu.

Skrzydła anielskie szumiały w błękicie, skąd dolatywał śpiew:

Promień nadziei złoci gór szczyty,
Ponad otchłanią miłość zakwita,
Niebo otwiera podwoje!
Nasz Oblubieniec umiłowany

Powraca w chwale, a duszom daje
Swą miłość Bożą i niebo.

Anielskie chóry szczęściem brzmią błogiem
Wszelkie istoty w świetle i ładzie
Raj odnajdują stracony.
Szatan zdeptany do piekieł spada;
Z nieba na ziemię, gdzie człowiek walczy
Spływa nadzieja i łaska:

Wieczność śmiertelnych staje się dziełem
Słowo rozbrzmiewa w czasie, w przestrzeni
Chaos sie w błękit przemienia.
Gwiazda jak siostra wita anioła,
A nicość mroczna, blask licznych światów
Boga rozjaśnia uśmiechem.

KONIEC.